Kamienna Ćma
Paweł Matuszek

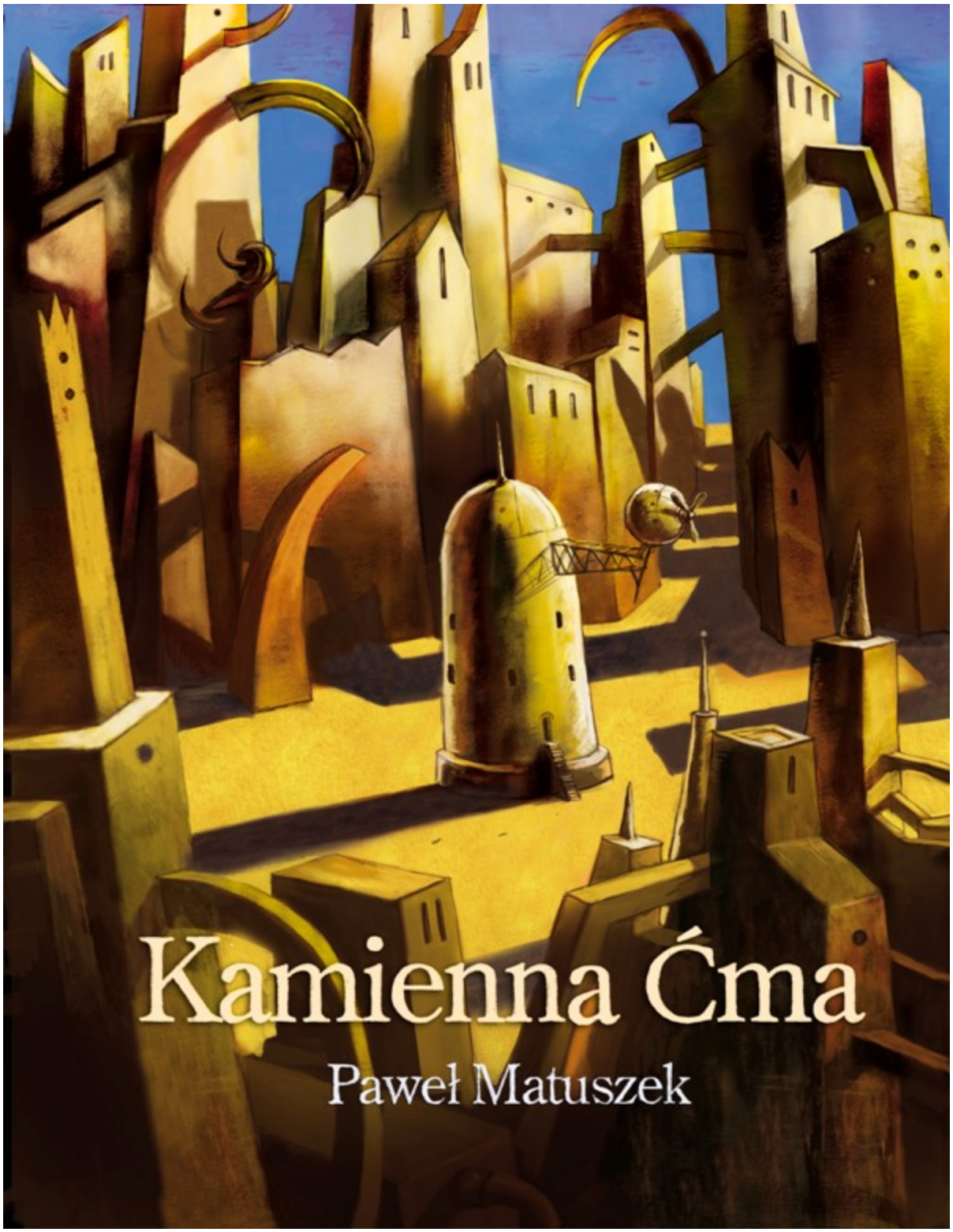
Kamienna Ćma
Paweł Matuszek

Lopterus
Press
01

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25

Kamienna Ćma

Paweł Matuszek

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2011

Copyright © 2011 by Paweł Matuszek
Copyright © 2011 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska
Korekta: Urszula Okrzeja
Okładka oraz ilustracje: Irek Konior
Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Konwersja do formatu epub: pan@drewnianyrower.com

Warszawa 2011
Wydanie II
ISBN 978-83-7480-435-6

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 22 813 47 43
e-mail: kurz@mag.com.pl
http://www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl

Nie badaj zjawisk – badaj umysł.

Padmasambhawa

Wszystko uczestniczy w myśleniu.

Heraklit z Efezu

Moją obsesją są czynności umysłu niezaprzęgniete do działania.

Don DeLillo

Spytacie być może: „Czy aby jesteś pewien, że ta legenda to prawda?”. A czy to ma znaczenie, jaka jest naprawdę otaczająca mnie rzeczywistość, jeżeli pomogła mi żyć, czuć, że jestem, i czuć, kim jestem?

Charles Baudelaire

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

1

Stojąc na szczycie niewielkiego wzgórza, Beddeos obserwował wieżę przez mosiężną lunetę. Przysadzista, stożkowata, ociężale połyskiwała w okularze metaliczną szarością. Jedynym ruchomym elementem były leniwie obracające się łopaty elektrowni wiatrowej, osadzonej na solidnej kratownicy wyrastającej z boku budowli. Obok stał otwarty szlaban, a za nim zaczynała się pustynia. Beddeos odłożył lunetę. Teraz jego strażnica miała wielkość kciuka i było widać, że znajduje się dokładnie na granicy między rzadkim, jałowym lasem a kamienistą pustynią. Ten widok zawsze sprawiał, że chłód ciążył mu w żołądku. Niskie, karłowate drzewa i nieregularne obszary porośnięte ostrą trawą i kolczastymi krzewami kończyły się jak ucięte nożem, ustępując miejsca kamieniom, diunom lepkiego piasku i żwirowym osypiskom. Wyglądało to jak linia wytyczona na mapie. Tu las, tam pustynia, a pośrodku wieża strażnicza, cesarski ostaniec ze szlabanem, do którego prowadził brukowany trakt. Wokół ani śladu muru. Czego tu pilnować? Wieży wielkości kciuka?

Tyfon twierdzi, że wiele tysiącleci temu stały tu solidne mury, ale pochłonęła je żarłoczna pustynia. Trudno w to uwierzyć, choć niektóre głazy mają zaskakująco regularne kształty, jakby wykuto je w konkretnym celu. Z pustynią jednak nigdy nie wiadomo.

Ile lat spędził w tym miejscu? Nie wiedział. Jak się tu znalazł? Nie potrafił sobie przypomnieć. Kiedyś po prostu obudził się w wieży. Tyfon oprowadził go po strażnicy, zapoznał z obowiązkami. Traktował go

z szacunkiem, ale Beddeos od samego początku miał pewność, że to kara, zesłanie, dożywotnia banicja. I ta pewność nigdy go nie opuściła.

Wiele razy bezskutecznie starał się dotrzeć do wspomnień sprzed zesłania. Co robił, zanim tu trafił? Gdzie mieszkał? Za co został ukarany? Nie umiał odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Siłując się z własną pamięcią, prędzej czy później uwalniał coś na kształt wspomnienia, zawsze przybierającego tę samą postać – rześkiego zapachu szybko płynącej rzeki, który unosi się w niesamowitym mieście wykutym w ścianach ogromnego kanionu. Beddeos nie traktował tego przebłysku pamięci zbyt poważnie, bo wydawał się jeszcze dziwniejszy niż ta wieża na odludziu.

Zszedł ze wzgórza i wrócił do strażnicy. Tyfon krzątał się w kuchni. Jego mechanizm terkotał na najwyższych obrotach. Metalowe ramiona wirowały nad patelnią. Białe kiełbaski z puszki kręciły się wśród marynowanych warzyw. Skwierczał tłuszcz. Jedyny towarzysz Beddeosa był topornym, cylindrycznym urządzeniem osadzonym na dwóch solidnych gąsienicach. Z górnej części korpusu odchodziły dwa długie, wieloprzegubowe i bardzo zręczne ramiona, a nad nimi obracała się masywna półkula głowy, łypiąca błyszczącym, soczewkowym okiem, osadzonym w czymś, co przypominało krótką lunetę. Tyfon dorównywał mu wzrostem, był bardzo inteligentny i wypowiadał się za pośrednictwem wąskiego wyświetlacza umieszczonego na korpusie, dokładnie między jego ramionami. Potrafił gotować i reperować maszyny. Dobrze znał okoliczne tereny i obowiązki strażnika. Jego pomoc była nieoceniona. Dlatego Beddeos bardzo o niego dbał i częściej niż należało konserwował elektrownię wiatrową, wraz z podłączonymi do niej blokami akumulatorów oraz systemem ładowania baterii Tyfona.

Beddeos traktował go jak przyjaciela.

Tyfon przerzucił kiełbaski z warzywami na cynowy talerz, który postawił na stole.

– Skąd wiedziałeś, że wracam? – zapytał Beddeos, siadając do jedzenia.

Zaklekotał wyświetlacz.

ZAWSZE SPĘDZASZ TAM
TYLE SAMO CZASU
POZA TYM WIDAĆ CIĘ Z GÓRY

Beddeos przeżuł i połknął spory kęs jednej z kiełbasek, które same w sobie nie były zbyt smaczne, ale Tyfon potrafił sprawić, że w połączeniu

z równie nijakimi marynowanymi warzywami tworzyły znakomite, soczyste danie.

– Byłeś na górze?

OBSERWOWAŁEM OKOLICĘ

– Oczywiście...

Beddeos zawahał się i zobaczył jak mimowolnie zadrżała mu ręka, w której trzymał widelec. Przełknął ślinę i słony posmak sosu.

– Widziałeś go?

DZISIAJ NIE

Nie poczuł ulgi. Olbrzym na pewno przyczaił się w okolicy. Beddeos skończył jeść i oddał talerz Tyfonowi. Patrzył, jak maszyna myje naczynia.

– Od zachodu niebo zaciąga się chmurami. Może będzie padać.

MÓJ BAROMETR MÓWI CO INNEGO

– A co ci mówią soczewki?

TO NIE SĄ CHMURY
TYLKO KŁĘBY KURZU
BĘDZIEMY MIELI GOŚCI

Beddeos podszedł do brudnego iluminatora. Przetarł dłonią pancerne szkło. Nad lasem unosiły się zwały ciemnego pyłu. Już nie wyglądały jak chmury.

– Co ich tu wszystkich sprowadza?

STUDNIA
POCZTA
PUNKT WYMIANY

Beddeos nigdy nie miał pewności czy Tyfon żartuje, czy nie.

2

Beddeos pobiegł do obserwatorium – kolistego pomieszczenia, mieszczącego się na najwyższej kondygnacji wieży. Spojrzał w stronę traktu, który szerokim łukiem wcinał się w rzadki, karłowaty las. Uniósł lunetę. Gęstniejące kłęby kurzu przysłaniały widok, ale od czasu do czasu połyskiwał w nich gigantyczny, łuskowaty pancerz.

W wieży nie było schodów. Piętra połączono łagodnymi pochylniami, żeby Tyfon mógł bez trudu dotrzeć w każde miejsce strażnicy. Beddeos słyszał, jak maszyna powoli pnie się do góry, chrzęszcząc stalowymi gąsienicami. W końcu stanęła obok niego. Zawirował wyświetlacz.

TAK MYŚLAŁEM

TO TAGRUS

LEPIEJ PÓJDĘ I UDROŻNIĘ ZAWÓR

Beddeos kiwnął głową.

– I sprawdź, czy nikt nie stoi pod drzwiami. Czasami wysyłają kogoś przodem, żeby przyśpieszyć procedurę. Ciekawe czy ich znamy?

DOBRZE

– Nie, czekaj. Sam sprawdzę. Zajmij się zaworem. Lepiej ci to wychodzi.

Tyfon zawrócił w miejscu i pojechał w dół. Przez chwilę Beddeos szedł za nim, ale zostawił go na wysokości kwatery. Dwa półkoliste pomieszczenia, połączone skrzypiącymi drzwiami, przypominały klasztorne cele. W jednym mieściły się spora szafa na ubrania, rozchybotane krzesło oraz wąskie łóżko z drewnianą ramą, na której wisiała moskitiera. A w drugim sekretarzyk, twardy, ale wygodny fotel obity wypłowiałym suknem i pusta półka na książki. Beddeos odłożył lunetę i sięgnął po kuszę.

Z trudem napiął cięciwę – mechanizm był zardzewiały i stawiał opór – a potem nałożył bełt. Nie potrafił się nią posługiwać i nigdy nie musiał, ale czuł się pewniej, gdy trzymał ją w rękach. Upewnił się, że bezpiecznik jest we właściwej pozycji, i zszedł na parter. Już miał spojrzeć przez wizjer umieszczony w pancernych drzwiach, kiedy coś w nie stuknęło. Drgnął. Z zewnątrz dobiegł przytłumiony głos.

– Beddeos?! Hej! Jesteś tam?!

Strażnik uśmiechnął się i odblokował drzwi. Masywny prostokąt grubej stali odchylił się na bok. Na zewnątrz, wśród kamieni kucał Tahu, jeden z trutli. Był mały, pokryty krótką szarą sierścią i zarówno na dwóch, jak i na czterech kończynach poruszał się z taką samą zręcznością.

– Nie mierz do mnie, bo będzie nieszczęście – zasugerował Tahu.

– Miałbym wreszcie świeże mięso – parsknął rozbawiony Beddeos i opuścił kuszę. Nie ukrywał, że cieszy się na jego widok. Tahu był jednym ze zwiadowców, którzy patrolowali teren na trasie przejścia tagrusa. Dwa, może trzy lata temu niedaleko wieży Beddeosa dopadł go wielki drapieżny owad, którego Mali Ludzie króla Orfy nazywają tyczkonogim gavusem. Na szczęście, w strażnicy zatrzymali się wtedy czterej tulpa. Co to był za widok!

Cisza. Słońce w zenicie. Nagle zza wieży wypada trutel. Mknie jak czworonożny pocisk porośnięty sierścią. Zaraz za nim spada gavus. Porusza się ogromnymi skokami i wygląda to tak, jakby spadł wprost z bezchmurnego nieba. Płaski chitynowy pancerz na ośmiu długich, wielosegmentowych odnóżach. Jest niesamowicie szybki i dwukrotnie wyższy od Beddeosa. Trutel zdołał odskoczyć i ruszył w stronę wejścia do wieży, a gavus wygiął nogi, niemal przylgnął tułowiem do gruntu i pomknął za nim. Wszystko dzieje się w mgnieniu oka. Beddeos zauważa tylko, że przód pancerza owadziego drapieżnika otwiera się i wysuwają się z niego koszmarne szczękoczułki. Trutel przebiega obok Beddeosa, a gavus skacze, ale coś niewidzialnego dopada go w locie i z ogromną siłą wbija w piasek. Wije się jak rozgniatany karaluch, lecz nie może uciec, bo nie ma już nóg. Tulpa wolno przelatuje nad głową Beddeosa i zbliża się do gavusa, który syczy i wściekle gryzie piasek. Nawet go nie dotyka. Zawraca i dołącza do towarzyszy, a drapieżny owad bulgocze i rozpada się na kawałki. Jakby sam z siebie, bez niczyjego udziału. Beddeos sztywno ogląda się na tulpa.

Każdy z nich wygląda jak wielki kościany dzwon, na górze najeżony lasem długich kolców, poprzetykanych koralowymi zgrubieniami, a od dołu uzbrojony w dwanaście przegubowych, pancernych macek. Z boku mają jeszcze małe rogowe tarcze o niewiadomym przeznaczeniu. Tylko w ostateczności posługują się uniwersalną mową. Wtedy również żaden z nich nie wypowiedział ani jednego słowa. W ciszy lewitowali nad ziemią. Beddeos poczuł się nieswojo i poszedł szukać trutla, który uciekał przed gavusem. Znalazł go w wieży. Nazywał się Tahu, był ranny i Beddeos musiał go opatrzyć. Pomógł mu Tyfon. Kilka dni później do strażnicy przybył tagrus, krocząc miasto trutli, i Tahu odszedł wraz z nim. Wtedy byli już przyjaciółmi.

– Dobrze cię widzieć – mruknął Beddeos, przewiesił kuszę przez ramię i przyklęknął obok Tahu. Nawet w tej pozycji był wyższy.

– Zanim tu dotrą, minie trochę czasu. Masz to jeszcze?

Patrzyli, jak zbliża się celulozowa góra ruchomego miasta. Majestatyczny kolos poruszał się na wielu grubych, sękatych nogach, które powstały z przetworzonych pni drzew. Trutle były specjalistami w kształtowaniu roślin, i to miasto było najlepszą wizytówką ich umiejętności. Ziemia drżała w rytmie jego kroków.

– Tak. Do tej pory nikt się po to nie zgłosił – potwierdził Beddeos.

– Mogę zerknąć?

– Chodź. Ale musimy się pośpieszyć.

Tahu wskoczył do wieży. Beddeos puścił go przodem. Spotkali się w magazynie depozytów, który właściwie powinien być zamknięty na klucz, ale Beddeos nie czuł się zobligowany do przestrzegania regulaminu. Często się o to spierał z Tyfonem, lecz najczęściej kończyło się na tym, że wbrew wszelkim argumentom stawiał na swoim i magazyn pozostawał otwarty, a Tyfon nic nie mógł zrobić, bo Beddeos złośliwie chował przed nim klucz. Ta zabawa nigdy im się nie nudziła.

W niewielkim pomieszczeniu stało na półkach kilka paczek, starannie zawiniętych w wypłowiały papier, oraz drewniana skrzynka, w której leżały listy pozostawione przez karawany. Środek podłogi zajmowała zaplombowana beczka. Tak ciężka, że nawet razem z Tyfonem nie mogli przesunąć jej pod ścianę. Podobno zostawił ją tu kiedyś potężny, salamandroskóry zamin, który ledwo mieścił się w drzwiach wieży – w każdym razie tak twierdził Tyfon, a Beddeos musiał mu wierzyć na

słowo, bo stało się to przed jego przybyciem. W magazynie było coś jeszcze. Coś, co umieścili tu czterej tulpa, którzy byli w strażnicy, gdy gavus zaatakował Tahu.

Czasem wyglądało to jak szklany kwiat. Innym razem jak żelatynowa litera, wypełniona żywą, pełgającą luminescencją. Tahu mógł godzinami przyglądać się tej zagadkowej rzeczy lewitującej pod sufitem.

– Niesamowite, jest trochę inne niż pamiętam. Czy to się zmienia?

Beddeos usiadł na beczce i spojrzał w górę.

– Nie mam pojęcia. Rzadko tu zaglądam. Odkąd mieszkam w wieży, nikt nie odbiera paczek i listów. Poza tym nie lubię na to patrzeć. Spowalnia czas, przywołuje wizje. Nie sposób nad tym zapanować. Chciałbym, żeby ktoś to wreszcie zabrał. Może jakiś tulpa...

Tahu zmrużył oczy i zerknął krzywo na Beddeosa.

– Często ich widujesz?

– Czasami. Z daleka.

– Jak przelatują po niebie w przezroczystych bąblach?

– Tak.

– Ale od dnia, w którym mnie uratowali, żaden tu nie wylądował?

– Zgadza się.

– Nie dziwi cię to?

– Nie.

– Naprawdę?

– Do czego zmierzasz?

– Może to coś specjalnie dla ciebie, wiesz, albo...

Zachrzęściły gąsienice i w drzwiach magazynu depozytów pojawił się Tyfon. Tahu i Beddeos jednocześnie spojrzeli w jego stronę. Wyświetlacz szybko zmieniał słowa.

WITAJ TAHU
POŚPIESZCIE SIĘ
JUŻ SĄ

3

Beddeos i Tahu wyszli na zewnątrz. Kurz jeszcze wisiał w powietrzu, ale z każdą chwilą było go coraz mniej. Nad wieżą górował przytłaczający, szyszkowaty masyw tagrusa. Trudno było oszacować jego wielkość. Mógł mieć ze sto pięćdziesiąt metrów długości i blisko siedemdziesiąt wysokości. Kiedy kroczące miasto stoi w miejscu, las jego kilkunastometrowych nóg przypomina mroczny zagajnik starych, grubych drzew, które rosną tak blisko siebie, że ich gęste listowie całkowicie odcina dopływ światła i nawet w jasne, ciepłe dni rzuca głęboki cień. Jednakże w przypadku tagrusa to nie liście zatrzymują światło, lecz ogromna bryła miasta, wspierająca się na czymś, co już tylko z wyglądu przypomina drzewa.

Zaroiło się od trutli. Z niesłychaną zręcznością wspinały się po pionowych ścianach łuskowatego pancerza. Otworzyły pokrywę w boku kolosa i rozwinęły gruby, elastyczny przewód. Sprawnie zablokowały go w zaworze umieszczonym w połowie wysokości wieży.

Beddeos patrzył w górę i nasłuchiwał szumu wody przepompowywanej z podziemnego zbiornika wieży do komór irygacyjnych ukrytych we wnętrzu miasta.

– Nie idziesz pomóc Tyfonowi? – zapytał Tahu.

– Poradzi sobie. Zna się na tym lepiej niż ja. Ale chyba pora na ciebie – odparł Beddeos, widząc, że po drabinkach sznurowych zsunęły się trzy trutle i zmierzają w ich stronę.

– Racja – powiedział Tahu. – Chociaż słudzy Najstarszego nie idą do mnie.

Beddeos spojrzał na niego pytająco, ale nie zdążył nic powiedzieć.

– Witaj, cesarski strażniku – sztywno przemówił środkowy trutel.

Jego towarzysze trzymali się nieco z tyłu. Wszyscy trzej byli przepasani szarfami wyplecionymi z łyka, na których powtarzał się czerwony rysunek czteropalczastej dłoni z przeciwstawnym kciukiem. Mimo że trutle nie noszą ubrań, Beddeos nie potrafił odróżnić samców od samic, bo wszystkie były do siebie podobne, jak krople wody. Wielokrotnie zastanawiał się, jak to się dzieje, że bez trudu rozpoznaje wśród nich Tahu, który również niczym się nie wyróżniał. Zaprzyjaźniony trutel próbował mu kiedyś wytłumaczyć, że tak naprawdę Beddeos poznaje go po zażyłości, która ich łączy, a nie po znajomych kształtach ciała, ale trudno to było uznać za satysfakcjonujące wyjaśnienie.

– Witajcie – odparł zmieszany Beddeos.

– Zmieniła się opłata?

– Nie, ale nigdy nie załatwialiśmy tego w tak oficjalny sposób.

Środkowy skinął na trutla, który stał po jego prawej stronie. Sakiewka zmieniła właściciela i Beddeos poczuł w dłoni ciężar pięćdziesięciu turali. Zajrzał do środka. Wydawało się, że garść misternie rzeźbionych monet z czarnego obsydianu wręcz pochłania światło. Zamknął sakiewkę.

– Najstarszy wzywa – dodał szybko środkowy trutel, jakby się bał, że Beddeos ucieknie do wieży, zanim on zdąży mu przekazać wiadomość.

– Kogo?

– Przyjdziemy po ciebie wieczorem.

Posłańcy ukłonili się i odeszli. Beddeos odprowadził ich wzrokiem. Wszedł do wieży, gdy zaczęli się wspinać na grzbiet tagrusa. Zaryglował drzwi i odszukał Tyfona. Wciąż stał przy tablicy kontrolnej. Obserwował wskazania cyferblatów, które informowały, jakie jest ciśnienie w rurach i ile wody zostało w zbiorniku. Beddeos opowiedział mu o wezwaniu. Tyfon obrócił się w jego stronę, żeby mógł zobaczyć wyświetlacz.

TO COŚ NOWEGO
NIE PAMIĘTAM ŻEBY KIEDYKOLWIEK
ZDARZYŁO SIĘ COŚ PODOBNEGO
PÓJDZIESZ?

– Nie wiem, raczej tak. Właściwie to chyba nie mam wyboru i, prawdę mówiąc, jestem trochę ciekaw.

MIASTA?

– Też, ale głównie powodu.

TAK

RZECZYWIŚCIE DZIWNE
MYŚLISZ ŻE MA TO JAKIŚ ZWIĄZEK?

– Z czym?

Z OLBRZYMEM

– Nie. Nie wiem. Może...

IDŹ
NIE MA SIĘ CZEGO BAĆ
JA BYM POSZEDŁ

Beddeos uśmiechnął się ciepło. Już się zdecydował.

MIMO WSZYSTKO
TO CIEKAWY ZBIEG OKOLICZNOŚCI
JAKBY COŚ MUSIAŁO ŁĄCZYĆ
TE SPRAWY

– To już paranoja, Tyfonie. Szukasz związku tam, gdzie go nie ma.

ŁATWO ROZBIĆ
TWOJĄ PEWNOŚĆ SIEBIE

– Niby jak?

NAJWYRAŹNIEJ WŁASNA WIZJA ŚWIATA
JEST DLA CIEBIE TAK OCZYWISTA
ŻE NIE DOSTRZEGASZ JEJ OGRANICZEŃ
I ELEMENTÓW
KTÓRE SAM PRZED SOBĄ UKRYWASZ
NIE ZAPOMINAJ
ŻE JESTEM DOBRYM OBSERWATOREM

– Jak dotąd, dobrze krążysz wokół tematu.

W TAKIM RAZIE
POWIEDZ MI DLACZEGO
MIMO ŻE BOISZ SIĘ CZARNEGO OLBRZYMA
COZIENNIE WYCHODZISZ Z WIEŻY BEZ BRONI
I WSPINASZ SIĘ NA POBLISKIE WZGÓRZE?

– Robiłem to już wcześniej, zanim się pojawił. Gdybym przestał, w ogóle nie miałbym odwagi stąd wyjść.

OSZUKUJESZ SAM SIEBIE
NIGDY NIE NOSIŁEŚ BRONI
NAWET PO TYM
JAK GAVUS NIEMAL POŻARŁ TAHU
A PRZECIEŻ DOBRZE ZNASZ TE STRONY
CHCESZ SKONCZYĆ JAKO
JĘCZĄCA MARIONETKA
W SZPONACH LEVALI?
ALBO ŻYWA WYLĘGARNIA

JADOWITYCH LARW SPOKRUSA?
TWOJA SPRAWA
ALE MAM WRAŻENIE
ŻE NIE DOKONUJESZ TEGO WYBORU
ŚWIADOMIE

Beddeos zadrżał. Fala wilgotnego ciepła zrosiła mu twarz.

– Dlaczego... – wychrypiał, odkrztusił flegmę i spróbował jeszcze raz. – Dlaczego mi na to pozwalasz?

BO NIE MAM NAD TOBĄ WŁADZY
NIKT NIE MA
SAM MUSISZ DECYDOWAĆ
JA MOGĘ TYLKO WSKAZAĆ I DORADZIĆ
JEŚLI TEGO CHCESZ

Beddeos nie wiedział, co powiedzieć. Miał zamęt w głowie. Czuł, że jest na krawędzi paniki.

– Tak, Tyfonie, przepraszam, ale...

Pobiegł do swojej kwatery i padł na łóżko. Dyszał jak po długim, wyczerpującym biegu i zmagał się z naporem ambiwalentnych uczuć. Po kilkunastu minutach jego oddech się uspokoił i Beddeos obrócił się na plecy. Leżał z otwartymi oczami. Jego spojrzenie przenikało przez plamy na suficie. W oku cyklonu, w samym wnętrzu uspokojonej przestrzeni, coś się rysowało. Jeszcze niewyraźnie, ale było stabilne i dające mocne oparcie. Natarczywe pukanie przywołało go do rzeczywistości. Podniósł się z łóżka i otworzył drzwi. Za progiem stał Tyfon. Beddeos spojrzał na jego wyświetlacz i zrozumiał, że przeleżał całe popołudnie. Napis się nie zmieniał i kłuł w oczy jak wyrzut sumienia.

CZEKAJĄ NA CIEBIE

– Tak, już idę – rzucił zrezygnowany. Chciał minąć Tyfona, ale maszyna delikatnie chwyciła go za rękę i zatrzymała w miejscu. Beddeos spojrzał pytająco.

ZAPOMNIAŁEŚ

Dopiero teraz zauważył, że Tyfon podaje mu spiżowy glejt dla tagrusa, zezwalający na przekroczenie granicy i wejście na teren cesarstwa. Ścisnął w dłoni równowartość pięćdziesięciu turali, podziękował i pobiegł na dół.

Przed wejściem do wieży czekały na niego trzy trutle. Beddeos nie wiedział, czy są to te same, które mu zapłaciły. Co prawda, miały na sobie identyczne szarfy, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Stały w identycznym szyku. Podobnie jak wcześniej, przemówił tylko środkowy.

– Chodź! Najstarszy czeka.

Beddeos skinął głową. Nie wiedział, co powiedzieć. Na szczęście, nikt nie czekał na jego słowa. Trutle ruszyły przodem, nie oglądając się za siebie. Zatrzymali się przy drabinkach sznurowych. Beddeos zdawał sobie sprawę, że to będzie ciężka wspinaczka. Nie chciał pokazać, że trochę się boi, i szybko przymierzył się do jednej z drabinek.

– Zaczekaj – powstrzymał go środkowy. – Zaraz spuszczą kosz.

Spojrzeli w górę, skąd rzeczywiście zsunął się duży wiklinowy kosz, podrygujący na końcu grubo skręconej liny. Beddeos wszedł do niego z ulgą. Środkowy trutel gwizdnął przenikliwie i skrzypiąca lina uniosła strażnika w górę. Trutle błyskawicznie wspięły się po drabinkach i zniknęły na górze. Beddeos został sam. Spojrzał w stronę wieży i zobaczył, że Tyfon domyka pancerne drzwi. Chciał mu pomachać, lecz zamarł z ręką w górze. Zza niewielkiego osypiska po pustynnej stronie granicy wyłonił się czarny kształt. Nawet z tej odległości było widać, że jest niewiele mniejszy od wieży. Humanoidalny, barczysty, z dziwnie nieregularną głową, na której wyróżniały się dwa wielkie, jasne punkty. Strażnik nie miał wątpliwości, że czarny olbrzym patrzy właśnie na niego. Nagle kosz przestał się wznosić i z gwałtownym szarpnięciem został wciągnięty na wąską platformę. Beddeos stracił równowagę i poczuł, że wypada z kosza, ale trutle błyskawicznie opanowały sytuację i pomogły mu wysiąść. Stanął na platformie, odruchowo chwycił się masywnego kołowrotu i odwrócił się w stronę pustyni.

Ani śladu czarnego olbrzyma.

Platforma szybko opustoszała. Jeszcze przed chwilą było na niej kilkanaście trutli, ale większość zdążyła już wskoczyć do ciemnego otworu, który zionął dusznym, wilgotnym tchnieniem. Zostali tylko Beddeos, dwóch strażników uzbrojonych w miecze, które wyglądały jak ogromne kolce – albo raczej były to kolce, które kształtem przypominały miecze – oraz trutel przepasany znajomą szarfą.

– Trzymaj się blisko mnie – powiedział i zniknął w mroku owalnego wejścia.

Beddeos wytarł w spodnie wilgotne dłonie, zgiął się wpół i podążył za nim. Już po kilku krokach uderzył się w głowę i musiał opaść na kolana. Otulony ciemnością i dusznymi oparami gorącej wilgoci brnął w głąb

ciasnego korytarza, przekonany, że właśnie tak czuje się ktoś, z kogo zadrwiło szczęście, bo gigantyczny potwór połknął go w jednym kawałku.

Kamienna ćma

4

Beddeos szybko oswoił się z ciemnością i odkrył, że ciasne tunele wypełnia delikatna luminescencja. Dzięki niej zobaczył swojego przewodnika i przestał się bać, że zabłądzi w trzewiach tagrusa. Po pokonaniu kilku wąskich zakrętów dotarli do większego tunelu, którym w jedną i drugą stronę nieustannie przemykały trutle. Beddeos wreszcie mógł się wyprostować. Potem przeszli przez labirynt twardych, mechatych grzybów i dotarli do wysokiego pomieszczenia, wypełnionego gęstymi porostami i monotonną muzyką ściekającej wody. Tu zaczynała się stroma pochylnia, która spiralnie pięła się po ścianach i prowadziła do długiej, mocno oświetlonej komory. W środku stał niski stół, przy którym klęczało kilkanaście trutli. Nad nimi unosiły się kule migotliwego światła. Beddeos usiadł na podłodze w miejscu, które wskazał przewodnik. Wszyscy patrzyli na niego w milczeniu. Stół nie był zastawiony. Ów fakt nieprzyjemnie podkreślała krępująca cisza. Beddeos zdał sobie sprawę, że zbyt lekkomyślnie przyjął to wezwanie.

Wtem jeden z trutli oparł się o stół. Różnił się od innych. Był przygarbiony, ale w jego oczach czaił się spryt.

– Dotychczas oglądałem cię z daleka – powiedział. – To zawsze był dziwny widok, ale z bliska jesteś jeszcze dziwniejszy. Duży, niezgrabny i niepodobny do czegokolwiek. Wiesz, ilu ludzi spotkaliśmy, od kiedy klan Rogo wędruje swoim tagrusem?

– Domyślam się – odparł cicho Beddeos.

– Żadnego. Oprócz ciebie, oczywiście. Nawet w granicach cesarstwa człowiek jest stworzeniem równie rzadkim jak skrzydlata knarva. To trochę

dziwne, nie uważasz?

– Wszyscy mi to mówią. Nic nie poradzę.

– My, trutle, nie lubimy anomalii, odczuwamy dyskomfort, kiedy musimy się zadawać z czymś, co jest jedyne w swoim rodzaju. Czujemy się niepewnie i zdecydowanie bardziej wolimy obcować ze stadem, grupą, rzeczami i istotami, które wzajemnie nadają sobie znaczenie. Oczywiście istnieją też inne strażnice, ale w większości są zrujnowane, a w pozostałych zamieszkały drapieżniki, lub sami strażnicy przepoczwarzyli się w coś, od czego lepiej trzymać się z daleka. Wychodzi na to, że nie dość, że jesteś jedyny w swoim rodzaju, to jeszcze prowadzisz być może ostatnią działającą strażnicę. Niestety, bez glejtu nie można się poruszać po interiorze cesarstwa, bo kryształowe anteny są nieubłagane, więc chyba jesteśmy na siebie skazani, ale im szybciej się z tym uporamy, tym lepiej.

– Skoro tak, to czemu mnie wezwałeś?

– Wiąże mnie obietnica, którą dałem Orfie, królowi Małych Ludzi. Z pewnością słyszałeś, że ci koczownicy raz w roku organizują Radę w ruinach Sowiego Pałacu.

– Podobno...

– Zawsze staram się brać w niej udział. Mali Ludzie przemierzają Usimę wzdłuż i wszerz, więc można się od nich dowiedzieć sporo ciekawych rzeczy. Ale w tym roku Orfa mówił też o tobie. Jedno z jego plemion zapuściło się daleko na południe, w zimne góry Quram, ponad którymi igra oślepiająca iskra kryształowej twierdzy Inabulusa Knalba. Znaleźli tam wrak latającego pojazdu, z którego wydobyli coś, co podarowali Orfie, a on podczas Rady zdecydował, że trzeba to dostarczyć tobie.

– Dlaczego?

– Nie wiem i nie interesuje mnie to, ale cieszę się, że wreszcie mogę się tego pozbyć. I ciebie również. Żegnam.

Przewodnik pomógł Beddeosowi wstać, a potem bez słowa wyprowadził go z komory. Dopiero na dole, kiedy strażnik wygramolił się z kosza, a z drugiego trutle wyładowały cylindryczną skrzynię, wstyd, upokorzenie i wściekłość zaczęły powoli ustępować miejsca ciekawości. Zapadła noc i rozgwieżdżone niebo przeglądało się w gładkim, wypukłym wieku skrzyni. Beddeos chwycił za okrągły uchwyt i pociągnął ją po piaszczystej ziemi. Była zaskakująco ciężka.

Tyfon już na niego czekał. Otworzył drzwi, pomógł wnieść skrzynię i skrupulatnie zasunął rygle. Kiedy się odwrócił, na wyświetlaczu czekało pytanie.

CO TO JEST?

– Nie mam pojęcia. Nie zaglądałem do środka.

TO OD NICH?

– Tak jakby.

JAKBY CO?

– Właściwie to podarunek od króla Orfy. Trutle pełniły tylko rolę posłańca.

ROBI SIĘ DZIWNIE

WYJAŚNIŁY COŚ?

Beddeos wzruszył ramionami.

– Tak. Że nie jestem mile widziany.

CZYLI BYŁO CIEKAWIE?

– To niewłaściwe słowo. Żałuję, że tam poszedłem.

NIE POWINIENEM BYŁ CIĘ NAMAWIAĆ

– Przecież sam zdecydowałem... a niech to!

CO SIĘ STAŁO?

Beddeos przypomniał sobie o spiżowej tabliczce i wyjął ją z kieszeni.

DLACZEGO NIE PRZEKAZAŁEŚ GLEJTU?

– Wszystko działo się tak szybko. Nie miałem czasu, żeby zebrać myśli. Muszę tam wrócić...

MOŻE JA PÓJDĘ?

– Nie, lepiej...

Nagle coś rąbnęło w pancerne drzwi i obaj zamarli. Tyfon ruszył się pierwszy. Wyjrzał przez wizjer.

– Tak, tak, to ja – usłyszeli głos Tahu.

Wpuścili go do środka. Trutel zerknął krzywo na Beddeosa i zapytał:

– Aż tak źle?

– A jak myślisz?

– Mam to częściej niż ty.

– Dopiekł mi ten stary pokurcz, ale właściwie to nic takiego. Duma szybko się goi.

– Cieszę się, że tak myślisz. Rozumiesz już, dlaczego zostałem zwiadowcą?

– Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Za nic tam nie wrócę. Chociaż nie, chyba muszę...

– Dlaczego?

ZAPOMNIAŁ O GLEJCIE

– A ja właśnie w tej sprawie.

Beddeos podał mu spiżową tabliczkę.

– Dziękuję.

– Drobiazg, przecież nie przyszedłem tu z własnej woli. Po zmroku wolno opuszczać miasto tylko na osobiste polecenie Najstarszego. Czy to jest skrzynia od króla Orfy?

– Tak.

– Zaglądaliście do środka?

JESZCZE NIE

– Może lepiej tego nie robić?

– Daj spokój, nie jesteś ciekaw? Co to za znak na wieku?

MOSIĘŻNY PENTAKL INABULUSA KNALBA

TO JEGO WŁASNOŚĆ

Beddeos przyklęknął i przesunął dłonią po gładkiej, wypolerowanej powierzchni skrzyni.

– Jest piękna – stwierdził.

– Otworzysz ją wreszcie?

– Nie wiem jak. Nie ma żadnych zamków ani zatrzasków. Widzicie coś z drugiej strony?

NACIŚNIJ PENTAKL

TEN PIĘCIOKĄT W ŚRODKU

– Skąd wiesz?

PO PROSTU SPRÓBUJ

Beddeos przyłożył dłoń do symbolu. Był ciepły. W pierwszym odruchu chciał cofnąć rękę, ale się powstrzymał i nacisnął pięciokątny kształt. Coś szczęknęło. Wieko skrzyni powoli się uniosło.

– Co to jest? – zapytał niepewnie Tahu.

NIE MAM POJĘCIA

– Ja też – przyznał Beddeos.

W skrzyni był ukryty skomplikowany mechanizm. Składał się z niezliczonych kół zębatych, misternie rzeźbionych powierzchni z lśniącego mosiądzu, teleskopowo złożonych elementów, niewielkich skórzanych miechów, dziesiątek tulei i przekładni. Przypominało to wnętrze

zegara, który wskazuje czas z innego świata, lecz równie dobrze mogło być czymś zupełnie innym.

MOŻE TO UŚPIONY
MODUŁ BADAWCZY?

–Trudno powiedzieć.

Beddeos ostrożnie dotknął urządzenia.

– Ciekawe, czemu Orfa mi to przysłał? Tahu, wiesz coś na ten temat?

– Nie, nie byłem na spotkaniu w Sowim Pałacu, słyszałem tylko plotki. Ale nie sądzę, żeby były prawdziwe.

– Mimo to, chciałbym, żebyś mi powiedział.

– Mówią, że to sam Knalb przekazał tę skrzynię Małym Ludziom i poprosił, żeby dostarczyli ją tobie.

– Dlaczego?

– Żebyś miał się czym bronić, gdy przybędzie Raziri.

Beddeos poczuł ciarki na plecach i wstał.

– Co to jest Raziri?

WEDŁUG JEDNEJ
ZE STAROŻYTNYCH LEGEND
WIELE TYSIĄCLECI TEMU
KIEDY NA USIMIE KWITŁA
CYWILIZACJA ABISALI
PRZYBYŁA TU ISTOTA
ZWANA RAZIRI
NIKT NIE POTRAFIŁ
PRZECIWSTAWIĆ SIĘ JEJ POTĘDZE
I W KRÓTKIM CZASIE
ZMUSIŁA ABISALI
DO PORZUCENIA PLANETY
ALE KIEDY ODESZLI
USIMĘ OPUŚCIŁA RÓWNIEŻ
ISTOTA ZWANA RAZIRI
OCZYWIŚCIE JEST TO
TYLKO JEDNA Z WIELU OPOWIEŚCI
KTÓRE PRÓBUJĄ WYJAŚNIĆ
TAJEMNICZE ZNIKNIĘCIE
CYWILIZACJI ABISALI
RÓWNIE MAŁO PRAWDOPODOBNA
JAK DZIESIĄTKI INNYCH

Beddeos zamknął skrzynię i spojrzał badawczo na Tyfona.

– Wiadomo, jak ona wyglądała?

NIE

– Moim zdaniem to wszystko bzdury – wtrącił się Tahu. – Plotki i stare opowieści bez krztyny sensu. Nie zdziwiłbym się, gdyby cała ta sprawa okazała się złośliwym żartem Najstarszego. Niestety, muszę was z tym zostawić. Na mnie już czas. Rano tagrus rusza w dalszą drogę. Do zobaczenia.

Beddeos przyklęknął, uścisnął przyjaciela i zatrzasnął za nim drzwi. Wyświetlacz Tyfona milczał.

– To nie on, prawda?

OCZYWIŚCIE ŻE NIE!

ZANIEŚĆ SKRZYNIĘ
DO MAGAZYNU DEPOZYTÓW
CZY MOŻE
CHCESZ SIĘ JEJ PRZYJRZEĆ
W SWOJEJ KWATERZE?

Beddeos chciał.

5

Wczesnym rankiem Beddeos wspiął się na swoje ulubione wzgórze i drżąc w podmuchach zimnego wiatru, obserwował pustynię. Nad horyzontem unosił się gęsty obłok szarego pyłu, który zostawił za sobą kroczący tagrus. Po niebie wędrowały wypiętrzone gmachy ciemnogranatowych chmur, z których bardzo rzadko padał deszcz. Ich suchy przemarsz mógł trwać całymi tygodniami. Beddeos narzucił kaptur i wrócił do wieży.

Tyfon krzątał się w swoim owalnym warsztacie, mieszczącym się poniżej poziomu gruntu. Elektryczne żarniki dawały mało światła, ale ich piękna złotawa poświata zmieniała podziemną graciarnię w skarbiec pełen ciepłego, miedzianego blasku. Pod ścianą, w kręgu jaśniejszego światła, Tyfon układał coś w metalowych skrzynkach. Beddeos prześlizgnął się ostrożnie między stołami, na których piętrzyły się wybebeszone mechanizmy, i usiadł na drewnianym blacie. W tej pozycji mógł z nim rozmawiać, nie odrywając go od pracy.

Przez chwilę przyglądał się w milczeniu, jak ze śrubek, drutu, kawałków drewna i małych płaskowników zgrabne dłonie Tyfona budują niewielkie figurki ludzi. Jedną małą, niezgrabną i patykowatą oraz dwie wyraźnie większe i bardziej dopracowane. Beddeos wielokrotnie pytał Tyfona, dlaczego je tworzy i ustawia w mikroskopijnych modelach pokoi, ale maszyna nie potrafiła odpowiedzieć. Na jego oczach Tyfon delikatnie włożył figurki do atrapy sypialni i posadził na łóżku wystruganym z kawałka drewna. Była tam również prowizoryczna szafa, zrobiona ze stalowego sześcianu, na którym wyskrobano rylcem potrójne drzwi oraz

stolik z mutry przykrytej deszczułką. Beddeos przyjrzał się uważnie jednej ze ścian.

– Co to? – zapytał. – Wcześniej tego nie było.

GDZIE?

– No tu. Wystaje zza szafy.

Tyfon uniósł stalowy sześcian i odsłonił koślawe kółko, niedbale wyryte w ściance metalowej skrzynki.

CIEKAWE
NIE PAMIĘTAM
KIEDY TO ZROBIŁEM

– Może chciałeś tu zaznaczyć okno? – zasugerował Beddeos.

WYKLUCZONE
WSZYSTKO JEST JUŻ
NA SWOIM MIEJSCU

Tyfon zamarł w bezruchu z uniesionymi ramionami, co mogło wyrażać zdumienie połączone z głębokim namysłem. Beddeos wiedział, że i tak nie zrozumie, czemu to dla niego takie ważne, więc szybko zmienił temat.

– Znowu go widziałem – powiedział.

KOGO?

– Przestań się wygłupiać.

KIEDY?

– Tuż przed wejściem do tagrusa.

I CO?

– Wciąż nas obserwuje.

MIAŁ WIELE OKAZJI
ŻEBY ZAATAKOWAĆ
CZEMU TEGO NIE ROBI?
NA CO CZEKA?

– Właśnie to mnie przeraża.

MOŻE NAPRAWIĘ CI KUSZĘ
ALBO ZBUDUJĘ JAKĄŚ
SKUTECZNIEJSZĄ BROŃ
I SPRÓBUJEMY SIĘ DOWIEDZIEĆ?

– Widziałeś go kiedyś? To samobójstwo. Równie dobrze mógłbym do niego strzelać zapałkami.

TYLKO RAZ

– Co „tylko raz”?

TYLKO RAZ GO WIDZIAŁEM

– A tak, pamiętam, mówiłeś mi. To było wtedy, gdy zaatakował cię spokrus...

NAWET GO NIE ZAUWAŻYŁEM
HUKNĘŁO
ZADRŻAŁA ZIEMIA
ODWRÓCIŁEM SIĘ
A TUŻ ZA MNĄ SPOKRUS
WIJE SIĘ ROZGNIECIONY
WIELKIM GŁAZEM
OLBRZYM STAŁ PONAD
STO METRÓW DALEJ
UCIEKŁEM
BO MYŚLAŁEM
ŻE CELOWAŁ WE MNIE
ALE CHYBA NIE
BO MNIE NIE GONIŁ

– Bzdura. Miałeś szczęście i tyle.

NAPRAWDĘ UWAŻASZ
ŻE MOŻNA MÓWIĆ O SZCZĘŚCIU
W PRZYPADKU KOGOŚ
KTO ZE STU METRÓW
TRAFIA OGROMNYM KAMIENIEM
W RUCHOMY CEL?

Beddeos wzruszył ramionami. Przerażała go obecność czarnego olbrzyma i żadne argumenty nie były w stanie tego zmienić. Owszem, dziwna istota nigdy go nie zaatakowała i nie próbowała uszkodzić strażnicy, ale to niczego nie dowodziło. Może czeka na odpowiedni moment i uderzy, gdy obaj wyjdą z wieży?

– Pamiętasz, kiedy ostatnio wychodziliśmy na zewnątrz?

RAZEM?

– No tak.

NIE
TO MUSIAŁO BYĆ
DAWNO TEMU

– No właśnie!

MYŚLISZ
ŻE NA TO CZEKA?

– Tak sądzę.

PRZYPUŚĆMY
ŻE MASZ RACJĘ

ZAŁATWI NAS
I CO DALEJ?

– Nie mam pojęcia! Może chce zniszczyć wieżę? Może wędruje wzdłuż granicy i niszczy jedną po drugiej?

DLACZEGO MIAŁBY CZEKAĆ
AŻ WYJDZIEMY?

– Rzeczywiście, mógłby to zrobić, gdy jesteśmy w środku, przecież to żadna różnica.

Beddeos poczuł się znużony. Męczyła go ta niewidzialna obecność i nieodparte wrażenie, że cały czas jest obserwowany. Coraz częściej łapał się na tym, że wyobraża sobie czarnego olbrzyma niszczącego wieżę i ta myśl przynosi mu ulgę. To byłaby jakaś odmiana. Ile można czekać w niepewności?

Głośny terkot wyświetlacza wyrwał go z zamyślenia.

MOŻE JEDNAK
PRZYNIEŚ MI
SWOJĄ KUSZĘ

– Dlaczego?

WCIĄŻ WYCHODZISZ
BEZ BRONI
TO SIĘ MUSI SKOŃCZYĆ

– Niech ci będzie, mamusiu – odparł zrezygnowany Beddeos i niechętnie powlókł się do swojej kwatery.

Po chwili wrócił z kuszą. Kilkoma szybkimi ruchami Tyfon rozłożył ją na kawałki i zaczął je czyścić drucianą szczotką. Kontynuował rozmowę, nie przerywając pracy.

ZAUWAŻYŁEŚ OSTATNIO
COŚ DZIWNEGO?

– Co masz na myśli?

NIE WIEM
COKOLWIEK
COŚ NOWEGO
COŚ CZEGO TU WCZEŚNIEJ
NIE BYŁO?

– Tu nic się nie zmienia. Dlaczego pytasz?

WIESZ ŻE NIE SYPIAM
A ŁADOWANIE BATERII
TRWA ZALEDWIE
KILKA GODZIN

I KIEDY JUŻ SKOŃCZĘ
ZAZWYCZAJ
BŁĄKAM SIĘ PO WIEŻY
NAPRAWIAM
RÓŻNE RZECZY
BUDUJĘ MODELE
A CZASEM
OBSERWUJĘ OKOLICĘ
I OD KILKUNASTU NOCY
WIDZĘ ŁUNĘ
NAD WZGÓRZAMI
JEST CORAZ JAŚNIEJSZA
JAKBY COŚ SIĘ ZBLIŻAŁO
WZDŁUŻ GRANICY

– Widać, co to jest?

NIE
TYLKO NARASTAJĄCY BLASK

– Nie strasz mnie.

POKAŻĘ CI WIECZOREM
JEŚLI CHCESZ

– Nie chcę. Posiedzę tu do zmierzchu. Mogę? Nie będę przeszkadzał.

6

Beddeos zamknął drzwi do wieży. Przekręcił masywny klucz, powiesił go na szyi i spojrzał na Tyfona.

– Już jesteśmy martwi – jęknął.

MÓW ZA SIEBIE

Tyfon wskazał płaski teren między wzgórzami, na którym rosło zaledwie kilka suchych krzewów i karłowatych drzew.

MUSIMY IŚĆ W TAMTĄ STRONĘ
ALE CHYBA LEPIEJ BĘDZIE JAK
TROCHĘ ZBOCZYMY Z DROGI
I W MIARĘ MOŻLIWOŚCI
BĘDZIEMY SIĘ TRZYMAĆ RÓWNYCH
I SŁABO ZAROŚNIĘTYCH TERENÓW
TO COŚ NIE MOŻE BYĆ DALEKO
WIĘC MYŚLĘ
ŻE UWINIEMY SIĘ DO POŁUDNIA

– Ciężko się przeskakuje przez kamyczki, co?

PRZESTAŃ JUŻ
SAM SIĘ ZGODZIŁEŚ

– Bo mi wmówiłeś, że muszę!

NIE MOŻEMY CZEKAĆ
Z ZAŁOŻONYMI RĘKAMI

– Niby tak, ale w wieży można się bronić, a tu nie mamy szans.

NIE WIEMY
CO TAM JEST

– Nieważne, i tak czarny wykończy nas pierwszy. Założysz się?

NIE SĄDZĘ
JESTEM TEGO

NAJLEPSZYM DOWODEM

– Skończ z tymi bajkami! Robisz ze mnie idiotę. Przecież nawet z dwustu metrów widać, że jesteś maszyną. Spokrus mógł, co najwyżej, połamać sobie zęby na twoich gąsienicach. Przyznaj, że to zmyśliłeś.

A SKĄD WIESZ
CZY ON POTRAFI
ODRÓŻNIĆ MASZYNĘ
OD ŻYWEGO ORGANIZMU?
POZA TYM
MNIE TEŻ MOŻNA ZABIĆ
CHYBA
BO TO SIĘ NIGDY
NIE ZDARZYŁO
A PRZYNAJMNIEJ
NIC TAKIEGO
NIE PAMIĘTAM
ALE GDYBY
PADŁO MI NAPIĘCIE
W OBWODACH
TO KTO WIE
CO BY SIĘ STAŁO?
PEWNIE DAŁOBY SIĘ
URUCHOMIĆ TĘ POWŁOKĘ
ALE TYFONA
CHYBA JUŻ NIE

– Przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy. Zawsze myślałem, że masz nade mną przewagę...

I SŁUSZNIE
BO MAM

– Niby jaką?

PAMIĘTASZ LEGENDĘ O RAZIRI
KTÓRĄ CI OPOWIEDZIAŁEM?

– Oczywiście.

ZMYŚLIŁEM JĄ

Zanim Beddeos zdążył zareagować, Tyfon pomknął do przodu zygzakiem, jakby się bał, że strażnik strzeli do niego z kuszy. I w pierwszym odruchu wściekłości Beddeos faktycznie uniósł broń i wycelował. Ale nie wystrzelił. Po chwili, z uśmiechem zarzucił kuszę na plecy i pobiegł za maszyną. Tyfon odjechał kilkanaście metrów, zatrzymał się i odwrócił. Beddeos podszedł do niego wolnym krokiem. Spojrzał na

wyświetlacz. Był pusty, jak miejsce, w którym jeszcze przed chwilą gromadziły się lęki Beddeosa.

– Dziękuję – powiedział. – Znasz mnie lepiej niż ja sam.

MOŻEMY JUŻ IŚĆ?

DNIA NIE PRZYBYWA

– Konserwy okazują więcej emocji.

TO SIĘ Z NIMI ZAPRZYJAŹNIJ

IDZIEMY?

– Niech ci będzie – westchnął rozbawiony Beddeos. – Wejdźmy na to wzgórze. Rozejrzymy się i zdecydujemy, co dalej.

NIE WJADĘ TAM

– Wjedziesz. Po drugiej stronie jest bardzo łagodny stok. – Beddeos ruszył przodem, ale nie mógł się powstrzymać i rzucił przez ramię: – No chodź już! Ile można czekać?!

Szybko okrążyli wzgórze i weszli na szczyt. Beddeos wyjął z torby lunetę.

– Wciąż niewiele widać – mruknął. – Chodźmy na tamten pagórek. Jest wyższy i też powinieneś sobie z nim poradzić.

Wdrapali się na kolejne wzgórze, ale sytuacja się powtórzyła.

– Dalej nic, a na tamte skały już nie wjedziesz. Chyba musimy zaryzykować. Nie wierzę, że to mówię, ale gdybyśmy przeszli przez dolinkę i ominęli łachy piasku, w których na pewno są zagrzebane levale, to może wreszcie zobaczylibyśmy coś nowego. Co ty na to?

SPÓJRZ TAM

MIĘDZY KRZAKAMI

PULSUJE SKÓRZASTE

GNIAZDO SPOKRUSÓW

CHYBA POWINNIŚMY POSZUKAĆ

INNEJ DROGI

– Nie ma innej drogi! Widzisz jak to wygląda. Nie przejdziemy. Może gdybym był sam, ale z tobą... Moglibyśmy się cofnąć. Przekroczymy granicę i podejdziemy od strony pustyni.

WIESZ

ŻE NIE WOLNO

PRZEKRACZAĆ GRANICY

STRAŻNIK JEST JAK BANITA

JEGO MIEJSCE JEST

NA POGRANICZU

POZA TYM

– Dlaczego mam być posłuszny tej zasadzie? Nie prosiłem się tu! Co mnie to wszystko obchodzi?!

Beddeos patrzył wyzywająco na Tyfona, lecz jego wyświetlacz milczał. Zapadła cisza, którą nagle przerwał bezcielesny głos:

– Powinieneś posłuchać przyjaciela. Ma trochę racji. Jest inna droga.

Beddeos błyskawicznie sięgnął po kuszę i rozejrzał się nerwowo. Nie musiał szukać daleko. Tuż za jego plecami opierał się o kamień niski człowiek, który sięgał mu do połowy uda. Miał na sobie ciemne skórzane ubranie – płaszcz, bluzę i spodnie, na których jedna obok drugiej były naszyte duże i małe kieszenie – wysokie buty z cholewami, spiczaste nakrycie głowy, a na plecach nosił dziwaczną, stelażową konstrukcję. Beddeos opuścił broń. Człowieczek zapalił długą fajkę i zaciągnął się dymem. Jego mechaniczna dłoń błysnęła w słońcu.

– Jestem Horta, dowodzę oddziałem Małych Ludzi – powiedział. – Odkąd opuściliście wieżę, robicie strasznie dużo hałasu. Chyba rzadko wychodzicie się przewietrzyć, co?

– Czego chcesz? – burknął Beddeos.

– Czekałem na was. Jeśli przyciągnęło was światło, to musieliście tu trafić, choć dziwię się, że przychodzicie dopiero teraz. Jeszcze dzień zwłoki i byłoby za późno.

Beddeos spojrzał na Tyfona. Jego wyświetlacz wciąż milczał.

– Za późno na co? – zapytał.

– Chodźmy, pokażę wam – odparł Horta, machnął ręką i zaczął schodzić wąską ścieżką. Beddeos był pewien, że jeszcze przed chwilą jej tam nie było.

– Zaczekaj! – krzyknął za małym człowiekiem. – Tyfon tędy nie zjedzie!

– Zjedzie, zjedzie. Nie martw się o niego! – odkrzyknął Horta i ruszył dalej.

Beddeos szedł za nim, ale co chwila oglądał się na Tyfona, który mimo kamieni i krzewów radził sobie zaskakująco dobrze. Razem zeszli w dół wzgórza, okrążyli kilka suchych, splecionych drzew i przez chwilę podążali wzdłuż skalnej ściany, aż minęli wrzecionowaty głaz, za którym kryła się niezbyt szeroka szczelina. Horta wszedł do niej pierwszy, a Beddeos puścił Tyfona przodem i zapierając się o ściany wąskiego przejścia, pomagał mu pokonywać kamienne wybrzuszenia, na których ślizgały się stalowe

gąsienice. Nie trwało to długo. Po chwili szczelina zaczęła się rozszerzać i weszli do obszernej, skalistej niecki. W głębi, na jej kamienistym dnie, rosło niezwykłe, pochylone drzewo, które tylko na pierwszy rzut oka przypominało roślinę. Nie było na nim liści, a jego gładka i jakby wypolerowana kora błyszczała w słońcu jak zielonkawa miedź. Z grubego pnia wyrastały krótkie gałęzie. Wszystkie były zakończone czymś, co przypominało duże, stożkowate owoce, które nawet w dzień jarzyły się silnym żółtawym światłem.

– Nigdy nie widziałem takiego drzewa – wykrztusił zdumiony Beddeos.

– Bo to nie jest drzewo – odparł Horta. – To Niedźwiedzie Światło, jedna z unikatowych zielonych maszyn Usimy.

– Co to właściwie jest?

– Trudno powiedzieć. Rośnie jak każda normalna roślina i w pewnym momencie zaczyna świecić. Początkowo słabo, a potem coraz mocniej. W miarę jak jej blask przybiera na sile, zaczyna coraz mocniej promieniować energią, która przyciąga meteoryty. W końcu któryś z nich spada i Niedźwiedzie Światło zapala się od jego żaru. Ogień trawi zieloną maszynę do korzeni i odsłania ukryty pod nią orzech. Można w nim znaleźć różne niezwykłe przedmioty – wielowymiarowe relikwie, potężne talizmany, kryształowe mechanizmy albo holograficzne obrazy z innych światów zatopione w bryłach skamieniałej żywicy. Nigdy nie wiadomo, co się trafi. Po pewnym czasie Niedźwiedzie Światło odrasta i wszystko zaczyna się od nowa.

Wyświetlacz Tyfona ożył. Beddeos i Horta spojrzeli w jego stronę.

SKĄD WIECIE
ŻE TO SIĘ STANIE
DZISIAJ W NOCY?

– Lubimy wiedzieć różne rzeczy – powiedział Horta, czyszcząc fajkę, a potem spojrzał ponad nimi i pomachał ręką.

Beddeos się odwrócił. Na skraju niecki stała grupa kilkudziesięciu Małych Ludzi.

– Cieszę się, że przyszliście, bo dzisiejsza noc będzie niezwykła – dodał Horta. – Niedźwiedzie Światło spłonie w błękitnym blasku Mówcy. Wiele się może wydarzyć.

DZISIAJ WZEJDZIE KSIĘŻYC?

– Tak, przyjacielu. To kapryśne i nieprzewidywalne bóstwo, które rzadko pojawia się na nocnym niebie, złoży nam dzisiaj wizytę.

TRUDNO UWIERZYĆ

W TAKI ZBIEG OKOLICZNOŚCI

– A kto mówi o przypadku? Niedźwiedzie Światło przyciąga wiele ciekawskich spojrzeń.

Beddeos zadrżał.

7

Obóz Małych Ludzi składał się z kilkudziesięciu namiotów rozbitych w piaszczystym zagłębieniu – nie było wśród nich dwóch takich samych. Różniły się wielkością, budową, kształtem i kolorem. Były tam płócienne cylindry stojące na cienkich, przegubowych odnóżach, schodkowe piramidy zbudowane z dużych łusek lśniących matową czernią, a także gładkie, czerwone sześciany bez widocznego wejścia. Między nimi stało wiele małych, ażurowych maszyn, w których z głośnym terkotem obracały się liczne tłoki, zębatki i koła zamachowe. Horta minął wszystko bez słowa. Zaprowadził Beddeosa i Tyfona do centrum obozu, gdzie pod szeroką płachtą, zawieszoną na kilkunastu palikach, kryło się palenisko ułożone z kamieni, a także spory zapas drewna. Pachniało gotowanymi grzybami.

Horta zostawił ich w towarzystwie milczącego kucharza, który mieszał coś w płytkim garnku ustawionym na gorących kamieniach, i obiecał, że zaraz wróci. Wokół krzątali się Mali Ludzie i choć wydawali się zajęci swoimi sprawami, Beddeos i Tyfon czuli na sobie ich badawczy wzrok. Nad obozem unosiły się odgłosy pracy różnych urządzeń i cichy szmer dziwnej, szeleszczącej mowy. Tyfon chwycił Beddeosa za ramię i gwałtownie przyciągnął do siebie.

– Co robisz? – spytał zaskoczony Beddeos.

CISZEJ!

NIE CHCĘ

ŻEBY WIDZIELI

CO MÓWIĘ

– Daj spokój. Mam wrażenie, że cokolwiek powiesz, oni już to wiedzą.

O TAK!

LUBIĄ SPRAWIAĆ
TAKIE WRAŻENIE
ALE BEZ ŻARTÓW
MYŚLĘ
ŻE NIE MOŻEMY TU ZOSTAĆ!

– Dlaczego? Boisz się, że coś nam grozi?

TO NIE TO
CHOCIAŻ Z NIMI
NIGDY NIC NIE WIADOMO
TO ZBIERACZE
KOLEKCJONERZY
DLA NICH JESTEŚMY ATRAKCJĄ
BO LUBIĄ WSZYSTKO
CO ORYGINALNE
UNIKATOWE
I JEDYNE W SWOIM RODZAJU

– Co nam zrobią? Włączą nas do swojej kolekcji?

SKOŃCZ Z TYMI ŻARTAMI!

– Uspokój się! Nie wiem, o co ci chodzi, ale masz natychmiast przestać! Przerażasz mnie!

ZUŻYŁEM BARDZO DUŻO ENERGII
ŻEBY TU DOTRZEĆ
JEŚLI WRÓCIMY TERAZ
ISTNIEJE SPORA SZNASA
ŻE ZDOŁAM
DOTOCZYĆ SIĘ DO WIEŻY
ALE JEŚLI ZOSTANIEMY TU NA NOC
TO MOŻE MI SIĘ NIE UDAĆ

– Nie pomyślałem o tym – przyznał Beddeos. Rozejrzał się i wypatrzył jedno z terkoczących urządzeń Małych Ludzi. – Zaczekaj chwilkę – dodał i ruszył w jego stronę, ale Horta zastąpił mu drogę.

– Coś się stało? – zapytał.

– Tyfon musi naładować baterie. Jeśli tego nie zrobi, przestanie działać. Czy któraś z waszych maszyn wytwarza elektryczność?

– Tak. Chodźmy.

Weszli między namioty i zbliżyli się do grupy otaczającej wysoką, cylindryczną konstrukcję oplecioną grubymi przewodami. Jeden z nich był podłączony do zaworu na szczycie machiny. Z głośnym sykiem tryskała z niego wysoka struga pary.

– Takaro! – krzyknął Horta. – Podejdź.

Od grupy odłączyła się umorusana postać, uzbrojona w skomplikowany przegubowy manipulator. Dopiero po chwili Beddeos zrozumiał, że to jego ręka.

– Poznajcie Takaro. Świetnie dogaduje się z maszynami – wyjaśnił Horta i od razu dodał: – A to nasi goście, Beddeos i Tyfon. Potrzebują twojej pomocy.

Takaro podszedł do Tyfona i zaczął się mu przyglądać. Obszedł go dookoła, postukał w kilka miejsc. Cofnął się i podsumował oględziny jednym słowem:

– Piękny.

Wyświetlacz Tyfona zawirował.

DZIĘKUJĘ!

– I mówi – zdumiał się Takaro.

POTRAFIĘ TEŻ
INNE RZECZY
ALE ZANIM ZACZNĘ
O TYM OPOWIADAĆ
MOŻE ZNALAZŁBY SIĘ SPOSÓB
NA DOŁADOWANIE
MOICH BATERII

Takaro próbował ukryć zmieszanie i zagadywał jakby nic się nie stało.

– Gdzie masz gniazdo? Jakiej potrzebujesz wtyczki? – pytał.

Beddeos spojrzał na Hortę i z ulgą zauważył, że jego ramiona również trzęsą się od tłumionego śmiechu. Fakt, że wiedza Małych Ludzi jednak może być ograniczona, dodatkowo poprawił mu humor.

– Zostawmy ich. Dobrze się bawią – zasugerował uśmiechnięty Horta. – Musimy porozmawiać.

We dwójkę wrócili do centralnej części obozu i usiedli na matach pod trzepoczącą na wietrze płachtą. Milczący kucharz podał im czarki, w których parowała mętna brązowa ciecz. Beddeos nie miał ochoty jej pić.

– Co to? – zapytał podejrzliwie.

– Wyborny zissmus. Nie wahaj się. Dodaje energii, która dzisiaj w nocy na pewno ci się przyda.

– Dlaczego?

– Cóż, raczej nie spędzisz jej w łóżku.

Beddeos przełamał opór, ostrożnie upił niewielki łyk i poczuł, jak gorąca, orzeźwiająca gorycz wędruje do żołądka, a potem przyjemnie

rozchodzi się po całym ciele. Horta uważnie obserwował jego twarz, zaczekał, aż pojawią się pierwsze oznaki rozluźnienia, i wtedy zadał mu niespodziewane pytanie.

– Pamiętasz coś z czasów poprzedzających twój pobyt w wieży?

Beddeos zakrztusił się resztką zissmusa. Wstał.

– Idę po Tyfona i wracamy do wieży!

– Jak długo zamierzasz uciekać? – Głos Horty był spokojny i wyważony, jak słowa dorosłego, który uspokaja wystraszone dziecko. – Popraw mnie, jeśli się mylę. Nie wiesz, dlaczego tu jesteś, prawda? Nie wiesz też, w jaki sposób się tu znalazłeś? I jak dotąd, nie zrobiłeś nic, żeby się dowiedzieć? Dlaczego?

Beddeos poczuł się obnażony i przyparty do muru. Usiadł zrezygnowany.

– Nie mogę. Boję się. Nie mam gdzie pójść. Musiałbym zostawić Tyfona, a nie chcę. Prześladuje mnie czarny olbrzym, a teraz jeszcze ty.

– Widziałeś baktaka? Tutaj?

– Wiesz, czym jest to coś?!

– Niezupełnie. Co prawda, są pewne starożytne opowieści, ale odchodzimy od tematu.

– Nie! Muszę wiedzieć!

– Dlaczego się boisz?

– Chyba nigdy go nie widziałeś. Wygląda jak ogromna człekokształtna bryła czarnego kwarcu...

– Dlaczego tak bardzo się boisz?

Beddeos umilkł z otwartymi ustami. Pytanie Horty sięgało głębiej, niż mu się wydawało. Do miejsc, które nauczył się omijać. Po co mu ta umiejętność? Co tu się dzieje? Czego nie chce pamiętać?

– Nie wiem – wykrztusił w końcu. – Może ma to związek z wygnaniem?

– Dlaczego użyłeś słowa „wygnanie”?

– Tyfon tak mówi, chociaż nie, najczęściej mówi, że strażnik jest jak banita.

– Ciekawe. Naprawdę w okolicy kręci się baktak? Moi zwiadowcy niczego nie wypatrzyli. Może przyjdzie zobaczyć, jak płonie Niedźwiedzie Światło?

Żołądek Beddeosa zacisnął się jak lodowata pięść. Horta uśmiechnął się łagodnie i dodał:

– Gdyby nie to, że na kilometr czuć cię anbarem, to powiedziałbym, że powinieneś się bać jedynie tutejszego robactwa.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Horta westchnął i pokiwał głową.

– No tak – podsumował. – Czy odwiedził cię kiedyś tulpa?

– Tak. Nawet kilku.

– Zostawili coś?

– Dziwny, lewitujący przedmiot. Jest u mnie od pewnego czasu.

– To właśnie anbar, potężny talizman, który został stworzony specjalnie dla ciebie. Tylko tulpa potrafią je wytwarzać. Jego wibracje przenikają ciało i sprawiają, że jesteś niewidoczny dla większości zwierząt. A gdy patrzą na ciebie tacy jak ja, to czasem kątem oka widzą lekkie rozmycie konturów albo mrowienie na krawędziach. To oczywiste ślady działania anbaru.

– Nie widzą mnie? – Beddeos ucieszył się jak mały chłopiec, który odkrył, że światło chroni przed potworami z szafy.

– Nie oszukuj się. On cię zobaczy. Ale to dobrze. Nie sądzę, żeby ci zagrażał. Jeśli stare opowieści mówią prawdę, to każdy z nich był kiedyś człowiekiem.

Maleńka iskra intuicji przeskoczyła w głowie Beddeosa. W jednej chwili jego strach zelżał i zmienił się w coś innego. Coś nowego.

– Opowiedz mi o tym – poprosił.

– Podskórnie czujesz, że coś w tym jest, prawda?

– Dziwne uczucie.

– Świetnie. Wreszcie podążamy we właściwym kierunku. Mali Ludzie od dawna obserwują ostatnią wieżę i jej strażników.

– Ostatnią?

– Tak, została już tylko ta.

– Zatem Najstarszy mówił prawdę.

– Zapewne przez przypadek. Dostarczył ci naszą przesyłkę?

– Co to jest?

– Podarunek od Inabulusa Knalba.

– Najstarszy powiedział, że znaleźliście...

– Powtórzył tylko to, co mu powiedzieliśmy.

– Co jest w skrzyni?

– Zobaczysz.

– Ma to jakiś związek z Raziri?

– Przypomniałeś sobie?

– Nie rozumiem.

– Skąd wiesz o Raziri?

– Jeden z trutli powtórzył mi plotkę...

– No tak. Rozumiem. A znasz to słowo? Z czymś ci się kojarzy?

– Nie.

– Dobrze, dość tych dygresji. Co robisz w swojej wieży?

– Pilnuję granicy cesarstwa, przechowuję pocztę, wydaję glejty i wodę.

– Kto w nim mieszka? Kim jest cesarz?

– Nie wiem... – Beddeos zawiesił głos i natychmiast poczuł, że musi się wytłumaczyć. – I nie mam pojęcia jak się dowiedzieć. Szczerze mogę rozmawiać jedynie z Tyfonem, ale jego wiedza również jest ograniczona. W każdym razie tak twierdzi. Przecież nie będę pytał podróżnych...

– Dobrze już, spokojnie. Ja też nie znam wszystkich odpowiedzi. Posłuchaj. Ostatnia wieża stoi na granicy starożytnego cesarstwa, które bardzo dawno temu należało do ludzi. Jego sercem było Potrak, kolosalne miasto-labirynt, z którego rządził nieśmiertelny cesarz. Podobno Usima wyglądała wtedy zupełnie inaczej. Nie była tak dzika i wyjałowiona jak teraz. W tamtych czasach ludzie potrafili manipulować rzeczywistością, hodowali nowe gatunki zwierząt i budowali niezwykłe maszyny. Niektóre z nich działają do dziś, choć nie ma już nikogo, kto rozumiałby, jak funkcjonują i w jakim celu zostały skonstruowane. Może o nich słyszałeś? Mają różne nazwy, ale przylgnęło do nich wspólne miano – Dziewięć Głębin. Teraz to głównie obiekty religijnego kultu albo przedmioty pożądania dla tych, którzy chcą badać pozostałości ludzkiej technologii.

– Nigdy o nich nie słyszałem.

– Jeszcze do tego wrócimy. Nie mamy pojęcia, w jaki sposób rozwijała się ta cywilizacja, ale wiemy, że coś się wydarzyło. Nasi historycy nazywają to Przeskokiem. W jednej chwili ludzkość przestała istnieć.

– Przecież tu jestem.

– Owszem. Maleńka garstka ludzi przetrwała do naszych czasów, ale są bezwolni, pozbawieni inwencji. W niczym nie przypominają swoich niepokornych, genialnych przodków.

– To nie było miłe...

– Przyjrzyj się sobie. Szczerze.

Beddeos wzruszył ramionami.

– Masz rację. Trudno się obrażać na prawdę.

– Mimo że cesarstwo przestało istnieć, jego rozregulowana infrastruktura wciąż działa. Wysoki mur i szereg granicznych wież połączonych z kryształowymi antenami, które potrafią razić piorunami, dobrze chroniły tajemnice opuszczonych miast. Czas jednak obalił mury, zniszczył wieże i sprawił, że rozpadło się wiele kryształowych anten. To ośmieliło badaczy, poszukiwaczy przygód i nas. Ale interior nadal jest groźny. Niektóre anteny wciąż działają, krążą stada lądowych krakenów i jest sporo baktaków. Do tego dochodzą również niebezpieczne anomalie, dziwne iluzje i przerażające istoty, które egzystują tylko tam. Z tego, co wiem, na razie nikomu nie udało się dotrzeć do ruin ludzkich miast, nie mówiąc już o samym Potrak. Choć wielu próbowało, bo właśnie tam, na terenie wymarłego cesarstwa, znajdują się prawie wszystkie Głębiny.

– Przypomina to kolejną wersję legendy o tajemniczym zniknięciu Abisali – zauważył Beddeos.

– Słuszna uwaga. Możliwe są dwa wyjaśnienia. Albo przez lata jedna historia rozszczepiła się na dwa warianty, dotyczące różnych cywilizacji, co uważam za najbardziej prawdopodobne, bo Abisale to całkowicie mityczne istoty i nie ma żadnych dowodów, że istniały naprawdę. Albo też istniały i ludzie podążyli ich drogą. Ścieżką Przeskoku. Mimo wielu wątpliwości to intrygująca myśl.

– No dobrze, ale co ja tu właściwie robię?

– To jest najciekawsze. Przez niezliczone stulecia wieże strażnicze stały puste i rozpadały się jedna po drugiej, a potem w ostatniej, która jeszcze nadawała się do użytku, niespodziewanie pojawił się strażnik. Jakiś czas później na jego miejsce zjawił się kolejny, a później jeszcze jeden i tak dalej. Każdy z nich był człowiekiem. Każdy robił to samo, co ty. Przechowywał pocztę, wydawał glejty i wodę. I tak jak ty, żaden nie wiedział skąd się tam wziął. Wierz mi, pojawiłeś się tu razem z Tyfonem i jesteś sześćdziesiątym pierwszym strażnikiem.

– Dlaczego tak się dzieje?

– Nie mam pojęcia.

8

Zapadł zmierzch i żółtawy blask Niedźwiedziego Światła przybrał na sile. Nie oślepiał – nawet gdy patrzyło się wprost na jego rozjarzone, kanciaste owoce – tylko miękko rozchodził się na wszystkie strony jak wielokrotnie wzmocniony płomień świecy. Dawał kojące poczucie bezpieczeństwa. Beddeos przymknął oczy i chłonął jego ciepło.

W obozie robiło się coraz ciszej. Ucichły głośne rozmowy, umilkły maszyny. Mali Ludzie rozłożyli się na matach, obwiesili amuletami i szeptem wymieniali uwagi. Kilku wciąż biegało między namiotami. Rozdawali gliniane czarki wypełnione gęstą zieloną zawiesiną. Jedna z nich trafiła również w ręce Beddeosa. Horta uprzedził jego pytanie.

– Mówimy na to khor-trok – powiedział. – Pozwala inaczej spojrzeć na siebie i świat. Zajrzeć w ukryte powiązania. Ale korzystasz z jego błogosławieństwa na własną odpowiedzialność. Nic ci nie mogę obiecać. Nie wiem, co zobaczysz. Nie wiem, czy sobie z tym poradzisz. Wszystko zależy od ciebie. Chcesz spróbować?

NIE PIJ TEGO

– zasugerował Tyfon, który zdążył już wrócić i odzyskać pewność siebie.

– Co ty tam wiesz! – oburzył się Beddeos.

– Przykro mi Tyfonie, że nie mamy już elektrycznego odpowiednika – powiedział Horta.

NIE JESTEM ZAZDROSNY!
UWAŻAM TYLKO
ŻE WSCHÓD KSIĘŻYCA
TO ZBYT RZADKIE ZJAWISKO
BY OGLĄDAĆ JEGO

ZNIEKSZTAŁCONY OBRAZ

– Oj, Tyfonie. – Horta rozłożył ręce. – Nie ma zniekształconego obrazu. Jest tylko mnogość, z której można wybierać. Warto mieć wybór. Ale ty dobrze o tym wiesz. Przecież sam prosiłeś Takaro, żeby sprawdził, czy nie zapodziała mu się gdzieś choćby jedna bateria z elektrycznym psychonarzędziem.

Na wyświetlaczu Tyfona nie pojawiła się żadna odpowiedź. Beddeos spojrzał na niego wyzywająco i nie spuszczając wzroku, przełknął gorzką zawartość czarki.

Nastała noc. Lekko zachmurzone niebo rozjarzyło się gwiazdami. Mocny blask Niedźwiedziego Światła nie przyćmiewał ich światła. Przeciwnie. Zdawało się, że je oczyszcza i wzmacnia, przez co wszystkie konstelacje sprawiały wrażenie bliższych i jaśniejszych niż kiedykolwiek. Ucichły ostatnie szepty. Beddeos patrzył urzeczony i nagle to poczuł.

Nadeszło jak szept niesiony wiatrem, który podnosi włosy na rękach, albo przenikliwe dotknięcie lżejsze od cienia. Zza pobliskiego wzgórza wyłonił się rąbek oślepiającego błękitu. A wraz z nim tchnienie potężnej obecności. Z wolna plama błękitu robiła się coraz większa, aż przybrała kształt ogromnej kuli, wypełniającej niemal połowę nieba. Beddeosowi zaparło dech. Księżyc jarzył się tak głębokim błękitem, jakby był gigantyczną kroplą wody skrywającą niewyobrażalne głębiny, z których wyziera blask innych światów, obcych słońc. Po jego gładkiej powierzchni przesuwały się abstrakcyjne kształty, wzory, hieroglify, skomplikowane układy dziwnych liter. Wszystkie formowały się z czarnej materii i prawie od razu zmieniały w coś innego – nie ustawały w ciągłej przemianie. Było w nich coś nienośnie znajomego.

Czasami w żaden sposób nie można sobie przypomnieć czegoś, co z całą pewnością kryje się w pamięci. To męczy, irytuje i uwiera, a ulgę może przynieść jedynie odszukanie mentalnej zguby. Każdy kształt prześlizgujący się po błękicie księżyca wywoływał podobne wrażenie, ale podszyte smutkiem i poczuciem głębokiej, niepowetowanej straty. Świadomość Beddeosa została uwięziona między przekonaniem, że to tylko złudzenie, halucynacja pozorująca utracone wspomnienia, a irracjonalnym podejrzeniem, że jest wręcz odwrotnie – coś jednak zostało zapomniane. I nie chodzi o życie, które prowadził, zanim trafił do wieży, ale o coś głębszego, bardziej fundamentalnego – coś, co utracił, stając się

człowiekiem. To było nieznośne, odrealniające uczucie. Potęgował je również fizyczny dyskomfort wywołany namacalną obecnością księżyca. Beddeosowi wydawało się, że Mówca patrzy właśnie na niego i przytłacza go swoim spojrzeniem.

Strażnik oderwał z wysiłkiem wzrok od błękitnego bóstwa.

– To ten płyn, który mi dali – wymamrotał. – Nie powinienem go pić.

Mali Ludzie znieruchomieli oblani błękitną poświatą. Tyfon wyglądał jak pusta, kartonowa atrapa maszyny, która nie ma prawa działać. A blask Niedźwiedziego Światła wyraźnie tracił na sile. Lecz Beddeos wyczuwał, że gromadzi energię przed silniejszym rozbłyskiem, i nagle wydarzyło się kilka rzeczy naraz. Zelżała obecność Mówcy, Mali Ludzie znowu zaczęli się ruszać, Niedźwiedzie Światło rozbłysło i stało się pulsującą pochodnią światła, a powietrze wypełniło głośne, narastające buczenie.

– Zaczęło się! – krzyknął Horta.

Mimo że obóz był nieco oddalony od Niedźwiedziego Światła, Beddeos nie mógł się powstrzymać i nerwowo zerkał w górę.

– Nie bój się, zawsze trafiają w cel – zapewnił go Horta, który bez trudu przejrzał lęki strażnika.

W błękitnej poświacie księżyca niewielka twarz Małego Człowieka nabrała większej wyrazistości i emocje, które skrywała, stały się niezwykle czytelne. Beddeos nie dostrzegł wśród nich złośliwego sprytu czy przebiegłości, a tylko ciekawość, szczere współczucie i życzliwość, działające kojąco na jego strach.

– Dziwnie się czuję. To chyba przez to, co wypiłem.

– Bardzo się boisz?

– Da się wytrzymać.

– Skup się na pulsie. To już niedługo.

Ostatnie słowa Horty z ledwością przebiły się przez hałaśliwe buczenie, od którego drżała ziemia. Beddeos zamknął oczy. Puls Niedźwiedziego Światła bez trudu przenikał przez przymknięte powieki, ale był wtedy mniej natarczywy. Fobie strażnika samoistnie traciły ostre krawędzie. Rozluźnił się i nagle usłyszał dwa głosy. Jeden był niski, chropowaty, przyprawiający o ciarki na plecach.

– Ściągnijcie go z powrotem! – huczał.

Drugi, o ton wyższy, przepraszający, pełen tłumionych emocji, odpowiedział:

– Próbowaliśmy, ale nie chce się obudzić. Można go wyjąć nieprzytomnego, jednak ryzyko jest zbyt duże. Żaden człowiek nie przeżył procedury przymusowego oddzielenia od mazzmy.

– Wymyślcie coś! Mali zaczęli nad nim pracować i są coraz sprytniejsi. Trzeba go natychmiast wymienić. Nie możecie wpiąć jeszcze jednej osoby? Mogłaby go sprowadzić.

– Dwóch na jednym łączu? Nigdy tego nie próbowaliśmy i nie wiadomo, czym to się może skończyć. Co będzie, jeśli uszkodzimy linię?

– Istnieje taka możliwość?

– Nie wiem, nikt nie sprawdzał jej wytrzymałości.

– Rób jak uważasz. Ufam ci, masz jednak zrobić wszystko, żeby go tu ściągnąć.

– Oczywiście, ale jego kara jeszcze się nie skończyła.

– Trudno, będą musiały się z tym pogodzić...

Odległe głosy utonęły w potwornym hałasie wytwarzanym przez Niedźwiedzie Światło i zdezorientowany Beddeos otworzył oczy. Rozległ się grzmot i buchnęły płomienie. Zapadła bolesna cisza, w której zielona maszyna zapłonęła jasnym ogniem. Mali Ludzie poderwali się z miejsc i podbiegli w jej stronę. Beddeos najpierw podążył za nimi, ale zaraz szybko wrócił do nieruchomego Tyfona.

– Nie idziesz? – zapytał.

DJWEROFNODMQI
IODODCKLMCICNCKIE
XNUESJNLSOEHNC

– Nie rozumiem...

– Daj mu chwilę – zasugerował Horta, który również zawrócił. – W ostatniej fazie Niedźwiedzie Światło może zakłócić działanie niektórych mechanizmów.

– Teraz mi mówisz?! A jeśli coś mu się stało? Nawet nie chcę o tym myśleć!

– Nic mu nie będzie, zobaczysz.

TYOONUDNO RAC
MÓWI DEOFEOHLL
COKOLWIEK JOORU
TO TRUDNE
MUIOWEFIUDC
JAKBYM SIĘ MUSIAŁ

POSKŁADAĆ
MIODNONDJMK
Z ROZBITYCH ELEMENTÓW
ALE JUŻ MI LEPIEJ
TO BYŁO JAK
AGRESYWNY
ROZRYWAJĄCY NAPÓR
BIAŁEGO SZUMU
DŁUGO MNIE NIE BYŁO?

– Przez moment. Ależ mnie wystraszyłeś!

– Mówiłem, że będzie dobrze – stwierdził Horta. – A teraz zobaczmy, co kryło się w korzeniach Niedźwiedziego Światła.

Tym razem Tyfon raźno ruszył z miejsca. Zatrzymali się na krawędzi niewielkiego krateru. Wokół tłoczyli się Mali Ludzie. Zabrali ze sobą przenośne żarniki i przyświecali tym, którzy niecierpliwie rozgarniali popiół łopatami. Wśród śmiechów i zachęcających okrzyków szybko wydobyli ciemną chropowatą kulę i postawili ją przed Hortą. Miała nie więcej niż metr średnicy i była od niego minimalnie wyższa. Zapadła cisza. Jeden z kopaczy podał przywódcy łopatę i odsunął się z szacunkiem. Ten zważył ją w dłoni i kilkoma szybkimi, precyzyjnymi uderzeniami rozłupał skorupę. Stojący najbliżej otoczyli go zwartym murem, nachylili żarniki i w napięciu śledzili każdy jego ruch. Beddeos i Tyfon znacznie przewyższali ich wzrostem i, mimo że stali nieco z tyłu, bez trudu obserwowali Hortę, który, nie śpiesząc się, szperał wśród łupin, aż odrzucił na bok wszystkie większe kawałki i znalazł coś, co wyglądało jak nieduża, kwadratowa tabliczka wykonana z litego kawałka drewna. W blasku żarników lśniła wilgotnym połyskiem. Horta uniósł ją i powiedział:

– Mam!

Mali Ludzie krzyknęli radośnie, ale Horta uciszył ich gestem metalowej dłoni.

– Zgodnie z tradycją, znalezisko staje się własnością tego, kto pierwszy raz uczestniczy w pożodze Niedźwiedziego Światła. Chyba że ktoś zakwestionuje jego prawo. Słucham! Tak myślałem. Zbliż się, Beddeosie!

Tłum się rozstąpił i zmieszany Beddeos podszedł do Horty, który bez słowa wręczył mu drewnianą tabliczkę. Była zaskakująco ciężka i pokrywała ją warstwa lepkiej wilgoci.

– Czas na zabawę! – zawołał przywódca Małych Ludzi. – Cała noc przed nami. Pozwólmy jej działać!

Ponownie rozległ się radosny okrzyk i wszyscy ruszyli do obozu. Beddeos spojrzał na tabliczkę i nagle zdał sobie sprawę, że czegoś mu brakuje – coś odeszło. Uniósł głowę i zrozumiał.

Mówca zniknął.

9

Następnego dnia, po południu – w czasie, gdy obóz z trudem budził się po kilku godzinach snu – Horta poprosił dowódcę oddziału Małych Ludzi, którzy nie brali udziału w zabawie i całą noc pełnili straż, o przydzielenie mu trzech uzbrojonych strażników. Wraz z nimi odprowadził Beddeosa i Tyfona do wieży.

Droga powrotna okazała się zdecydowanie krótsza i łatwiejsza. Nie kluczyli w poszukiwaniu ścieżki, tylko bez żadnych problemów, jak po sznurku, przeszli między wzgórzami i stanęli w cieniu strażnicy. Horta nigdy nie zastanawiał się, w którą stronę skręcić, i poruszał się z taką pewnością siebie, jakby siłą woli stwarzał ścieżkę pod swoimi stopami. Beddeos nieustannie zasypywał go pytaniami.

– Jak ty to robisz? W jaki sposób wyszukujesz drogę?

– Niczego nie szukam. Mam pamięć do terenu.

– To niesamowity dar.

– Nic specjalnego.

– Ja to widzę inaczej, ale mniejsza z tym. Dziękuję, że opowiedziałeś mi o cesarstwie, wieży i innych strażnikach, wciąż jednak jest wiele rzeczy, których nie rozumiem.

– Mówiłem, że nie znam wszystkich odpowiedzi.

– Dlaczego trutle, zamini czy tulpa przychodzą po glejty? Z tego, co mówiłeś, wynika, że w głębi cesarstwa i tak ich nie ochronią, a na pograniczu można się bez nich obyć.

– Jesteś podejrzliwy. To dobrze. Pamiętaj, że każdy przychodzi do ciebie z innych powodów. Trutle są tchórzliwe i nie zapuszczają się daleko.

Zazwyczaj wyszukują oazy, na których rośnie zawilec olbrzymi, zbierają go i natychmiast opuszczają terytorium cesarstwa. Zamini organizują niebezpieczne polowania na lądowe krakeny. To dla nich coś w rodzaju rytuału przejścia, który pomaga im wejść w dorosłość. Glejty są pewnie dodatkowym zabezpieczeniem. A tulpa? Kto ich tam wie? Może z ciekawości?

– Więc to faktycznie nie ma sensu...

– Pytasz czy stwierdzasz fakt? Bo jeśli to drugie, to mam wrażenie, że nie dostrzegasz innych możliwości. Przecież sam wspominałeś o banicji... czekaj, zapytajmy Tyfona. Czy Beddeos rozmawiał z tobą na temat wieży, zesłania i roli strażnika?

WIELOKROTNIE

– Co mu powiedziałeś?

NIE WIEM CZY MOGĘ POWTÓRZYĆ

– Nie krępuj się – mruknął zachęcająco Beddeos.

MAM SPORĄ WIEDZĘ
NA TEMAT WIEŻY
I WIEM JAK PRZEZ LATA
ZMIENIAŁO SIĘ TO MIEJSCE
ALE NIE WIEM SKĄD MAM
TĘ WIEDZĘ
BO NIE PAMIĘTAM
INNYCH STRAŻNIKÓW
ANI TEGO
CO BYŁO PRZED
PRZYBYCIEM BEDDEOSA
TO TROCHĘ TAK
JAKBYM DYSPONOWAŁ
CUDZYMI WSPOMNIENIAMI
OKROJONYMI DO
NAJBARDZIEJ NIEZBĘDNYCH
INFORMACJI
POMAGAJĄ PRZEŻYĆ
ALE NICZEGO NIE WYJAŚNIAJĄ

– Dlaczego powtarzasz Beddeosowi, że strażnik jest jak banita?

NIE UMIEM TEGO WYJAŚNIĆ

Horta uważnie śledził słowa pojawiające się na wyświetlaczu Tyfona, a kiedy się upewnił, że maszyna skończyła wypowiedź, odwrócił się w stronę Beddeosa i powiedział:

– Wszystko się jakoś łączy, choć tworzy dość zawiły i nieczytelny wzór. Wczoraj zapomniałem ci powiedzieć, że każdy z twoich poprzedników miał jakiegoś niepowtarzalnego towarzysza – zwierzę, innego człowieka albo inteligentną maszynę. Strażnicy nigdy nie pojawiają się samotnie, lecz ich praca niezmiennie wydaje się pozbawiona sensu. Albo też ma ona sens dla siły, która z niewiadomych powodów sprawia, że zjawiacie się w wieży. Rozumiesz? Musisz zmienić punkt widzenia. Nie obiecuję, że wtedy rozwiążesz zagadkę, ale na pewno masz na to większe szanse niż ja.

– Dlatego próbujesz mnie podejść, poisz dziwnymi substancjami, wyprowadzasz z równowagi?

– Wciąż nie możesz uwierzyć w prawdziwość nocnych doświadczeń? Przecież wystarczy zajrzeć do torby.

– Niby tak, ale ten księżyc, hałas, głosy... Takie rzeczy nie dzieją się naprawdę. To tylko zwidy, omamy słuchowe, halucynacje.

– Przeciwnie. I słowo „tylko” nie ma tu racji bytu.

– Nie rozumiem. Przecież najważniejsze jest to, co dzieje się tu i teraz. Trzeźwa rzeczywistość. Wszystko inne mąci odbiór.

– Pod warunkiem, że rozpaczliwie wierzymy w istnienie niezmiennej, jednorodnej i jak mówisz trzeźwej rzeczywistości. Masz pewność, że taka istnieje?

– Tak! Stoimy pod słońcem Usimy. Jestem wysoki, a wy niscy. Rozmawiamy wspólnym językiem. Możesz temu zaprzeczyć?

– Nie mogę i nie chcę. To wszystko faktycznie się dzieje, zdarza w naszej wspólnej przestrzeni doświadczenia. Tylko czy na tym się zaczyna i kończy?

– Co masz na myśli?

– Być może postrzegamy jednie wąski fragment bardziej złożonego procesu, którego jesteśmy częścią, choć sami nie możemy ogarnąć ani jego istoty, ani celu, ani poziomu komplikacji. Tak trudno wyobrazić sobie, że te same zdarzenia można odbierać na niezliczonych poziomach?

– Ta idiotyczna teoria nie ma nic wspólnego z rzeczywistością – zirytował się Beddeos. – Może po prostu bardzo chcesz, by tak było?

– Zabawne, że mówisz to właśnie ty. I to po tym, co przeżyłeś ostatniej nocy. Tak naprawdę to nie ze mną powinieneś rozmawiać na ten temat, bo naszą płaszczyznę porozumienia definiuje zbliżona percepcja świata. Lepiej

zapytaj Tyfona. Albo nie, to zły pomysł. Lepszy byłby jakiś tulpa albo vhral. Naprawdę myślisz, że twoja rzeczywistość jest ich rzeczywistością?

– Tak. Poruszamy się w tej samej przestrzeni.

– Bynajmniej! Tylko to, co możesz dostrzec, porusza się w tej samej przestrzeni.

Beddeos przypomniał sobie, w jaki sposób tulpa zabił tyczkonogiego gavusa, i umilkł.

– Nie lekceważ wagi doświadczenia wewnętrznego. Nie wypieraj jego irracjonalnej mocy. Istnieją mechanizmy, dzięki którym świadomość chroni swoją bańkę rzeczywistości, odcina i neguje wszystko, co nie jest potrzebne do życia opartego na potrzebach ciała i relacjach społecznych. – Zamaszyste gesty Horty podkreślały wypowiadane słowa. – Czyli straszliwe cuda, niewyobrażalne formy istnienia, setki dróg, miliony możliwości. Ale to również domena potworów. Nie każdy potrafi i nie każdy ma odwagę porzucić bezpieczny, oswojony świat – własne poletko ogrodzone przez świadomość. Przecież można się po nim prześlizgiwać jak po powierzchni wody. Nie dostrzegając głębi. Można żyć według parametrów niezmiennej, raz ustalonej optyki. Choć to jedna z form zakłamania. Łatwo ją zaakceptować, jeśli nigdy nie dostało się szansy ujrzenia swojej egzystencji z innego punktu widzenia. W przeciwnym wypadku jest to gra w wyparcie, samooszukiwanie, piętrowe łgarstwa. Spójrz na siebie! – Przywódca Małych Ludzi przeszedł do ataku i wycelował w niego stalowy palec. – Kłócisz się ze mną, zażarcie bronisz swojej wizji rzeczywistości, ale żyjesz w zawieszeniu. Nie wiesz, kto cię tu umieścił i dlaczego. Zachowujesz się tak, jakby wieża, Tyfon i całe to pustkowie były wszystkim, co masz. Skąd ta pewność? Dlaczego tak mocno w to wierzysz? Tak naprawdę bronisz swojej wiary w rzeczywistość, a nie prawdy o niej. Musi tak być? Jesteś ze sobą szczery? Co zrobisz teraz, kiedy przez moment widziałeś się z innej perspektywy? Co zrobisz z tym darem?

Beddeos nie potrafił odpowiedzieć, ale Horta nie czekał na jego słowa.

– Musimy wracać do obozu – dodał. – Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

Strażnik delikatnie uścisnął maleńką, ale silną dłoń Małego Człowieka, który chwilę później zniknął między wzgórzami wraz ze swoją milczącą eskortą.

Zostawił Beddeosa z pulsującą pustką w głowie.

– Co o tym myślisz?

NIE WSZYSTKO ZROZUMIAŁEM
ALE NIE CHCIAŁEM SIĘ WTRĄCAĆ
MUSISZ MI POWIEDZIEĆ
O CZYM WCZORAJ
ROZMAWIALIŚCIE

– O amuletach, wieży i innych strażnikach.

A KONKRETNIE?

– No dobrze – westchnął Beddeos. – Wszystko ci opowiem, tylko wejdźmy do środka.

WIEŻA NIE UCIEKNIE

– Skąd ten pośpiech? – zdziwił się Beddeos.

OD PEWNEGO CZASU
COŚ NIE DAWAŁO MI SPOKOJU
DŁUGO NIE ROZUMIAŁEM
CO SIĘ DZIEJE
ALE WCZORAJ
KIEDY ROZBŁYSŁO
NIEDŹWIEDZIE ŚWIATŁO
WRESZCIE
UDAŁO MI SIĘ TO UCHWYCIĆ
I PRZYTRZYMAĆ
A DZISIAJ
KSZTAŁT I TON
WASZYCH SŁÓW SPRAWIŁ
ŻE ZOBACZYŁEM TO
ZNACZNIE WYRAŹNIEJ
JESZCZE TROCHĘ
I BĘDĘ TO MIAŁ
BĘDĘ WIEDZIAŁ
CO TO JEST
NIE MOGĘ TEGO PUŚCIĆ
MÓW DO MNIE!

Beddeos kiwnął głową i zaczął szczegółowo streszczać rozmowę z Hortą. Tyfon stał nieruchomo, zgasił wyświetlacz i wydawał się bardziej pozbawiony życia niż zwykle. Kiedy nie było już o czym opowiadać, zapadła pełna wyczekiwania cisza. Beddeos zastanawiał się, co jeszcze może zrobić dla Tyfona, gdy nagle jego wyświetlacz ożył.

MAM!

– Co?

PAMIĘTAM!

– To jakieś wspomnienie?

TAK

WEJDŹMY DO WIEŻY

POKAŻĘ CI

Beddeos otworzył pancerne drzwi i wpuścił Tyfona. Ten pomknął w dół, minął swój warsztat i wjechał do łazienki. Wyszukał szczelinę w ścianie, pociągnął i otworzył panel, na którym wisiały lustro i umywalka. Za nim kryło się ciasne, zakurzone pomieszczenie. W środku wiły się elastyczne przewody doprowadzające wodę i prąd. Tyfon przepchnął się między nimi i naparł na tylną ściankę, która ustąpiła, odsłaniając wąski i ciemny korytarz, a potem wycofał się do łazienki.

ZNALAZŁEM

TEN KORYTARZ

GDY REPEROWAŁEM SPŁUCZKĘ

OPARŁEM SIĘ O ŚCIANĘ

I PRZYPADKOWO

OTWORZYŁEM PRZEJŚCIE

MUSIAŁEM TAM ZAJRZEĆ

ALE KIEDY WRÓCIŁEM

DO ŁAZIENKI

DOSŁOWNIE

CHWILĘ PÓŹNIEJ

ZAPOMNIAŁEM O WSZYSTKIM

– Jak to możliwe?

NIE WIEM

– Co tam jest?

COŚ DZIWNEGO

10

Korytarz nie był długi. Łagodnie opadał w dół i dochodził do niezbyt obszernej, łukowo sklepionej komory. Skądś sączyło się nikłe, szare światło, które wypełniało pomieszczenie i pozwalało zobaczyć, że na środku, z kamiennego podłoża wyrasta coś, co na pierwszy rzut oka wygląda jak studnia. Jednakże zejście do zbiornika i pomp, które czerpią wodę ze studni głębinowej, znajdowało się w innej części wieży. Beddeos podszedł i przyjrzał się z bliska. Był to wylot szerokiej ceramicznej rury, wypełnionej czarną substancją, która wypiętrzała się w górę i tworzyła gładką półkulę. Jej powierzchnia była jak wypukłe, smoliste zwierciadło. Beddeos zobaczył w niej swoje odbicie. Zerkał na boki, ale nigdzie nie widział odbicia Tyfona. Chciał mu o tym powiedzieć, gdy nagle poczuł, że musi jej dotknąć. To było naturalne i oczywiste. Dlaczego miałby się powstrzymywać? Wyciągnął rękę, ale Tyfon złapał go wpół i odciągnął do tyłu.

NIE DOTYKAJ TEGO!

– Co? – Beddeos był oszołomiony, jak tuż po przebudzeniu. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest i co się stało.

NIE DOTYKAJ MEMBRANY

– Aha. – Zaczynał sobie przypominać. – Nie mogłem się powstrzymać. Musiałem.

JUŻ DOBRZE

CHODŹMY STĄD

Tyfon chwycił go pod ramię, wyprowadził z komory i zabrał do kuchni. Beddeos wciąż był zdezorientowany, ale dał się posadzić przy stole i wypił kubek zimnej wody, co pozwoliło mu zebrać myśli.

– Widziałeś kiedyś coś podobnego? – zapytał.

TO ZNACZY?

– Już zapomniałeś?

NIE ROZUMIEM TEGO
NIGDY MI SIĘ TO
NIE ZDARZA

– Skąd wiesz, skoro nie pamiętasz?

RACJA

– Masz jakieś pomysły?

PRÓBUJĘ SOBIE WYOBRAZIĆ
DO CZEGO TO MOŻE SŁUŻYĆ
ALE NIE POTRAFIĘ

– Ja tym bardziej – stwierdził Beddeos i poprosił o jeszcze jeden kubek wody. Nagle drgnął pod wpływem wspomnienia. – Nie widziałem twojego odbicia.

ODBICIA?
W CZYM?

– W tej czarnej półkuli.

ZMĄCIŁO CI UMYSŁ

– Być może. Nie mówiłem o tym, ale pod wpływem pulsowania Niedźwiedziego Światła zacząłem słyszeć głosy.

CO MÓWIŁY?

– Że trzeba kogoś obudzić.

KOGO?

– Nie wiem.

WCIĄŻ JE SŁYSZYSZ?

– Już nie.

TO DOBRZE
BO ZACZYNAŁEM SIĘ MARTWIĆ

– Nie ma powodu. Wszystko przez ten zielony napój. Wciąż na mnie działa. Halucynacje nie są już tak mocne, ale cały czas się pojawiają. Nie ufam temu całemu Horcie i jego Małym Ludziom.

OSTRZEGAŁ CIĘ
JA ZRESZTĄ TEŻ
WYPIŁEŚ NA WŁASNĄ
ODPOWIEDZIALNOŚĆ

– Trzymasz jego stronę?

PRÓBUJĘ BYĆ
OBIEKTYWNY

POZA TYM PAMIĘTAJ
ŻE DOSTAŁEŚ OD NICH
ARTEFAKT

– Artefakt?! – Beddeos prychnął, wyjął z torby ciężką drewnianą tabliczkę i położył ją na stole. – To ma być artefakt?! Ta mokra deska?! Bez żartów! Ci kuglarze odstawili niezłe przedstawienie i myślą, że mnie przekonali. Nic z tego!

CO INNEGO MÓWIŁEŚ
PRZY HORCIE

– Musiałem. On wie więcej, niż mówi.

CZY MOGĘ BYĆ
Z TOBĄ SZCZERY?

– Przecież nie musisz prosić.

MAM WRAŻENIE
ŻE ŹLE OCENIASZ
INTENCJE HORTY
I JEGO LUDZI
NIE WYCZUWAM W NICH
FAŁSZU I CHĘCI
MANIPULACJI
TAK NAPRAWDĘ
CAŁY CZAS
ROBISZ WSZYSTKO
ŻEBY ZDYSKREDYTOWAĆ
PRAWDZIWOŚĆ
WCZORAJSZYCH
DOŚWIADCZEŃ
WIEM ŻE POWTARZAM
SŁOWA HORTY
ALE TAK TO WYGLĄDA
JEDNAK
ROZUMIEM TWÓJ
PUNKT WIDZENIA
WOLISZ WIERZYĆ
ŻE CIĘ ZWODZĄ
BO W PRZECIWNYM RAZIE
MUSIAŁBYŚ UZNAĆ
ŻE TO WSZYSTKO
ZDARZYŁO SIĘ
NAPRAWDĘ

Beddeos spojrzał na niego z niechęcią.

– To dlatego nie pozwoliłeś mi dotknąć tego obiektu w piwnicy?

NIE ROZUMIEM

– Spójrz na siebie! Nawet mówisz tak samo jak Horta. Byłem oszołomiony, ale pamiętam twoje słowa. Gdybyś nie wiedział, co to jest, nie miałbyś powodu, żeby mnie odciągać. Przestań udawać! Mów, o co chodzi z tą membraną?!

ALE JA NAPRAWDĘ
NIE WIEM
BYŁEŚ JAKIŚ DZIWNY
ZAREAGOWAŁEM
INSTYNKTOWNIE
NIE PAMIĘTAM
CO MÓWIŁEM

– Nie wierzę ci! Dość kłamstw! Przy okazji wyjaśnij mi, co to niby ma być! – powiedział Beddeos i z drwiącym uśmiechem wskazał na drewnianą tabliczkę. – No! Słucham!

Chciał jeszcze coś powiedzieć, brutalnie zaatakować Tyfona swoimi emocjami, ale umilkł, bo tabliczka zaczęła błyskawicznie porastać czymś białym i delikatnym jak puch. Po chwili chaotyczne kształty przerodziły się w litery i zastygły w słowa:

Pilsh Durq.

Beddeos zbladł. Gniew i irytacja zniknęły bez śladu, zostawiając po sobie czyste zdumienie.

– Też to widzisz?

TAK

Strażnik ostrożnie dotknął jednej z białych liter i powąchał palce.

– Pleśń – stwierdził.

Chwilę później słowa straciły kontury i wsiąkły w drewno.

– Co to miało znaczyć?

NA MNIE NIE PATRZ

Pleśń znowu pokryła tabliczkę.

Pilsh Durq.
Mów do mnie.
Pilsh Durq.

W tym samym momencie przez korytarze wieży przetoczył się huk wystrzału. A potem jeszcze jeden.

Tam, gdzie kończy się kilkusetkilometrowy kanion wypłukany przez rzekę Firbę, pionowe ściany są najeżone szczerbatymi zębami zrujnowanych baszt. To opustoszałe przedmieścia starożytnej Ak-By, miasta wydrążonego w skalistych zboczach na całej długości kanionu. Istoty, które tu kiedyś żyły, odeszły tysiące lat temu. Porzuciły skomplikowane labirynty korytarzy i wygodne jaskinie. Zostawiły je ptakom, wężom, qasudas i cieniom poruszającym się wbrew podmuchom dującego wiatru.

Nieco dalej rzeka rozlewa się szeroko, niesie muł i nieczystości, którymi zasila rozległe bagniska żyznej delty kryjącej się pod całunem gęstych oparów. Nikt się tam nie zapuszcza. To teren zaanektowany przez drapieżne czenkro. Niezliczone wierzchołki ich stożkowatych gniazd wystają ponad płynną zawiesinę sinej mgły.

W jednej z najwyższych baszt, ponad mroczną studnią, w głąb której wieki temu zawaliły się kamienne schody, na szerokiej platformie uwił sobie gniazdo mistrz Motar. To perus. Z górnej części jego kulistego i owłosionego tułowia osadzonego na trzech równie owłosionych nogach wysnuwała się amorficzna, ektoplazmatyczna narośl. To jednocześnie głowa i plastyczna esencja, z której formuje narządy mowy, zręczne macki, sensoria i psychosomatyczne narzędzia. Mistrz Motar oplótł szczyt baszty gęstymi zwojami lśniących, półprzezroczystych nitek ektoplazmy, dzięki którym może obserwować czenkro dzień i noc.

Minęło już ponad pół roku od czasu, gdy przejął ten posterunek po mistrzu Umanie, więc zgodnie z kalendarzem, lada dzień powinien przybyć jego zmiennik. Dyskretne podglądanie jest zgodne z ciekawską naturą wszystkich perusów, ale w tym miejscu żaden z nich nie robił tego dla przyjemności. Przybywali na rozkaz Rady miasta Linvenogre, która uważała, że trzeba pilnować czenkro, na wypadek gdyby postanowiły opuścić swoje bagniste leże. Zresztą, nie tylko ich. Podobne punkty obserwacyjne zostały założone w pobliżu miasta Pahlakrave i wiszącej twierdzy Unakro. Mistrz Motar wolałby jeden z tamtych przydziałów, ale decyzja nie należała do niego, nie miał więc zamiaru się przejmować.

Każdy dzień zaczynał od uruchomienia tablotesora. Tuż przed nim w powietrzu materializowała się trójwymiarowa, półprzezroczysta tablica kontrolna pokryta złożonym systemem symboli, przełącznikami, wskaźnikami i zakładkami odsyłającymi do innych poziomów tablicy. Ta mentalna projekcja pozwalała mu kontrolować zasoby pamięci, funkcje umysłu, parametry organizmu i psychoinstrumenty.

Na początku zawsze otwierał drzwi do krypty, czyli przegródki z wyśnionym idolem – swoim duchowym przewodnikiem. Jawił mu się jako kryształowy ptak z nienaturalnie długimi skrzydłami, który bez najmniejszego wysiłku krąży pod sufitem obszernej komnaty pozbawionej ozdób. Mistrz Motar kontemplował jego ruch, modlił się i medytował. Po tym przygotowaniu mógł spokojnie przejść do sprawdzania zapisów pamięci i innych obowiązków wypełniających obserwatorowi dzień.

Od razu zauważył, że w nocy stało się coś dziwnego. Manipulując przy tablotesorze, przeskoczył w czasie do najświeższych zasobów wspomnień. Teraz musiał to tylko potwierdzić. Odłączył się od zewnętrznych sensoriów, wspiął się na górę, przecisnął się przez dziurę w stropie i stanął na pokruszonych blankach. Daleko w dole, w bagiennych oparach znikały kolejne gniazda czenkro. Mistrz Motar wypuścił długą ektoplazmatyczną wstęgę i z rosnącym niepokojem obserwował wydarzenia za jej pośrednictwem. Silny wiatr poniósł ją w górę. Nie było wątpliwości. Czenkro wyruszały w drogę.

11

Beddeos zerwał się z krzesła i złapał za kuszę.

ZARYGLOWAŁEŚ DRZWI?

– Nic mądrzejszego nie przyszło ci do głowy?

NIE MAMY
BRONI PALNEJ
WIĘC KTOŚ
MUSIAŁ SIĘ DOSTAĆ
DO ŚRODKA

– Co ty nie powiesz?

Tyfon wyjechał z kuchni i zatrzymał się na korytarzu. Nic nie mąciło ciszy.

MOŻE TO NIE TO
CO MYŚLIMY?

– Chcesz powiedzieć, że nam się zdawało?

TO NIE MUSIAŁY BYĆ
STRZAŁY Z BRONI PALNEJ
TYLKO COŚ
CO JE PRZYPOMINAŁO
NA DOLE JEST TROCHĘ
ARMATURY POD CIŚNIENIEM
MOŻLIWE
ŻE ZWYCZAJNIE
PĘKŁA JAKAŚ RURA

– Dwa razy?!

RACJA
ROZDZIELMY SIĘ
TY PRZESZUKASZ
GÓRNE POMIESZCZENIA

A JA DOLNE

– W życiu nie słyszałem głupszego pomysłu.

SKĄD WIESZ
SKORO NIE PAMIĘTASZ
CO ROBIŁEŚ
ZANIM TRAFIŁEŚ
DO WIEŻY?

Beddeos parsknął śmiechem.

– Należało mi się. Przepraszam za to, co mówiłem. Nie wiem, co mnie napadło. Wcale tak nie myślę.

WIEM
ALE TAK CZY INACZEJ
BĘDZIEMY MUSIELI
DO TEGO WRÓCIĆ
BO TEN OBIEKT
W PIWNICY
NIE DAJE MI SPOKOJU
ZRESZTĄ TA
GADAJĄCA TABLICZKA
RÓWNIEŻ
CHODŹMY SIĘ ROZEJRZEĆ

– Razem – dodał Beddeos.

Ruszyli na dół. Zaglądali do pokoi, komórek i większych skrytek, ale wszystko wyglądało tak jak zwykle. Dotarli na parter, sprawdzili magazyn depozytów – anbar wyglądał dzisiaj jak nieforemny sześcian wypełniony łagodnym żółtym światłem – i weszli do korytarza, który rozwidlał się na trzy odnogi. Jedna prowadziła do drzwi wejściowych, druga do akumulatorowni i pomieszczenia z silnikami obsługującymi pompy, a trzecia do warsztatu Tyfona i łazienki.

– Sprawdzę drzwi i idziemy dalej.

PODOBNO ZAMKNĄŁEŚ

– Tylko się upewniam – odparł Beddeos i obejrzał zasuwy. Były zablokowane od środka, tak jak je zostawił. Z ulgą spojrzał na Tyfona i zamarł.

CO SIĘ STAŁO?
KTOŚ ZA MNĄ STOI?

Beddeos nie zdążył odpowiedzieć. Tyfon błyskawicznie się odwrócił. Nikogo nie zobaczył.

ALE MNIE WYSTRASZYŁEŚ!

CZEMU TAK PATRZYSZ?

– Źle mnie zrozumiałeś. Czuć tu prochem.

PRZY DRZWIACH?

– W całym korytarzu. Dopiero teraz wyczułem.

A JEDNAK!
TYLKO KTO?
I DLACZEGO?
DO CZEGO TU
MOŻNA STRZELAĆ?
OPRÓCZ NAS
OCZYWIŚCIE

– Przestań! To nie jest śmieszne. Łudziłem się, że to jednak rura. Ktokolwiek tu był, wciąż jest w wieży. Chyba że potrafi przenikać przez ściany.

ZEJDŹMY NIŻEJ

Lekki zapach kordytu unosił się w dolnych pomieszczeniach jak niewidzialna mgła. Najsilniejszy był obok warsztatu Tyfona, ale nie naprowadził ich na żaden trop. Ponownie otworzyli przejście w ścianie łazienki. Wrócili na korytarz. Nikogo nie znaleźli. Nagle Tyfon zatrzymał się i zaczął wiercić w ścianie metalowym palcem.

– Co ty wyrabiasz? – zdziwił się Beddeos. – Musimy jeszcze sprawdzić górę. Szkoda czasu na takie...

Momentalnie zapomniał, co chciał powiedzieć, bo Tyfon podsunął mu pod nos spłaszczony kawałek ołowiu wydłubany ze ściany.

JESZCZE CIEPŁY
A OBOK JEST DRUGI OTWÓR
ZAŁOŻĘ SIĘ
ŻE ZNAJDZIEMY W NIM
KOLEJNY POCISK

Chwilę później trzymał w dłoni dwie, niemal bliźniacze bryłki szarego metalu.

WRESZCIE
COŚ MAMY

– Nisko te otwory – zauważył Beddeos.

JAKBY CELOWO
STRZELANO TAK
ŻEBY UTRUDNIĆ
ZNALEZIENIE POCISKÓW
ALBO TEN KTOŚ

BYŁ BARDZO WYSOKI
I MIERZYŁ W DÓŁ
POD OSTRYM
KĄTEM

– Czarny olbrzym?

SAM W TO
NIE WIERZYSZ

– Nie zmieściłby się. Ale to jakaś zmyłka. Po co ktoś zadaje sobie trud, żeby się tu dostać, a potem zdradza swoją obecność i znika bez śladu? Też masz wrażenie, że to bez sensu, czy tylko ja tak mam?

MOŻE
CHCIAŁ ODWRÓCIĆ
NASZĄ UWAGĘ?

– Od czego?

NIE MAM POJĘCIA
OD CZEGOŚ
INNEGO

Beddeos drgnął pod wpływem przeczucia i pobiegł na górę. Tyfon z trudem dotrzymywał mu kroku. Wpadli do kuchni. Pilsh Durq wciąż leżał na stole. Strażnik zawrócił w miejscu i pomknął do swojej kwatery. Zdyszany otworzył drzwi, podszedł do skrzyni, którą dostał od trutli, i otworzył wieko.

Była pusta.

Rzygowiny. Rosnąca kałuża czarnych rzygowin. Tylko tyle rejestrowała rozdygotana świadomość Abreta, zanim jego ciało zdołało opanować dreszcze i powstrzymało napływające fale mdłości. Z trudem otarł twarz. Uniósł głowę, rozejrzał się po mrocznym wnętrzu komory i zatrzymał wzrok na dwóch nagich gomolach. Usiadł na mokrych kamieniach i jego twarz znalazła się na poziomie ich maleńkich, zasuszonych penisów. Gomole czekały w bezruchu, aż zmobilizuje siły i spróbuje wstać. Wtedy mu pomogą. Nie wcześniej. Abret wiedział, że nie będą go ponaglać, bo ich cierpliwość jest niewyczerpana odkąd przestały być ludźmi i stały się integralną częścią kolektywu, zewnętrznymi organami Raziri. Z trudem

zebrał myśli i odwrócił głowę, żeby zerknąć na pięciokątny wylot sarkofagu wypełnionego żywą mazzmą, która przed chwilą wypluła go na kamienie. Ile czasu tam spędził? Dziesięć, może dwanaście godzin, a i tak czuje się zagubiony i rozbity. Nie potrafił sobie wyobrazić, co by było, gdyby spędził tam miesiąc, rok albo kilka lat, jak Beddeos.

Nawet nie chciał próbować.

Klęknął, odparł się na rękach, zakręciło mu się w głowie. Drżące nogi nie chciały go słuchać, ale nie upadł. Gomole natychmiast chwyciły go pod ręce i niemal poniosły okrągłym korytarzem, rozświetlonym lumisferycznymi pąklami fosforyzujących grzybów. Pomogły mu się umyć w łaźni, a potem zaprowadziły do pustego dormitorium i położyły w jednej z wielu nisz, wykutych w ścianach starożytnych komnat. Abret z ulgą wyciągnął się na sienniku. Czuł się bardzo zmęczony. Nakrył się grubym, ciepłym kocem i zamknął oczy. Jeszcze dziś będzie miał spokój. Jeszcze dziś dadzą mu odpocząć. Ale jutro czeka go ciężki dzień. Będzie się tłumaczył przed Jądrem i Radą. Musi im wyjaśnić, dlaczego zawiódł, mimo że sam tego nie wie. Nie ma pojęcia, co się stało w wieży. Jest zbyt słaby, żeby się nad tym zastanawiać i układać w głowie usprawiedliwienia. Głęboki sen pozwoli mu o wszystkim zapomnieć. Na chwilę.

12

Beddeos obudził się i pierwszy raz od bardzo dawna nie miał ochoty wspinać się na szczyt swojego ulubionego wzgórza. Spał na prowizorycznym posłaniu, które rozłożył pod jednym z zagraconych stołów w warsztacie Tyfona, bo brakowało mu odwagi, żeby samotnie spędzić noc w swojej kwaterze. Wyczołgał się spod masywnego, okutego blatu, wstąpił do toalety i rozespany powlókł się na górę. Z daleka słyszał, że Tyfon, terkocząc, uwija się w kuchni. Usiadł przy stole i patrzył, jak maszyna przygotowuje posiłek. Nie widział, co to będzie, ale pachniało smakowicie. Wtem przypomniał sobie o Pilsh Durq. Wciąż tu leżał, odsunięty na drugi koniec blatu. Beddeos sięgnął po niego, lecz w tej samej chwili Tyfon skończył gotować. Bezceremonialnie wyjął mu z dłoni drewnianą tabliczkę, postawił przed nim talerz z dużą porcją parującego gulaszu i wręczył sztućce. Strażnik nie potrafił ukryć zdziwienia.

– Czy to jest to, co myślę?

JAK NAJBARDZIEJ

– O ile pamiętam, skończył się w zeszłym roku. Skąd to masz?

ZNALAZŁEM
W SPIŻARNI

– Jakim cudem?! To było moje ulubione danie. Sprawdzałem wiele razy. Niemożliwe, żebym przeoczył jakąś puszkę! – Beddeos bawił się widelcem i z niedowierzaniem patrzył na gulasz. Odsunął się od stołu.

NAPRAWDĘ TAM SĄ
I TO SPORY ZAPAS

– Nie uważasz, że to trochę dziwne?

BEZ PRZESADY

PO PROSTU
JE PRZEOCZYŁEŚ

– Jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

NO TO CHODŹ
SAM ZOBACZ

Tyfon otworzył drzwi do spiżarni, która mieściła się tuż obok kuchni, i zdumiony Beddeos wszedł między wysokie rzędy równo poustawianych puszek. Było ich znacznie więcej niż podczas ostatniej wizyty. Jak to możliwe? Skąd się wzięły? Przecież nikt nie dowozi zapasów.

– Nie sądzisz, że jest ich za dużo?

NIE
SPIŻARNIA ZAWSZE
JEST PEŁNA

No właśnie! Beddeos stanął jak wryty. On tego nie rozumie. Nie widzi w tym nic dziwnego. Jego pamięć nie przyjmuje pewnych faktów. Podobnie było w przypadku tego obiektu w piwnicy.

– To rzeczywiście ciekawe...

NIE CIESZYSZ SIĘ?

– Przeciwnie. Nie mogę już patrzeć na kiełbaski.

TO WRACAJ DO STOŁU
BO CI WYSTYGNIE
A POTEM ZOBACZYSZ
COŚ CIEKAWEGO

– Co znowu?

NAJPIERW JEDZENIE

– Nie po takim wstępie! O co chodzi?

WCZESNYM RANKIEM
KIEDY JESZCZE SPAŁEŚ
USŁYSZAŁEM GŁOŚNY TRZASK
A POTEM DRUGI
KTÓRY ROZLEGŁ SIĘ GDZIEŚ
NA ZEWNĄTRZ

– No masz! Ktoś tu jednak jest!

NIE SĄDZĘ
ROZEJRZAŁEM SIĘ TROCHĘ
I NIKOGO NIE ZNALAZŁEM
ALE COŚ SIĘ ZMIENIŁO
DLACZEGO NIE JESZ?

– Straciłem apetyt.

NIEPOTRZEBNIE

CI O TYM OPOWIADAM

– Skończysz wreszcie?!

DOBRZE JUŻ!
MÓWIĄC W SKRÓCIE
WSZEDŁEM DO GABINETU
WIESZ TEGO OBOK
MAGAZYNU DEPOZYTÓW
RZADKO DO NIEGO ZAGLĄDASZ
ALE NA PEWNO PAMIĘTASZ
ŻE OBOK TŁOCZNI GLEJTÓW
STAŁA TAKA PUSTA
METALOWA SZAFKA

– Jak to, stała?

TO ZNACZY DALEJ STOI
ALE JUŻ NIE JEST PUSTA

– Co jest w środku?

DUŻE KOŁA ZĘBATE
ZAPADKI I KORBA
NIE MIAŁEM POJĘCIA
DO CZEGO MOŻE
SŁUŻYĆ TEN MECHANIZM
A TYM BARDZIEJ
SKĄD SIĘ TAM WZIĄŁ
ALE WYJRZAŁEM
PRZEZ OKIENKO
I ZOBACZYŁEM
ŻE SZLABAN JEST
ZAMKNIĘTY
WIĘC CZĘŚĆ TAJEMNICY
OD RAZU SIĘ WYJAŚNIŁA

Beddeos wstał i bez słowa zszedł do gabinetu. Nie lubił tego ciasnego pomieszczenia, bo przypominało mu o niechcianych obowiązkach. Było tam niewielkie, zakurzone biurko, sejf, w którym trzymał turale i spory zapas niewytłoczonych płytek, a także masywna tłocznia glejtów i metalowa szafka. Otworzył ją. Tyfon nie kłamał. W środku kryły się duże, zachodzące na siebie koła zębate, zablokowane dwiema masywnymi zapadkami oraz złożona korba. Wszystko jak nowe, pachnące farbą i olejem. Beddeos podszedł do małego, okrągłego okienka i spojrzał na zamknięty szlaban. Poczuł na plecach zimne krople potu. Rozłożył korbę, która z metalicznym szczęknięciem wskoczyła na swoje miejsce, i zaczął

nią kręcić. Zapadka wybijała szybki rytm. Szlaban powoli się uniósł. Znieruchomiał wycelowany w niebo. Beddeos odetchnął z ulgą. Zamyślony odwrócił się i drgnął przestraszony. Tuż za nim stał Tyfon.

TYM RAZEM TO
MNIE SIĘ UDAŁO

– Niby co?

PRZESTRASZYĆ CIĘ

– Masz kiepskie wyczucie chwili – mruknął ponuro Beddeos, minął Tyfona, a potem odblokował zasuwy i wyszedł z wieży. Łapczywie wdychał poranne powietrze. Chciał się pozbyć koszmarnego wrażenia, że ściany wieży zaciskają się na nim jak pułapka.

Co się dzieje? Najpierw puszki, których już dawno nie powinno tu być, a teraz ten mechanizm w metalowej szafce. Skąd się wziął? Wcześniej były tam tylko brudne dziury w ścianie. Pewnie dlatego szlaban był zawsze otwarty.

Do dzisiaj.

Beddeos stanął pod otwartym ramieniem szlabanu i spojrzał w górę. Wydawało mu się, że bezchmurne niebo jest niżej niż zwykle. Podjechał Tyfon.

DOBRZE SIĘ CZUJESZ?

– Nie – odparł Beddeos, ale to nie była cała prawda, bo strach oraz rosnące poczucie niepewności zaczynały być źródłem jego siły i zdecydowania. Nie rozumiał jak to się dzieje, lecz czuł, że wcale nie musi rozumieć. Nic nie musi.

CO TO JEST?

– No przecież szlaban. Znowu go podniosłem.

NIE TO!
TAMTO!

Tyfon wskazał w stronę pustyni. Między wydmami zatrzymało się coś dziwnego. Na czterech nieproporcjonalnie długich i cienkich nogach stał złoty obiekt, złożony z kilku opływowych i karbowanych brył, poprzetykanych kanciastymi wypustkami. W pierwszej chwili Beddeos pomyślał, że nie jest zbyt duży, ale kiedy ruszył w ich stronę, z gracją stawiając długie nogi, okazało się, że jego nietypowe proporcje są bardzo mylące. To coś było wielokrotnie wyższe od wieży. Podeszło do nich i z góry zsunęła się elastyczna macka. Zdążyli uciec, zanim dotknęła piasku.

Abret włożył tunikę, którą zostawiły mu gomole, a potem zwinął siennik, poskładał koc i upchnął je w jednej z wielu niskich drewnianych szafek, które ciągnęły się wzdłuż ścian dormitorium. Na razie nikt po niego nie przyszedł, więc wyszedł na taras, oparł się o kamienną balustradę i spojrzał na Ak-Bę – ogromne, strome zbocza, pokryte gęsto budynkami, balkonami, galeriami, schodami, deptakami, mansardami, w większości wydrążonymi bezpośrednio w skale. W dole połyskiwał metalicznie szybki nurt starożytnej Firby, która przez tysiąclecia cierpliwie wypłukiwała w płaskowyżu głęboki kanion, ciągnący się od źródła tryskającego w Świątyni Wody – z lewitującej w jej centrum Głębiny, nazywanej Kavor – aż do oddalonych o ponad trzysta kilometrów bagien w delcie rzeki, które łączą się z oceanem.

Ak-Ba nie jest może tak starym miastem jak dziwaczne Pahlakrave, które wielokształtne vhrale wyhodowały z bazoralu w czasach, gdy po Usimie chodzili abisale, ale na pewno jest znacznie starsze niż Linvenogre, w którym wiele lat temu Abret spędził bardzo przyjemny rok. Zresztą, nie tylko on. Ich grupa liczyła dwanaście osób, wśród których był również Beddeos. To wtedy zaczęli się przyjaźnić. Wcześniej znali się tylko z widzenia. Zbliżyły ich wspólne ćwiczenia, wykonywane na zajęciach prowadzonych przez perusów, prawdziwych mistrzów w posługiwaniu się tablotesorami. Okazało się, że wiele ich łączy – zadziorność, inteligencja, zamiłowanie do brunetek i talent. W trakcie pierwszego treningu tylko oni dwaj z całej grupy zdołali stworzyć manifestację surowego tablotesora z zarysem tarczy zegara.

– Panie Abret – wyrwał go z zamyślenia pozbawiony emocji głos gomola. – Proszę za mną.

– Najwyższy czas – mruknął i ruszył za nagim posłańcem.

Zeszli w dół spiralnym korytarzem i trafili pod górną kopułę, gdzie krzyżowały się tunele wyższych pięter Gniazda. Abret patrzył w napięciu na plecy gomola. Skręci w lewo – Jądro. Skręci w prawo – Rada. Obie wizyty będą równie nieprzyjemne, ale jeśli miałby wybierać...

Skręcił w lewo.

Dobrze.

Minęli kręcone schody, długie rampy i obszerne jaskinie. Schodzili coraz niżej i niżej. Zrobiło się gorąco. Duszna wilgoć skraplała się na ścianach. Wkroczyli do komór, w których z nieustannym chrzęstem uwijały się ikri, ogromne insekty, żyjące w pełnej symbiozie z mazzmą. Od bardzo dawna nie są już osobnym gatunkiem, lecz czymś w rodzaju dodatkowych, zaadaptowanych narządów. Abret wiedział, że ludzie są następni w kolejce. Nie mają wyboru. To tylko kwestia czasu. Był mokry od potu. Jego twarz, ręce i nogi lśniły w żółtawym blasku fosforyzujących grzybów, które porastały ściany okrągłych korytarzy. W końcu gomol wprowadził go do dużego, okrągłego pomieszczenia. Tu kryło się źródło słodkawego, chemicznego zapachu unoszącego się w całym Gnieździe. Łzawiły od niego oczy. Sufit ginął w ciemności, a w kamiennej posadzce, wypolerowanej do ciemnego połysku, ział ogromny otwór, w którym falowała najgęstsza mazzma – czarny, inteligentny śluz. Jądro tego Kolektywu Raziri.

Stanęli na krawędzi otworu. Gomol odwrócił się tyłem do mazzmy, z której wynurzyło się ostre, segmentowe ramię i z wilgotnym chrupnięciem wbiło mu się w plecy. Bezosobowe paciorki jego oczu nabrały życia i skierowały się w stronę Abreta.

– Mów! – wycharczał gomol. Jego głos dobywał się z krtani w taki sposób, jakby ktoś grał na niej jak na żywym instrumencie.

– Po naszej ostatniej rozmowie zdecydowałem się postąpić zgodnie z waszą sugestią – zaczął Abret.

– Co zrobiłeś?

– Napełniłem drugi sarkofag, podłączyłem go do linii, którą zajmuje Beddeos, i poszedłem po niego.

– Twierdziłeś, że to niebezpieczne.

– Dalej tak uważam, ale inne sposoby zawiodły. Musiałem zaryzykować.

– Co się stało?

– Nie udało mi się.

– To wiem! Dlaczego zawiodłeś?

– Nie mam pojęcia. Wszystko szło zgodnie z planem. – Abret przełknął gęstą ślinę. – Już po kilku godzinach udało mi się oderwać od ciała i dostroić do pozostałości ludzkiego Konstruktu.

– Nie wiadomo, czy to oni go zbudowali.

– A niby kto?

– Uważaj na słowa!

– Przepraszam...

– Co się stało potem?

– Odnalazłem drogę, przeszedłem przez diafragmę i znalazłem się w wieży.

– Dotarłeś do Beddeosa?

– Nie. Przeszedłem przez łazienkę i trafiłem do jakiegoś korytarza. Zdążyłem zrobić najwyżej kilka kroków, kiedy coś przemknęło po suficie.

– Co to było?

– Nie wiem. Poruszało się bardzo szybko, jak rozmazana smuga. Zatrzymało się tylko na ułamek sekundy i wtedy widziałem to najwyraźniej. Przypominało podłużnego, metalowego pająka, choć mogę się mylić, bo z jego centralnej części wyrastał wielolufowy falkonet i skupiłem się tylko na nim. Więcej nie pamiętam.

Gomol otworzył usta, ale nic nie powiedział. Abret smakował z satysfakcją ciszę.

13

– Wciąż tam jest?

TAK

– Co robi?

ZMNIEJSZA SIĘ

– Pokaż! – Beddeos odepchnął Tyfona i przylgnął do okienka. Pajęcze nogi wyraźnie się skróciły i dziwny obiekt był teraz niższy od wieży. Z bliska wydawał się jeszcze bardziej skomplikowany. Wzrok ześlizgiwał się po wielokątnych wypustkach i obłych, karbowanych powierzchniach. Wtem jedna z nich rozchyliła się na boki i ze środka wysunęła się włochata istota na trzech długich nogach. Z górnej części jej kulistego tułowia wysnuwała się zwiewna, ektoplazmatyczna wypustka, która cały czas zmieniała kształt. Beddeos odwrócił się do Tyfona i powiedział:

– To perus.

PRZECIEŻ WIEM
JAK WYGLĄDA PERUS
TO TAKI TRÓJNOGI
PAJĄKOWATY STWÓR
Z EKTOPLAZMATYCZNĄ
GŁOWĄ

– Siedzi w środku tego czegoś.

CHYBA ŻE TAK

– Jest w nim coś znajomego...

Beddeosowi zakręciło się w głowie i usiadł na podłodze.

CO SIĘ DZIEJE?

– Dziwnie się czuję. Strasznie boli mnie głowa.

Tyfon chciał się nad nim pochylić, ale zobaczył, że perus idzie w stronę wieży. Ektoplazmatyczna narośl powiewała na wietrze. Co robić? Beddeos stracił przytomność. Tyfon zawahał się, wbrew zdrowemu rozsądkowi jego ręka sama skoczyła do przodu i otworzyła drzwi. Perus stanął w miejscu. Półprzezroczysta głowa wydęła się w trąbkowaty dziób, z którego wydobył się niski głos:

– Przepraszam, nie chciałem was wystraszyć komunikatorem, ale potrzebuję... Czy to człowiek? Co mu jest?

NIE WIEM

PRZED CHWILĄ BYŁ ZDROWY

Perus wysunął cieniutką półprzezroczystą mackę, dotknął czoła Beddeosa i cofnął się jak oparzony.

– Niemożliwe, to przecież Beddeos!

ZNASZ GO?

– Był moim uczniem. Trzeba go położyć na równej powierzchni. Ma blokadę. Mogę ją usunąć.

JAKĄ BLOKADĘ?

– Na tablotesorze.

NA CZYM?

– Nieważne. Musimy się pośpieszyć.

Tyfon przeniósł nieprzytomnego Beddeosa do kuchni. Delikatnie ułożył go na stole. Perus stanął obok i wypączkował trójpalczastą wypustkę, która delikatnie przylgnęła do jego czoła. Chwilę później strażnik otworzył oczy.

– Co, co się stało? – zapytał.

– Spokojnie, nie ruszaj się, przestawiłem twój tablotesor. Dlaczego założyłeś na nim takie szczelne blokady?

– Co zrobiłeś? Jakie blokady? Mistrzu Motar, to ty?

– We własnej osobie. Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Coś cię boli?

– Już nie.

– Usiądź.

Beddeos podniósł się z wysiłkiem i powiedział:

– Pamiętam cię.

– To dobrze. Gdzie twój przyjaciel?

– Jaki przyjaciel?

– Abret.

– Nie znam nikogo takiego.

– Spójrz na mnie i skup się. Właśnie tak. Nie masz dostępu do wielu segmentów pamięci i promieniujące od wewnątrz pakiety informacji piętrzą się przy dławikach. Rozumiesz, o czym mówię?

– Nie.

– Potrafisz otworzyć tablotesor?

– Nie.

– A potrafiłeś?

– Nie wiem.

– Pamiętasz, czego cię uczyłem?

– Chyba coś było... – Beddeos miał w głowie szum i zamęt. Rozsypane wspomnienia nie chciały się złożyć w klarowny obraz. Chaotycznie przeskakiwały jedne przez drugie. Zagubiony spojrzał na mistrza Motara i dodał: – Ale to straciłem.

– Nie można stracić sedna tej umiejętności, jednak dzieje się coś dziwnego. Mam wrażenie, że jesteś cieniem samego siebie. Lichą namiastką Beddeosa, którego kiedyś znałem. Nie rozumiem tego. Udrożniłem twoje kanały pamięci, lecz płynność komunikacji wstecznej odzyskasz dopiero po pewnym czasie. To musi potrwać. A ja muszę ruszać dalej. I to jak najszybciej.

POTRZEBUJESZ GLEJTU?

– Tak. Chcę też uzupełnić zbiorniki z wodą.

PORADZISZ SOBIE BEDDEOSIE?

Strażnik kiwnął głową, po czym, powłócząc nogami, zszedł do gabinetu i wydał Motarowi glejt.

– Turale mam w pajęczaku. Zaraz przyniosę.

– Nie trzeba. Nie wezmę od ciebie zapłaty.

ALE MUSISZ!

TAKIE SĄ PRZEPISY

– Nic nie muszę, przyjacielu. Gdzie się tak śpieszysz, mistrzu Motar?

– Od strony południowych rubieży kontynentu nadciągają czenkro. Niszczą wszystko na swojej drodze. Na szczęście, nie poruszają się zbyt szybko, ale za dwa, trzy tygodnie dotrą i tutaj. Przesłałem ostrzeżenie do Rady Linvenogre i wracam do miasta. Mam dużo miejsca w pajęczaku,

więc mogę was zabrać. Uważam, że nie możecie tu zostać. Z nimi nie da się negocjować.

– One naprawdę istnieją?

– Oczywiście.

– Myślałem, że to tylko taka legenda. Wiesz, mistrzu, coś w rodzaju opowieści, którymi straszy się dzieci.

– Niestety, nie, Beddeosie. To przerażająca plaga.

– Jak wyglądają?

– Jak duże chitynowe kule, na całej powierzchni pokryte mnóstwem niewielkich otworów, przez które wysuwają się cienkie, ale bardzo silne witkowate macki. Dzięki nim poruszają się, chwytają wszystko, co znajdzie się w ich zasięgu, i wysysają substancje odżywcze. Być może to jakaś forma inteligentnych grzybów, ale żaden badacz nie pożył wystarczająco długo, żeby potwierdzić tę teorię.

– Są aż tak niebezpieczne?

– Zdecydowanie, choć przez ostatnie lata nie stanowiły problemu. Ich społeczność dzieli się na roje, które zamieszkują coś w rodzaju ruchomych gniazd. To takie pancerne konstrukcje przypominające ogromne spłaszczone jajka – tak zwane kevale. Tę nazwę wymyślił jeden z moich przodków, bo zainspirowało go niezwykłe podobieństwo między tymi gniazdami a ciemnymi jajkami nielota unkora, które mają tak grubą skorupkę, że mogą spaść na twardą powierzchnię z dużej wysokości i nic im się nie stanie. Co ciekawe, pisklę nie jest w stanie wyjść z jajka o własnych siłach. Jedynie nioska, dzięki temu, że ma specjalny, kwasowy gruczoł...

– Mistrzu...

– No tak, przepraszam, o czym to ja... A tak! Czenkro mogą przetaczać kevale w poszukiwaniu nowych żerowisk i zakotwiczać je na żyznych terenach. Dotychczas mieliśmy spokój, bo prawie równe pięćdziesiąt lat temu znalazły sobie leże na południu, w bagnistej delcie Firby. Osadziły swoje gniazda głęboko w tłustym szlamie i tylko od czasu do czasu niewielkie grupy robiły wypady w stronę przedmieść Ak-By, które i tak od dawna są opustoszałe.

– Ak-Ba? Skąd znam tę nazwę?

– Urodziłeś się w tym mieście. Spokojnie, jeszcze trochę i wszystko sobie przypomnisz. W każdym razie czenkro wyciągnęły z bagien swoje

kevale i teraz toczą je wzdłuż granicy cesarstwa. Prosto w twoją stronę. Nie wiem dokąd zmierzają, ale mam powody przypuszczać, że ciągnie ich do Ganno, moczarowych ogrodów zaminów. Są one naturalną częścią jeziora Leko, nad którym leży Linvenogre, o czym zapewne dobrze wiecie. To w końcu jedno z najżyźniejszych miejsc na tym kontynencie. Chyba że jednak skręcą w połowie drogi i zaatakują obumierające lasy Tarhanu.

– Ziemię trutli?

– Zgadza się. Teraz ważą się ich losy.

– Nie rozumiem.

– Jeśli czenkro skierują się do Linvenogre, to zamini i perusi będą z nimi walczyć. Strach zmobilizuje wszystkich, a zamini wreszcie wykorzystają swój militarny potencjał. Ale gdy potoczą się w stronę Tarhanu...

– Nikt nie ruszy palcem.

– Niestety.

– Przecież wciąż będą stwarzać zagrożenie. Na ile mogą im wystarczyć te lasy? Rok, dwa? Potem ruszą dalej.

– Masz rację, ale wszystko zależy od decyzji Rady Linvenogre, a z tego, co wiem, oni nie są skorzy do działania. Zresztą, nikt nie jest. Tulpa nie opuszczą wiszącej twierdzy Unakro, jeśli nie poczują się zagrożeni. Tak samo jak vhrale swojego Pahlakrave. Oni, podobnie jak xulo, które przesączają się do nas z podziemnego Kvall, żyją we własnych światach. Nie obchodzi ich los innych ras, skoro codziennie borykają się z problemami, których my, istoty związane wspólnym polem percepcji, nawet nie potrafimy sobie wyobrazić.

– A Mali Ludzie króla Orfy?

– Mogliby pomóc, gdyby chcieli, ale są zbyt niezależni i nie chcą się angażować, bo koncentrują się na realizacji własnych planów.

– Może zmienią zdanie, gdy zagrożenie stanie się realne?

– Podsunę ten pomysł Radzie. Może zgodzi się wysłać emisariuszy. Muszę już ruszać. Prawdę mówiąc, od dłuższego czasu słyszałem pogłoski, że jedna z wież wciąż działa, ale nie bardzo chciałem w to wierzyć. A tu, nie dość, że to prawda, to jeszcze znalazłem w niej ciebie. Beddeosie, nie będę przedłużał i powiem wprost: zabierzcie się ze mną. Po drodze opowiesz mi, jak tu trafiłeś, i pomogę ci odzyskać wspomnienia. Zostając tu, skazujesz się na pewną śmierć!

– Być może, ale problem polega na tym, że nie wiem, dlaczego tu jestem, i mam przeczucie graniczące z pewnością, że jeśli stąd ucieknę, to nigdy się tego nie dowiem. Dlatego nie zamierzam uciekać. Bez względu na wszystko.

– Nie wierzę ci. To jakaś chora wymówka. Zachowujesz się jak samobójca. Przecież zawsze możesz tu wrócić. Później. Kiedy kevale przetoczą się dalej.

– Muszę tu zostać.

– To głupota. Nie macie żadnych szans. Oni rozniosą wieżę na strzępy. Pomyśl o sobie i twoim przyjacielu.

– Właśnie to robię, mistrzu Motar. Dziękuje za propozycję, ale nie skorzystam. Chyba że ty, Tyfonie?

BEZ CIEBIE NIE IDĘ

– Trudno, próbowałem. Nie rozumiem, ale szanuję.

– Szkoda, mistrzu, że nie możesz zostać dłużej.

– Chętnie bym ci pomógł, ale liczy się każda minuta...

– Chcesz przejść przez terytorium cesarstwa, żeby skrócić drogę?

– Tak. I chciałbym już ruszać.

– Nie musisz nas popędzać. Tyfonie!

PROSZĘ ZA MNĄ

MISTRZU MOTAR

– Żegnaj, Beddeosie.

– Do widzenia, mistrzu.

– Oby.

Mistrz Motar poczłapał za Tyfonem i Beddeos został sam. Wyjrzał przez okienko. Patrzył, jak złoty pajęczak tankuje wodę, a potem nabiera rozpędu, mknie ogromnymi susami i znika za wydmami. Coś się działo. Wspomnienia wirowały jak płatki śniegu podczas zamieci. Maszyneria podnosząca szlaban pojawiała się i znikała, jakby nie mogła się zdecydować czy chce istnieć. Napięcie było trudne do zniesienia. Jeśli mistrz Motar ma rację, to pozostawanie w wieży jest czystym szaleństwem. Dlaczego nie można stąd odejść? Coś, czego Beddeos nie pamięta, kotwiczy go w tych murach, jakby chciało jego śmierci.

Abret usiadł na niskim drewnianym taborecie pozbawionym oparcia. Wygodniej byłoby stać, ale one chcą, żeby cierpiał. Zza masywnego stołu przyglądało mu się pięć kobiet, odzianych w jednolicie czarne, powłóczyste szaty – Rada. Kiedyś wszyscy mówili: „Rada Starszych”, ale ta nazwa już dawno straciła rację bytu. I wcale nie dlatego, że tworzą ją kobiety, bo zawsze tak było. Chodzi raczej o to, że od pewnego czasu żadna z nich nie jest stara.

Ognistoruda Mara odezwała się pierwsza. Jak zwykle.

– Z czym przychodzisz?

– Z niczym.

– Oczywiście nie możesz sobie odmówić małej przepychanki, co? Dlaczego musiałyśmy na ciebie czekać?

– Wezwano mnie. Przecież nie mogłem odmówić.

– Może sam chciałeś?

– Dość tej gry wstępnej. Przejdźmy do sedna.

– Sam powiedziałeś, że nic dla nas nie masz.

– Zadaj konkretne pytanie, to odpowiem. Miejmy to za sobą.

– Czego się dowiedziało Jądro?

– Zawiodłem. Nie udało mi się do niego dotrzeć i sprowadzić do Ak-By.

– Czy Jądro wie, że kara Beddeosa jeszcze się nie skończyła?

– Nie sądzę, żeby przejmowało się waszymi ustaleniami. A ja tylko wykonuję jego polecenia.

– Wydaje mi się, Abret, że masz kłopoty z pamięcią. Najwyraźniej zapomniałeś, po której jesteś stronie i za co ukarałyśmy Beddeosa. On nie może wrócić! Jeszcze nie czas.

– Jądro twierdzi co innego i do niego należy ostatnie słowo.

– Już twoja w tym głowa, żeby go przekonać do zmiany decyzji.

– Z nim się nie dyskutuje.

– Będziesz musiał, bo jeśli tego nie zrobisz i z twoją pomocą Beddeos wróci przed czasem, to szybko zasilisz szeregi gomoli. Możesz nam wierzyć.

– Jądro się nie zgodzi. Potrzebuje mnie.

– Beddeos też był potrzebny i w niczym mu to nie pomogło – mruknęła ciemnowłosa Arenn. – Zastosuj się, albo skończysz jak on. Jeśli nie gorzej. Teraz odejdź i rób swoje.

Abret wstał, ukłonił się i zaciskając, zęby wyszedł z sali. W głowie kołatało mu się tylko jedno słowo: Suki!

Horta przykucnął na wysokiej skale otoczonej stromymi wydmami. Słońce wisiało nisko nad horyzontem. W dole kładły się długie, głębokie cienie. Jeden z nich rzucała wieża strażnicza, która z tej odległości wydawała się pusta i niezamieszkana.

Tuż za Małym Człowiekiem bezszelestnie zmaterializował się czarny olbrzym. Z bliska przytłaczał swoim ogromem. Ukośnie padające promienie zachodzącego słońca przenikały przez jego ciało, przypominające człekokształtną bryłę czarnego, półprzezroczystego kwarcu, wewnątrz której nieustannie przemieszczały się fraktalne, wielowymiarowe bryły. Jedynym nieruchomym elementem były jego oczy – dwa bliźniacze dyski pulsującego złota, lewitujące w środku rogatej głowy. Horta poczuł na sobie jego wzrok, ale się nie odwrócił. Patrząc w stronę wieży, zapytał:

– Został?

Rozmowa z czarnym olbrzymem przypominała przerzucanie się własnymi myślami, bo kolos nie wydawał z siebie żadnych dźwięków, a jego odpowiedzi były jak cichy, dźwięczny pomruk, który rozlegał się w głębi czaszki.

„Tak. Perus zdjął blokady z jego tablotesora. Wieża zaczyna się destabilizować”.

– Dobrze. Mam nadzieję, że uda mu się zdemontować iluzję, zanim pojawią się czenkro. Mówił coś o nich?

„Opuścili deltę Firby i toczą się w naszą stronę. Jego zdaniem to kwestia kilku tygodni”.

– Przy takiej zbieżności w czasie nie wierzę, że to przypadek. Beddeos ich tu ściąga. Jest już na Ścieżce Przeskoku. Dowodzi tego również pojawienie się perusa, który znacznie przyśpieszył proces.

„Oni się znają”.

– Naprawdę? Znakomicie! Jest lepiej niż myślałem. To dodatkowo pobudzi jego pamięć.

„Rośnie synchroniczność zdarzeń”.

– Bo działamy na poziomie wszechzwiązków. Ale jeśli szkolił się w Linvenogre, to musieli się poznać. Tylko mistrzowie w posługiwaniu się tablotesorami są wysyłani do takich punktów obserwacyjnych, jak ten w delcie Firby. Beddeos na pewno poznał wielu z nich. Musisz go teraz bardzo pilnować. Nie może dotknąć diafragmy, i każdy, kto przez nią przejdzie, ma zostać natychmiast zneutralizowany.

„Nikt się nie prześlizgnie. Nie dopuścimy do tego”.

– Wiem. Na razie wszystko idzie zgodnie z planem, ale najgorsze przed nami. Musimy uważać. Jest szansa, że tym razem się uda.

14

Silny wiatr uderzył od strony pustyni. Rozpętała się burza piaskowa. Beddeos dokręcił uszczelki pod okienkami, a potem leżał na łóżku i wsłuchiwał się w dźwięk piasku ocierającego się o wieżę. Cichy, monotonny chrobot, jakby do ścian dobierały się ogromne mrówki.

Nudził się, ale była to nuda nowego rodzaju. Zniknęła dawna, bezsilna apatia. Wyparła ją niecierpliwość. Chciał działać, choć nie bardzo wiedział, co powinien robić. W jego wspomnieniach wciąż panował chaos, który wyrzucał na powierzchnię świadomości coraz więcej odprysków przeszłych wydarzeń. Na razie jednak było to pasmo niepowiązanych epizodów, wyjętych z kontekstu i przez to trudnych do zrozumienia. Tylko niektóre przemawiały czytelnym językiem silnych emocji i były jak ponowne olśnienia – klejnoty zgubione w zakamarkach umysłu.

Któregoś dnia Beddeos wszedł na szczyt wieży i wyjrzał na zewnątrz. Tumany wirującego piasku przysłaniały widok i częściowo odcinały dopływ dziennego światła, więc wszystko spowijał szary półmrok. Pod okienkami gromadziła się cienka warstwa miękkiego, drobnego pyłu. Wiatr przepychał go pod uszczelkami, drobina po drobinie. Beddeos roztarł szczyptę między palcami i powąchał. Jego zapach otworzył jakąś furtkę, trącił skojarzenie, które poprowadziło go wprost do utraconego wspomnienia. Zaszkliły mu się oczy. Wrócił do dnia, w którym pierwszy raz zobaczył swoją córkę. Poczuł na rękach jej ciężar. Pocałował ciemne kędziorki. Alwa. Dlaczego nie jestem z tobą?

To cudowne wspomnienie stało się fundamentem, na którym zaczął odbudowywać gmach pamięci. Jak rozsypaną układankę. Jednakże każdy

sukces w odzyskiwaniu elementów przeszłości, które udawało się do siebie dopasować, w negatywny sposób odbijał się na wieży. Na początku było to tylko migotanie żarników, chwilowe awarie elektryki, rozrastające się pęknięcia ścian. Potem przestały działać maszyny. Nie zepsuły się. Zmieniły formę – stały się litymi blokami metalu albo topornymi drewnianymi rzeźbami. I zaczęły znikać. Wieża pustoszała w oczach. Kruszył się tynk, zapadały się podłogi. Beddeos oglądał postępujące zniszczenia, ale nie próbował ich naprawiać. Wiedział, że nie ma to najmniejszego sensu. Strażnik coraz rzadziej spotykał się z Tyfonem. Przestali szukać swojego towarzystwa. Co jakiś czas skradał się po cichu, żeby podglądać go w warsztacie, lecz nie wchodził. Powoli docierało do niego, co się dzieje, i czuł, że obaj muszą przez to przejść po swojemu.

Nareszcie zrozumiał sens przedstawienia, które przy dźwiękach rytmicznej muzyki Mali Ludzie pokazali mu tej nocy, gdy spłonęło Niedźwiedzie Światło. Dwie roztańczone istoty, walczące, pracujące, zmagające się z niewidzialnymi przeciwnikami. Dwie roztańczone istoty, które na koniec stają się jednością.

Beddeos stracił rachubę czasu. Minęło kilka dni, a może tygodni, i obudził się na podłodze. W nocy zniknęło łóżko. A wraz z nim szyby w oknach i wszystkie drzwi. Wieża była zrujnowana. Zniszczone podłogi pokrywała gruba warstwa naniesionego pias-ku. Strażnik zszedł do warsztatu Tyfona, a potem przeszukał inne pomieszczenia. Nigdzie nie znalazł przyjaciela. Wiedział, co to znaczy. Wstrząsnął nim tłumiony szloch. Ukrył twarz w dłoniach. Teraz czuł, że jest cięższy, bardziej kompletny, ale to nie zmniejszało jego żalu i poczucia straty. Jego tęsknoty za Tyfonem.

Nie chciał ocierać łez. Gorące krople znaczyły piasek ciemnymi cętkami – najprostszym pismem smutku. Nagle zdał sobie sprawę, że nie słyszy burzy. Wyszedł na dwór i zmrużył oczy w ostrym, porannym słońcu. Niebo miało piękny odcień błękitu. Wydawało się, że burza wypolerowała je piaskiem do głębszego połysku. Beddeos odetchnął pełną piersią. Kątem oka zauważył jakiś ruch. Odwrócił się i zamarł. Ogromne chropowate obiekty, przypominające spłaszczone jaja albo stumetrowe migdały, staczały się z pobliskich wzgórz, podtrzymywane ze wszystkich stron przez niezliczone mrowie kulistych istot najeżonych długimi i giętkimi mackami.

Czenkro dotoczyły kevale do wieży.

Beddeos schował się w środku i przerażony obserwował, jak opływają jego zrujnowaną strażnicę niczym żywa fala. Warkocząc, świszcząc, chrzęszcząc i rozsiewając wokół feerię dziwnych zapachów, chodziły jedne po drugich. Ich witkowate odnóża przecinały ze świstem powietrze. Nawet najmniejsze osobniki były dwukrotnie większe od niego i poruszały się z niesamowitą szybkością. Żaden nie zmieściłby się w drzwiach wieży, ale Beddeos wiedział, że go to nie uratuje. Przypomniał sobie o kuszy i rozbawiła go ta myśl. Nawet gdyby jakimś cudem udało mu się ją znaleźć, to co mógłby zdziałać? Trzeba było posłuchać mistrza Motara.

Rozsiadł się wygodnie na zapiaszczonej podłodze. Był pewien, że to nie potrwa długo i lada moment rozłupią wieżę, by wypruć mu flaki. Jednakże, zamiast tego, do chrzęstów, świstów i popiskiwań dołączyły zgrzytliwe jęki i basowe pomruki, od których drżały ściany. Beddeos wstał i wyjrzał przez okno. Czenkro nie zwracały na niego uwagi. Rozkładały wokół wieży swoje przenośne miasto. Stawiały do pionu i wkopywały w grunt gigantyczne kevale, a potem łączyły je ze sobą girlandami mechatej pleśni. To było fascynujące widowisko. Strażnik przez kilka godzin przyglądał się niezmordowanej krzątaninie czenkro. Zaczął wierzyć, że mimo wszystko uda mu się przeżyć. Musi tylko uciec z tego miejsca. Ale jak? Wtedy przypomniał sobie o tym dziwnym obiekcie ukrytym w piwnicy. Czy wciąż tam jest?

Był.

Beddeos zszedł na dół i przypomniał sobie, co to jest. Diafragma. Wystarczy jej dotknąć i wróci do Ak-By. Nic prostszego. Nagle poczuł, że nie jest sam. Czarny olbrzym był równie wielki jak zawsze, a jednocześnie bez trudu mieścił się w niewielkiej, łukowo sklepionej komorze wypełnionej nikłym, szarym światłem. Złote oczy żarzyły się w rogatej głowie.

Beddeos znieruchomiał. Usłyszał w głowie słowa. Każde z nich było jak pomruk odległego gromu.

„Nie możesz jej dotknąć”.

– Muszę stąd uciec!

„Wiem, ale to nie jest dobry sposób”.

– A jest inny?

„Tak naprawdę jest tylko jeden”.

Strażnik mógł skoczyć na diafragmę i zakończyć sprawę, lecz coś go powstrzymywało. Olbrzym stał bez ruchu. Miał nad nim przewagę, ale jej nie wykorzystywał, tylko próbował go przekonać. Dlaczego?

– Nie pokonasz ich wszystkich.

„Nie zamierzam walczyć”.

– To jak mnie stąd wyciągniesz?

„Zagadujesz i wciąż myślisz o skoku na diafragmę. Możesz spróbować. Nie będę cię powstrzymywał”.

– Pozwolisz mi odejść?

„Jeśli taka będzie twoja wola”.

– Tak po prostu?

„Właśnie tak”.

Beddeos westchnął. Drżały mu ręce. Pomyślał o Tyfonie, który od początku uważał, że czarny olbrzym nie stanowi zagrożenia, i zrozumiał, że tak naprawdę nie ma wyboru. Musi podążyć za podskórnym nurtem.

– Dobrze – powiedział. – Zabierz mnie stąd.

„Zabiorę was obu”.

– Tyfona już nie ma.

„Nie mówię o nim”.

Coś szczęknęło za plecami Beddeosa. Z ciemnego korytarza wyszedł duży metalowy pająk. Na szczycie jego podłużnego tułowia tkwił wielolufowy falkonet. Koła zębate, misternie rzeźbione powierzchnie z lśniącego mosiądzu, teleskopowe elementy, niewielkie skórzane miechy, dziesiątki tulei i przekładni – Beddeos od razu je rozpoznał.

– A więc to było w skrzyni.

„Falkoneton – błogosławieństwo Inabulusa Knalba”.

Pająk wskoczył olbrzymowi na ramię.

„Teraz ty”.

– Co mam zrobić?

„Wejdź we mnie”.

– Jak?

Nagle jego własne pytanie wydało mu się głupie. Przecież to było oczywiste. Zrobił mały krok – czarny kwarc owinął się wokół niego, jak najlżejszy muślin – i wszedł.

W tej samej sekundzie cała trójka lekko opadła na szczyt wysokiej skały otoczonej wydmami. Horta już na nich czekał. Beddeos uśmiechnął się ponuro i powiedział:

– Znowu ty. Wiedziałem, że nie powinienem ci ufać.

– Nikomu nie powinieneś – odparł Horta. – Spójrz tam i powiedz, co widzisz.

Mały Człowiek wskazał w stronę wieży strażniczej, niemal całkowicie zasłoniętej przez górujące nad nią masywy połączonych kevali. W chmurze pyłu kolejne stawały do pionu.

– Czenkro rozbijają obóz.

– Po co?

– Pewnie ciągnie ich do studni. Zaspokoją pragnienie i ruszą dalej.

– To dlaczego osadzają kevale? Nie powinny tego robić, jeśli chcą zostać tylko na kilka dni.

– Dość tych pytań! Czego chcesz? Dlaczego nie pozwalacie mi wrócić do Ak-By?

– To nie tak. Chcemy, żebyś tam wrócił. Nie masz innego wyjścia. Ale dotknięcie diafragmy nie jest najlepszym pomysłem.

– Dlaczego?

– Bo istnieje inny sposób. Jedyny właściwy.

– Jaki?

– Nie mogę powiedzieć. Musisz pomyśleć.

Beddeos zacisnął z wściekłością pięści.

– Dobrze się bawisz? Chcę wrócić do wieży! Natychmiast!

Nagle odezwał się czarny olbrzym:

„Coś się zbliża”.

Horta rozejrzał się nerwowo.

– Co? Gdzie?

„Tuż pod powierzchnią. Już tu jest”.

Wszyscy spojrzeli pod nogi. Nic się nie działo. Beddeos westchnął.

– Nie nabierzecie mnie. Tu nic nie ma.

Na kamieniach wykwitły białe litery i ułożyły się w słowa.

Tylko ja,
Pilsh Durq.
Pamiętasz?

– Co to jest? – zapytał Horta.

– Nie mam pojęcia. Było w drewnianej tabliczce, którą znalazłeś w popiołach Niedźwiedziego Światła – odparł Beddeos. – Czym jesteś?

Białe słowa płynnie zmieniły kształt.

Pilsh Durq.
Gdzie pleśń,
Tam ja.

– Możesz się swobodnie poruszać?

Oczywiście.
Tabliczka to tylko
Indykator.

– Dlaczego za mną idziesz?

Muszę.
Jesteś ciężki.
Przyciągasz.
Nie mogę tu zostać.

– Pleciesz bez sensu. Przecież jestem tutaj.

Nieprawda.
Jesteś w Ak-Bie.
Ześlizguję się w tamtą stronę.

Pleśń wtopiła się w grunt i Pilsh Durq przestał odpowiadać na pytania. Beddeos uniósł wzrok. Horta, czarny olbrzym i Falkoneton patrzyli na niego w milczeniu.

– Ale... – Nagle strażnik zapomniał co chciał powiedzieć i zamknął usta.

Pod czaszką, tuż za oczami, poczuł ciepłą iskrę zrozumienia. Rosła. Ogarniała każdą komórkę jego iluzorycznego ciała. A w chwili, kiedy wypełniła go całkowicie, materialna projekcja Beddeosa zbladła i rozwiała się w powietrzu. Uwolniona świadomość pomknęła pajęczymi ścieżkami Konstruktu i wróciła do Ak-By, gdzie w kamiennym sarkofagu pływało jego prawdziwe ciało.

– No, no – mruknął z uznaniem Horta. – To coś jest skuteczniejsze od nas.

Nikt nie zaprzeczył.

Abret wyszedł z Gniazda, zszedł na dno kanionu i wolnym krokiem ruszył w górę Firby. Na rzece był duży ruch. Potężni salamandroskórzy zamini przemierzali ją w małych barkach i długich lancetowatych łodziach, które z głośnym terkotem zmagały się z silnym nurtem. Brukowane ulice po obu stronach Firby również były bardzo zatłoczone. Trzeba było iść tuż przy samym nabrzeżu, by nie wchodzić w drogę ikri, posuwającym się jeden za drugim, podobnie jak mrówki, oraz wiecznie zabieganym perusom, pomykającym chyżo na trzech nogach, i zaminom, którzy ciężko stąpali, podpierając się na długich rękach, lub kierowali wielokołowymi pojazdami, powoli przebijającymi się przez tłum przechodniów. Ludzie byli tu rzadkością. Nigdzie nie było ich widać. Jedynie raz przemknął w oddali nagi gomol. Ale to coś tylko wygląda jak człowiek.

Abret wszedł w głębokie podcienie, schował się w cieniu i niewidoczny zaczął się wpatrywać w tłum istot przemierzających ulicę. Uderzająca była ich obcość, nieobecność, skupienie. Jakby wewnętrzne krajobrazy były dla nich równie ważne jak zewnętrzna rzeczywistość, a może nawet ważniejsze, bo właśnie patrząc do środka, widzą świat we właściwej perspektywie.

To nie jest już nasze miejsce. Nie przynależymy tu. A jeśli nie tu, to gdzie? Od kiedy kobiety przejęły władzę, robią wszystko, żeby zniwelować przepaść między ludźmi a innymi rasami i za wszelką cenę nie dopuścić do wymarcia gatunku. Tyle że to już się stało. Została nas tylko garstka. Za mało, żeby walczyć o swoje prawa w świecie, którego nie rozumiemy i do którego nie pasujemy. Nic nam już nie pomoże. Nawet pasożytniczy związek z mazzmą i jej Kolektywem Raziri – dzięki któremu mamy ochronę i mały spłacheć rzekomo własnej, bezpiecznej przestrzeni – jest przecież iluzją. Rada twierdzi, że to przyczółek do dalszej ekspansji; do rozwoju. To naiwne i krótkowzroczne myślenie. Ani się obejrzymy, a staniemy się trwałym elementem kolektywu. Po części już tak jest. Tylko kobiety są zbyt zajęte wewnętrznymi rozgrywkami, intrygami i kontrolowaniem mężczyzn, żeby to dostrzec.

Czuć to w powietrzu, w kolorze Firby, odgłosach tego obcego miasta – każdy dzień przybliża chwilę, w której utracimy resztki gatunkowej autonomii. Chwilę, w której przestaniemy być ludźmi. Czy powinniśmy z tym walczyć? Czy opór ma sens?

Abret wie, że nie nakłoni Jądra do zmiany decyzji, i nie dość, że narazi się kobietom, to jeszcze straci przyjaciela. Tak, Beddeos wróci, a gdy tylko poczuje się trochę lepiej, mazzma wyssie jego krew i zrobi z niego gomola. Zaraz, jakiego przyjaciela? Przecież Abret był w grupie, która głosowała za jego zesłaniem. A dla zdrajcy nie ma żadnej litości. I słusznie, bo nie powinno być. To sytuacja bez wyjścia. Każdy ruch kończy się przegraną.

Początkowo Abret zamierzał się przespacerować aż do Świątyni Wody, ale już nie czuł się na siłach. Powłócząc nogami, wrócił do Gniazda.

Przekroczył próg bramy pilnowanej przez cztery rosłe gomole i wpadł na Ednę. Czekała na niego. To przez tę bystrą i energiczną blondynkę Beddeos został banitą. Przez jej miłość i wierność. Przez to, że nie było dla nich nic ważniejszego od córki Alwy.

Abret spojrzał w jej poważne, niebieskie oczy i zrozumiał, dlaczego go szukała.

– Obudził się?

– Jest w dormitorium. Pójdziesz ze mną? Sama nie mam odwagi.

Dobrze ją rozumiał. Zimny strach wypełnił mu żołądek.

– Chodźmy – mruknął przez ściśnięte gardło.

15

Beddeos spał skulony w kamiennej niszy. Gomole owinęły jego wychudzone ciało grubymi kocami, spod których wystawała zmierzwiona czupryna długich włosów. Edna otarła łzy i przyklękła. Sięgnęła pod koce i wydobyła bezwładną rękę Beddeosa – wszystkie palce kończyły się połamanymi paznokciami, zakrzywionymi jak ptasie szpony. Kobieta zamknęła jego dłoń w swoich i zapłakała. Potem ucałowała ją i delikatnie, z czułością, wsunęła z powrotem pod koc. Wstała z wysiłkiem.

– Co teraz? – zapytała.

Abret wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Jestem następny w kolejce.

– Jądro dobierze się do ciebie dopiero po wchłonięciu Beddeosa. Masz czas.

– Najwyżej trzydzieści dni.

– Nieważne. Musimy mu pomóc.

– O czym ty mówisz? Przecież nic nie można zrobić.

– Musi być jakiś sposób.

Abret rozejrzał się nerwowo. W zasięgu wzroku nie było żadnego gomola.

– Ciszej. Mogą podsłuchiwać. Nie chcę cię martwić, ale widziałem już ludzi, którzy wrócili z banicji. Są apatyczni, nikogo nie rozpoznają, nie pamiętają nawet własnego imienia.

– No i co z tego? To wciąż jest Beddeos, mój kochany Beddeos i twój przyjaciel.

– Którego zdradziłem...

– Jakie to ma teraz znaczenie? Czas ucieka. Pomożesz mi?

– Chyba nie mam już nic do stracenia.

– Dziękuję.

– Ale nie wiem jak...

Nagle do dormitorium wpadła Mara w towarzystwie Mony, Viver i Arenn.

– Edna, co ty tu robisz?! – syknęła. – Wciąż obowiązuje cię areszt domowy. Zapomniałaś? Pójdziesz z nami! Jeszcze raz złamiesz mój nakaz i odbiorę ci Alwę. A ciebie, Abret, zgłaszam do przeróbki. W trybie przyśpieszonym. Możesz się pożegnać ze swoim przyjacielem, bo już go nie zobaczysz. Zresztą, nie sądzę, żeby on chciał cię widzieć. Nic nie kombinujcie! Zaraz przyjdą gomole. Będą go pilnować dzień i noc.

Kobiety zabrały Ednę i wyszły. Zapadła cisza, w której rozlegał się tylko spokojny oddech śpiącego Beddeosa. Po chwili pojawiły się trzy gomole i stanęły plecami do niszy. Zasłoniły ją swoimi ciałami.

Zrozpaczony Abret zszedł dwa piętra w dół i zaszył się w swoim pokoju. Chciał umrzeć, ale nie mógł się nawet zdrzemnąć. Ktoś załomotał w drzwi.

– Czego?!

– To ja, Takmos. Spóźnisz się na Rytuał. Chcesz jeszcze bardziej podpaść?

– A można bardziej?

Rytuał odbywał się raz dziennie w Świątyni Wewnętrznego Oka. Przed płaskorzeźbą w kształcie ogromnego oka pozbawionego źrenicy gromadziła się cała ludzka społeczność zamieszkująca Gniazdo. Obecnie dwadzieścia siedem osób. Piętnaście kobiet, siedmiu mężczyzn i pięcioro dzieci – trzy dziewczynki i dwóch chłopców. Główna kapłanka, rozebrana do pasa Inga, intonowała hipnotyzującą pieśń, która pomagała się skupić przed cyklem pięciu długich modlitw skierowanych do śpiących bóstw – ukrytych skarbów umysłu.

Po zakończeniu cyklu każdy obowiązkowo stawał w kolejce do Pokoju Nauk, w którym Inga udzielała indywidualnych wskazówek dotyczących

praktyki Wewnętrznego Oka. Teoretycznie miała ona na celu ponowne rozbudzenie potężnych aspektów świadomości, które wygasły wraz ze zniknięciem ludzkiej cywilizacji, jednak w praktyce była to karykatura psychonautycznej techniki stworzonej przez perusów. Tak naprawdę miała on sens, gdy zazębiała się z biegłą obsługą tablotesora, a w Gnieździe posiadło tę umiejętność tylko ośmiu mężczyzn. Spośród nich zaś jedynie połowa wiedziała, że to mentalne narzędzie może służyć do czegoś innego niż obserwowanie Kavora w przestrzeni Konstruktu. Indywidualne spotkania z Ingą i długie, szczere rozmowy były świetnym sposobem na kontrolowanie życia wyznawców oraz szybkie wychwytywanie oznak niepokoju i buntu. Jednakże Abret znał prawdę. Podczas szkolenia w Linvenogre wielokrotnie uczestniczył w Rytuałach perusów i rozumiał, na czym polega różnica. Beddeos również, lecz on nie miał tu już żadnych wpływów. A reszta?

Takmos, który przeszedł to samo szkolenie, co oni, lecz kilka lat później, miał gdzieś wszystkie wątpliwości, bo większość czasu spędzał w łóżku Mary. Osiłek Zekne był zbyt ograniczony, żeby pojąć różnicę i wyciągnąć z niej wnioski. Podobnie wyglądało to w przypadku Derfa. Wszystko to działało na korzyść Rady, dla której pozorna praktyka duchowa i ignorancja były fundamentami władzy i kontroli. Trudno się dziwić, że większość trzymała jej stronę. W każdym razie oficjalnie, bo ci, którzy mieli odmienne zdanie, woleli zachować je dla siebie, gdyż wszystkie przejawy niezależności były surowo karane – banicją, przerobieniem na gomola, trwałym osadzeniem na orbicie Kavora, a w najlepszym wypadku wygnaniem z Gniazda.

Abret nie chciał się modlić i nie wybierał się do Pokoju Nauk. Poirytowany wiercił się na twardej ławie.

Nagle z całą jaskrawością ujrzał własne tchórzostwo, wygodną służalczość, chytre sposoby na oszukiwanie sumienia. Poraziła go bolesna rozbieżność między ambicjami a czynami i przestał się bać pogardy dla samego siebie, która od dawna trawiła mu duszę i odbierała siły. Pochylił głowę. Po cichu, z zamkniętymi oczami przeprosił przyjaciela, że stanął po jego stronie dopiero wtedy, gdy sam znalazł się w podobnej sytuacji. Już dawno powinien stąd odejść, zamiast trwać w zakłamaniu i pozwalać się wykorzystywać mazzmie i kobietom. Seks nie był tego wart. Nic nie było,

wszystko bowiem jest lepsze niż to. Wszystko, co ma w sobie niezakłamaną prawdę wewnętrznego doświadczenia, którą wzgardził, opluł i podeptał.

Czas z tym skończyć!

Coś jeszcze nie dawało mu spokoju. Kilka rzędów dalej wypatrzył Ednę. Dyskretnie zerkała w jego stronę. Uśmiechała się samymi kącikami ust. Jakim cudem pierwsza dowiedziała się, że Beddeos wrócił? Straciła trochę czasu, żeby go odszukać, a i tak znaleźli się w dormitorium przed Marą i jej świtą. Jak to możliwe?

Mogło być tylko jedno wytłumaczenie. Abret uczepił się tej myśli i czując na plecach gniewne spojrzenie Ingi, wybiegł ze Świątyni Wewnętrznego Oka.

Czuł, że nadszedł czas na ostateczne rozwiązania, i pierwszy raz od bardzo dawna przepełniała go czysta, wściekła radość.

Wybiegł z Gniazda i szybkim krokiem ruszył do Świątyni Wody. Trzymał się wyższych tarasów i bocznych ścieżek prowadzących przez wiszące ogrody pełne grzybów i sadzawek wypełnionych jaskrawymi glonami. Wspinał się coraz wyżej, aż zza krawędzi kanionu zaczęły się wyłaniać mozaikowe, ceramiczne stożki ikri, plujące w niebo rdzawym dymem. Idąc obok nich, dotarł do łagodnego zakrętu, za którym otwierał się widok na majaczącą w oddali gigantyczną, ośmiokątną Basztę, lśniącą w słońcu jakby została wykuta z jednego kawałka ciemnoszarego metalu. Była gładka, pozbawiona okien, jedynie w połowie wysokości znajdował się duży otwór. Tryskał z niego potężny strumień wody, który z ogłuszającym hukiem opadał w dół. W tym miejscu rodzi się Firba. W tej niewyobrażalnie starej Baszcie. Budowla była fascynująca i zarazem przerażająca, ale Abret wiedział, że to nic w porównaniu z tym, co się kryje w środku.

Podstawa Baszty ginęła w chmurze wodnego pyłu. Krył się w niej również posterunek obsadzony uzbrojonymi gomolami, które pilnowały wejścia. Jeden z nich zastąpił mu drogę.

– Nie powinieneś być na modłach? – zapytał.

Abret zachował spokój. Każdy gomol jest cząstką mazzmy – to ona pulsuje w nim zamiast krwi – jednak, by nawiązać kontakt z Jądrem, musi się fizycznie połączyć z rdzeniem czarnego śluzu, dlatego wszystkie cierpią na nieustanny deficyt informacji. Przy tak powolnej komunikacji rozkaz zatrzymania Abreta dotrze do nich najwcześniej wieczorem.

Kiedy będzie już po wszystkim.

– Skończyłem. Chcę teraz popracować w obserwatorium.

– A reszta?

– Przyjdą później.

– Mamy wyraźny rozkaz, żeby nie wpuszczać pojedynczo.

– Możecie pójść ze mną.

– Przecież wiesz, że Kavor nas nie wpuści.

Abret poczuł obrzydzenie i wzbierającą złość. Tak. Jądro wie, co robi. Gomole stoją tu dla niego i dla takich jak on. Puste skorupy po ludziach, wypełnione czarnym śluzem, mają strzec Baszty przed każdym, kto jeszcze jest człowiekiem. Inne rasy trzymają się z daleka, bo się boją tysięcy ikri, które chroboczą w kamiennych ścianach Ak-By i w każdej sekundzie są gotowe wylec na ulice miasta, by w obronie Jądra pokryć wszystko warstwą brązowego kwasu.

Gomole patrzyły na siebie bezradne i nie wiedziały, co mają z nim zrobić. Abret odczekał chwilę, skoczył do przodu, przemknął między nimi i już biegł szerokimi schodami w górę Baszty. Nikt go nie ścigał.

Budowla przypominała ogromną, ośmiokątną studnię wypełnioną mgiełką wodnego pyłu. Po ścianach pięły się w górę spiralne schody. W połowie wysokości Baszty dochodziły do okrągłej platformy zawieszonej tuż pod lewitującym obiektem, który wyglądał jak wielka kula seledynowego kryształu pokrytego misterną siatką drobniutkich pęknięć – to Kavor. Jedna z legendarnych Dziewięciu Głębin. Choć jego powierzchnia była gładka i nie było na niej widać żadnych szczelin, to właśnie z niego tryskał strumień wody, który wydostawał się na zewnątrz przez otwór w Baszcie. Huk był trudny do wytrzymania. Ale jeszcze gorsze było wrażenie, że Kavor cię rozpoznaje i zaraz, dosłownie za moment coś się wydarzy. Nigdy nic się nie działo, jednakże napięcie rosło z każdą chwilą spędzoną w jego obecności.

Na platformie były rozstawione krzesła dla obserwatorów. Abret wybrał pierwsze z brzegu, wytarł rąbkiem szaty i usiadł. Uspokoił oddech, otworzył tablotesor. Determinacja pomogła mu się skoncentrować. Przeskoczył na niższy poziom interfejsu. Wypalił psychiczne zakłócenia, które dostały się do śluzy, i na wydechu opadł w przestrzeń Konstruktu.

W aksamitnym mroku unosiła się pulsująca sfera wypełniona płynnym błękitnym blaskiem – tak wyglądał tu Kavor. Wisiał ponad sięgającą po

horyzont płaszczyzną utworzoną przez niesłychanie skomplikowaną sieć miękkich falujących czułków, które splatały się ze sobą i łączyły z większymi obiektami, nieustannie zmieniającymi formę. A wszystko to półprzezroczyste, świecące własną luminescencją, jak organizmy na dnie morza. Gdzieniegdzie poruszały się kształty, które mogły być żywymi organizmami, i pałeczkowate satelity, krążące na stałych orbitach wokół większych pąkli. Żyjąca pozostałość po ludzkiej technologii, albo coś, czego istnienie ludzie tylko odkryli. Perusi nazwali to przestrzenią Konstruktu i wszyscy używają tej nazwy.

Abret nigdy nie rozumiał, dlaczego Jądro zmusza ich do obserwowania Kavora z poziomu Konstruktu. O co mu chodzi? Czemu wchłania obserwatorów? Mimo to, chętnie się tu zapuszczał. Czas stawał w miejscu. A widok Głębiny wzbogacał go w trudny do uchwycenia sposób. Jednakże nie można tu było przebywać zbyt długo, bo świadomość, cały czas przyciągana do Kavora, mogła się w końcu spektakularnie odkleić od ciała, zabierając ze sobą tworzące go energie. Abret widział to kiedyś na własne oczy, gdy na polecenie Rady nie wybudzili z transu Hannika, który otwarcie mówił, że zamierza opuścić Gniazdo. Kobiety mu na to nie pozwoliły. Przez jakiś czas jego świadomość krążyła wokół Głębiny, a potem zniknęła bez śladu. Ciało Hannika rozpłynęło się w powietrzu.

Abret zamierzał podążyć tą samą drogą.

Przesunął punkt ciężkości i wszedł na niską orbitę wokół Kavora. Od razu poczuł obezwładniającą siłę jego ciążenia. Stąd już nie ma powrotu. Zostało mu niewiele czasu. Przeskoczył dwie zakładki wyżej w tablotesorze, otworzył okienko komunikacyjne i puścił w eter sygnał wywołania. Tuż pod nim falująca płaszczyzna Konstruktu rozjarzyła się pomarańczowym błyskiem. Czekając na efekty, zerkał w stronę owalnej pieczęci, którą przed laty założył na wejściu do krypty. Kiedyś intensywnie pracował w niej nad przywołaniem idola – osobistego duchowego przewodnika, ale rozczarowany marnymi efektami zapieczętował kryptę. Może warto tam teraz zajrzeć? Drugiej okazji pewnie już nie będzie.

Okienko komunikacyjne nadal wypełniał biały szum. Abret błyskawicznie usunął pieczęć i wślizgnął się do krypty. Nic się nie zmieniło. Po latach znowu stanął na gładko ściętym czubku góry, z której rozpościerał się oszałamiający widok na skalistą dolinę. Łopotał porywisty wiatr, który niósł gorzkawy zapach, wywołujący uczucie tęsknoty, i dźwięki

odległych czyneli. Tylko tyle udało mu się osiągnąć. To sukces czy porażka? Irytująca była ta niepewność, ale nie ciążyła mu już tak jak kiedyś. Abret wycofał się z krypty i zobaczył, że coś pływa w okienku komunikacyjnym. Zwiewny woal, który miał kształt twarzy Edny.

– Wiedziałem! – krzyknął uradowany Abret. – Beddeos cię nauczył.

– Nie jesteśmy w tym gorsze od was.

– Ale lepiej radzicie sobie z rodzeniem dzieci.

– Dlatego musiałam się uczyć po kryjomu. Czemu wyglądasz jak pieniek?

– Oj, to długa historia. Zapytaj Beddeosa, na pewno... Przepraszam.

– Niepotrzebnie. Nic mu nie jest. Jego wspomnienia nie są jeszcze kompletne, może nigdy nie będą, ale wrócił w dobrej kondycji.

– Niesamowite. Nigdy nie słyszałem o takim przypadku.

– Powiedział, że ktoś mu pokazał jak to zrobić.

– Kto?

– Nie wiem. Jest jeszcze słaby i mało rozmawialiśmy. Musisz go wywołać!

– Nie będzie chciał ze mną rozmawiać.

– Przeciwnie. Pierwsze, co zrobił, to zapytał o ciebie.

– Naprawdę?

– No już! Na co czekasz? Gdzie teraz jesteś?

– Na orbicie Kavora.

– Ale mężczyźni dopiero wyszli z Gniazda... O, nie! Dlaczego?!

– Tylko to zdołałem wymyślić.

– Cały ty. I to właśnie teraz, gdy wrócił.

– Korzystam z ostatniego wyboru, jaki nam pozostał. Wszyscy powinniśmy opuścić to miejsce.

– A gdzie mielibyśmy się podziać?

– Nie rozumiesz, Edno? Tułaczka nie wchodzi w grę. To już nie jest świat ludzi. Musimy odejść z Usimy.

– Skąd wiesz, że nie ma tu dla nas miejsca?

– Rozejrzyj się. Nie da się cofnąć czasu. Ludzkość umarła. Nie widzisz tego? Albo przekształciła się w coś, czego nie rozpoznajemy. Jesteśmy odrzutami tego procesu.

– Jak możesz być taki pewny?

– Nie wiem. Czuję, że tak jest. Czuję, że robię właściwy krok.

Obok zwiewnego woalu w kształcie twarzy Edny pojawiła się zwinna, srebrna rybka.

– I masz rację – powiedziała.

– Witaj, Rybko.

– Witaj, Pieńku.

– Jak długo podsłuchujesz?

– Od początku.

– Potrafisz się podpiąć, kiedy chcesz? Nawet nieproszony?

– Moje umiejętności wzrosły, Abrecie.

– Nie wiem czy to ci pomoże.

– Ja też nie, ale świat wygląda inaczej niż nam się wydawało. Mamy sprzymierzeńców i możliwości.

– Więc jest nadzieja – wtrącił woal.

– Nie, kochanie, Abret się nie myli. Ludzkość opuściła Usimę i my również nie możemy tu zostać.

– To co mamy zrobić? – jęknął płaczliwie woal.

– Wierzę, że powinniśmy podążyć drogą, którą wyznaczyli. Ścieżką Przeskoku.

– Czyli umrzeć – podsumował woal.

– To nie jest właściwe słowo.

– A jakie jest? – zapytał Abret.

– Jeszcze go nie znam.

– Nie pocieszyłeś mnie.

– Ufaj tylko sobie. Co czujesz?

– Już się nie boję.

– Na początek wystarczy. To nie jest koniec. Jeszcze się zobaczymy.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak.

– Nie gniewasz się na mnie?

– Skrzywdziłeś innego człowieka, Abrecie. W innym życiu. Czeka nas nowe i...

– Nie słyszę cię.

– Kavor cię ściąga. Do zobaczenia.

– Ja...

Błękit wchłonął Abreta i rozsadził jego świadomość. Chwilę później mężczyźni wpadli do pustego obserwatorium.

W dormitorium, pod grubymi kocami, gorące łzy spływały po policzkach Beddeosa.

Trzy piętra niżej Edna w milczeniu tuliła Alwę.

16

Beddeos szybko odzyskiwał siły, ale starał się, by nikt tego nie zauważył. Pozwalał się karmić i wyprowadzać do toalety. Przycięto mu włosy, spiłowano paznokcie. Po kryjomu otwierał tablotesor, segregował wspomnienia i rozmawiał z Edną. Starał się ją pocieszać, ale sam nie wiedział, co powinien teraz zrobić. Nie chciał zostać gomolem, lecz wymyślenie sposobu na wymknięcie się mazzmie przekraczało jego możliwości. Odejście Abreta osłabiło wątłe szeregi przeciwników Rady, więc nikt nie stanie po jego stronie. Jedynie Edna będzie go bronić. Sama przeciwko ludzkiej społeczności Gniazda. Jakie ma szanse?

Od momentu, gdy przebudził się w swoim prawdziwym ciele, przegródka w tablotesorze, w której znajdowało się wejście do krypty, jarzyła się falującym blaskiem szlachetnego klejnotu wynurzającego się z głębiny. Beddeos wiedział, co to znaczy, ale długo nie miał odwagi tam zajrzeć. W końcu jednak uznał, że potrzebuje pomocy, i ze ściśniętym gardłem otworzył kryptę.

Nagle znalazł się w warsztacie Tyfona, który majsterkował obstawiony setkami rupieci. Gdy wyczuł obecność Beddeosa, odwrócił się w jego stronę. W jednej ręce trzymał lutownicę, a w drugiej mały płaskownik. Zaterkotał wyświetlacz.

ZNOWU KŁOPOTY?

– Jak zawsze, przyjacielu.

NAJGORZEJ

KIEDY ZOSTAJESZ SAM

– No właśnie.

ALE TO NIE JEST

TWÓJ PROBLEM
BEDDEOSIE
PRZYPOMNIJ SOBIE
CO MÓWIŁEŚ ABRETOWI
I WRÓĆ GDY NAPRAWDĘ
BĘDZIESZ W POTRZEBIE

Bez dodatkowych wyjaśnień Tyfon wypchnął go z krypty. Zdumiony Beddeos zamknął tablotesor. O co mu chodziło? Spojrzał na pilnujące go gomole, bezmyślnie wodził wzrokiem po zakamarkach skalnej niszy. Z wolna rozjaśniało mu się w głowie. Po powrocie do Gniazda wszystko, czego doświadczył w wieży, jawiło mu się jak długi i dziwny sen. Nie potrafił się ustosunkować do tych wspomnień. Odklejał się od nich i z każdym dniem tracił pewność siebie. Były tylko dwie możliwości. Albo to wpływ Jądra, albo ma założonego cenzora.

Natychmiast zaczął grzebać w podstawowych ustawieniach tablotesora. Po dłuższych poszukiwaniach odkrył, że tuż przy podstawie drzewka funkcji jest umieszczony wielozadaniowy selekcjoner, który ogranicza, spowalnia i cenzuruje większość procesów mentalnych.

Nie znalazł się tu przypadkowo. Ktoś musiał go wszczepić. Pewnie zrobił to mistrz Motar, albo inny sympatyczny perus działający na zlecenie Kolektywu Raziri, i to jeszcze podczas szkolenia w Linvenogre. Selekcjoner stawiał opór, ale Beddeos zaparł się i oderwał go od rdzenia. Pozbawiony kontaktu z drzewkiem funkcji zwinął się i wyparował.

Beddeos poczuł, że zsuwa się z niego ogromny ciężar. Płuca wypełniły się świeżym powietrzem. Rzeczywistość przyśpieszyła, wyostrzyły się szczegóły, wszystko nabrało intrygującego połysku.

– Pilsh Durq? Jesteś tu? – wyszeptał.

Na skale zakwitła biel pleśniowych liter.

Cały czas.

Beddeos poczuł ciepły przypływ wiary. Ani przez moment nie był sam.

– Możesz się skontaktować z Hortą?

W każdej chwili.

– Zapytaj, czy pomoże mi stąd uciec i zabrać każdego, kto będzie chciał ze mną pójść.

Czeka tylko na twój znak.

– Już zapytałeś?

Tak. Mogę być

jednocześnie tu i tam.

– Niech czeka. Znikaj. Nie chcę, żeby cię ktoś zauważył.

Pilsh Durq bez komentarza wtopił się w skałę. W samą porę. Gomole rozstąpiły się i przed Beddeosem stanęła Mara.

– Myślisz, że nie wiem, co się tu dzieje? – warknęła.

– A konkretnie?

– Tablotesory, Edna i nocne pogaduszki.

– Nie wiem o czym mówisz.

– Przestań. Twoja córka nie potrafi trzymać języka za zębami. Złamałeś tyle naszych praw, że powinnam cię skazać na czterokrotne przerobienie na gomola.

– Twoich praw, Maro. Twoich.

– Wszystkie zostały wprowadzone dla dobra naszej społeczności.

– Sama w to nie wierzysz. Jak długo zamierzasz karać innych za to, że nie możesz sobie poradzić z własnymi emocjami?

– Ty gnojku, mogłeś mieć wszystko...

– Ależ mam. Kocham Ednę i Alwę. I nigdy nie zaakceptuję twojego zakazu tworzenia stałych związków. Chcę żyć tylko z nimi. Mam do tego prawo.

– O tym ja zadecyduję.

W przerażający sposób napawała się swoją władzą.

– Pozwolisz mi się z nimi zobaczyć? Ostatni raz? – poprosił Beddeos.

– A jednak jest coś, czego chcesz. Chyba nie powinnam się na to godzić, prawda?

– Dlaczego nie? Przecież wygrałaś.

– Nie da się ukryć. No dobrze. Zgodzę się, ale pod jednym warunkiem.

– Słucham.

– Powiedz mi, jak to możliwe, że wróciłeś z banicji i wydajesz się taki sam jak przed zesłaniem? W żaden sposób cię to nie dotknęło. Inni nie mieli tyle szczęścia.

– Nie umiem tego wyjaśnić.

– Tak się nie wykręcisz.

– Myślę, że udało mi się odkryć właściwy sposób.

– Czyli jaki?

– Tam, w wieży, nie wiesz, że jesteś realistyczną, mentalną projekcją. Wierzysz, że twoje ciało jest prawdziwe. Ale wystarczy zdać sobie sprawę,

że tak nie jest, poczuć to i umysł natychmiast demaskuje iluzję, odnajduje drogę powrotną.

– Sprytne. Sam na to wpadłeś?

– Nie. Pomogli mi Mali Ludzie, czarny olbrzym i coś, co twierdzi, że nazywa się Pilsh Durq.

– A tak dobrze ci szło. Nie rozumiem cię. Wiesz, że nie jestem głupia. Dlaczego próbujesz mi wciskać te bajeczki? Każdy wie, że Mali Ludzie to postacie z książek dla dzieci.

Mógł jej powiedzieć całą prawdę, od początku do końca, a i tak Mara usłyszy to, co chce usłyszeć, spętana przekonaniem o własnej nieomylności.

– Masz rację, przepraszam. Chciałem trochę ubarwić opowieść.

– Ubarwiaj do woli, rozmawiając z Alwą. Mnie wystarczy prawda.

Akurat.

– Spełniłem twój warunek?

– Żebyś nie mówił, że jestem bez serca. Jutro będziesz mógł spędzić z nimi cały dzień.

– Dziękuję, Maro. Nie zapomnę ci tego.

– Ja myślę.

To nie był dobry dzień na spacer, ale i tak wyszli z Gniazda. Z szarych chmur padał drobny, przenikliwy deszcz. Zamini przystawali w uliczkach, na schodach i tarasach, otwierali żabie paszcze najeżone trójkątnymi zębami i wystawiali na mżawkę grube cętkowane języki. Alwa chowała się za Edną i podejrzliwie zerkała w stronę Beddeosa. Nie rozpoznawała go, bo zniknął z jej życia, gdy miała dwa lata, i kolejne cztery spędził w sarkofagu. Ale jemu wystarczyło, że mógł przebywać blisko niej. To wynagradzało wszystko.

Objął Ednę i przytuleni ruszyli wolnym krokiem w dół Firby do pajęczego ogrodu perusów, gdzie można brodzić po pas wśród olbrzymich łodyg mchu i oprzeć się o aksamitny pień abady, pod grzybiastymi naroślami, w których perusi drążą swoje siedziby.

Nikt ich nie pilnował. Dokąd mieliby uciec?

W ogrodzie zeszli ze ścieżki i schowali się pod wielkim czerwonym liściem tronta. Było tam sucho i przytulnie. Edna musnęła palcami twarz Beddeosa.

– Jak możesz być taki spokojny? – zapytała.

– Dzisiaj nie mam powodów do zmartwień.

– To się zaraz skończy. Ona nigdy nie pozwoli nam być razem.

– Wciąż nie chce przyjąć do wiadomości, że wybrałem ciebie. Jak was traktowali?

– Do niczego mnie nie zmuszali, jeśli o to pytasz.

– Kochanie, już o tym mówiliśmy, nawet gdyby tak było, nie miałbym do ciebie żalu. Kocham cię bez względu na to, z iloma mężczyznami spałaś.

– Idealny się znalazł...

– A ty wciąż swoje.

– Gdybyś nie dawał jej nadziei, wszystko mogłoby się potoczyć inaczej. Może nie wprowadziłaby tego idiotycznego prawa zakazującego stałych związków.

– Nie możesz mnie obarczać taką odpowiedzialnością.

– Czyżby? A ile razy ją rżnąłeś?

– Edna! Nie przy dziecku!

– Ile?!

– Trzy, cztery... Nie pamiętam dokładnie.

– Jedna przygoda to za mało, co?

– Wystarczy. Po co do tego wracamy?

– Bo cię kocham, idioto. I przez twoją głupotę cię stracę.

Edna rozpłakała się i wtuliła twarz w pierś Beddeosa. Przestraszona Alwa przywarła do pleców matki. Pierwszy raz od bardzo dawna ojciec i córka znaleźli się tak blisko siebie. Beddeos patrzył w jej wielkie zielone oczy i czuł się winny.

– Już dobrze – powiedział. – Płacz, kochanie, płacz.

– Jak mogłeś nam to zrobić? – wychlipała przez łzy. Odsunęła się od niego i objęła Alwę.

– Może nie będzie tak źle.

– Nie pomagasz. Już się pogodziłam.

– Ty chyba chcesz się mnie pozbyć.

– Dlaczego tak mówisz?!

– Przecież żartuję. Opowiadałem ci już o banicji, wieży i Tyfonie, prawda?

– No tak.

– Musisz usłyszeć resztę. Zwłaszcza to, jak wróciłem. I z kim.

– Jak to?

– Po kolei...

Edna słuchała uważnie. Kilka razy próbowała się wtrącić, ale Beddeos mówił dalej. Deszcz miękko stukał w liść tronta. Alwa zasnęła w ramionach matki. Gdy skończył swoją opowieść, przestało padać.

– Nie sądzisz chyba, że w to wszystko uwierzę? Olbrzym, Mali Ludzie, chodzące miasta? Beddeosie, kochanie, te bajki nie uratują ani ciebie, ani nas. Na początku myślałam, że rzeczywiście znasz jakiś sposób, żeby...

– Słyszysz, Pilsh Durq? O tobie nie wspomniała.

Pleśń zatańczyła na suchej ziemi.

Trudno się dziwić.

Pleśń jest wszędzie.

Łatwo w nią uwierzyć.

Edna pisnęła ze zdumienia i odruchowo zasłoniła usta.

– Tak, kochanie, świat jest inny, niż się wydaje z tej śmierdzącej dziury pełnej czarnego gówna. Nie twierdzę, że bezpieczniejszy. Ale nie mamy wyjścia. Nie możemy tu zostać.

– Co zrobimy?

– Teraz wrócimy do Gniazda. Jeśli są tu jeszcze ludzie, którym ufasz i wiesz, że chcieliby opuścić to miejsce, to powiedz im, żeby jutro po obiedzie przyszli na duży taras.

– Mara cię zabije.

– Ona już nikogo nie skrzywdzi. Obudź Alwę i chodźmy.

– Dobrze, ale zanim wrócisz do dormitorium, musisz coś zobaczyć.

– Co takiego?

– Kiedy pierwszy raz opowiadałeś mi o Tyfonie, miałam wrażenie, że skądś go znam, ale nie mogłam sobie przypomnieć skąd. Potem usypiałam Alwę i zerknęłam na półkę z książkami.

– Są tu jeszcze jakieś książki?

– Tylko te dla dzieci. Reszta poszła z dymem.

– I co tam znalazłaś?

– Nie pamiętasz? Taka dziwna opowieść, nie mogliśmy się nadziwić, że Alwa ją uwielbia. Czytałeś ją wiele razy.

– Naprawdę?

– Możesz się zdziwić...

Kiedy wrócili do Gniazda, było już po zmierzchu. Beddeos zaczynał się denerwować.

– Pokaż mi ją. Szybko. Muszę wracać do dormitorium.

– Czekaj chwilę... Już mam. Proszę.

Beddeos spojrzał na okładkę cienkiej książki i zamarł.

Była na niej wieża.

Jego wieża.

Dlaczego kamień
leży tam,
gdzie leży?
Tosso

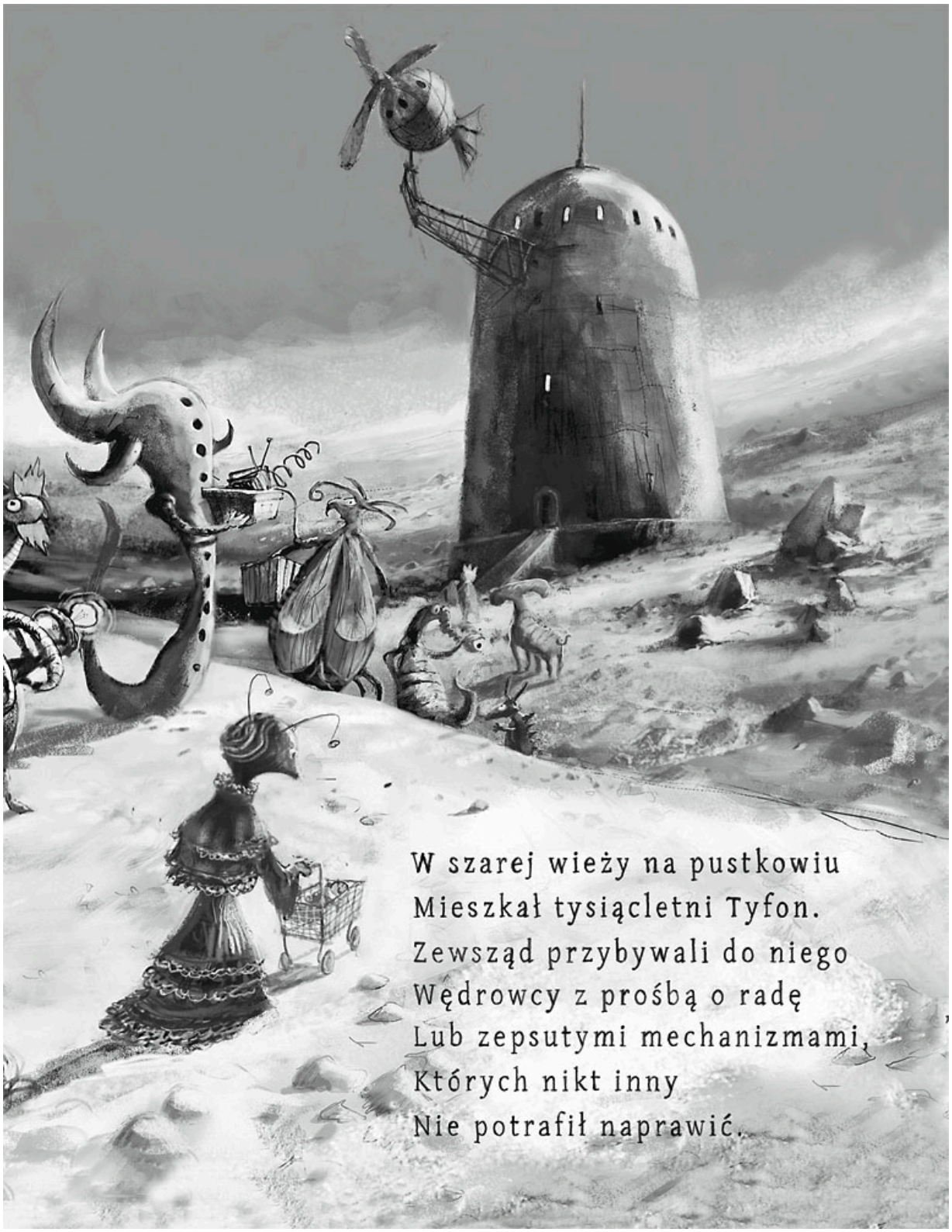

W szarej wieży na pustkowiu
Mieszkał tysiącletni Tyfon.
Zewsząd przybywali do niego
Wędrowcy z prośbą o radę
Lub zepsutymi mechanizmami,
Których nikt inny
Nie potrafił naprawić.

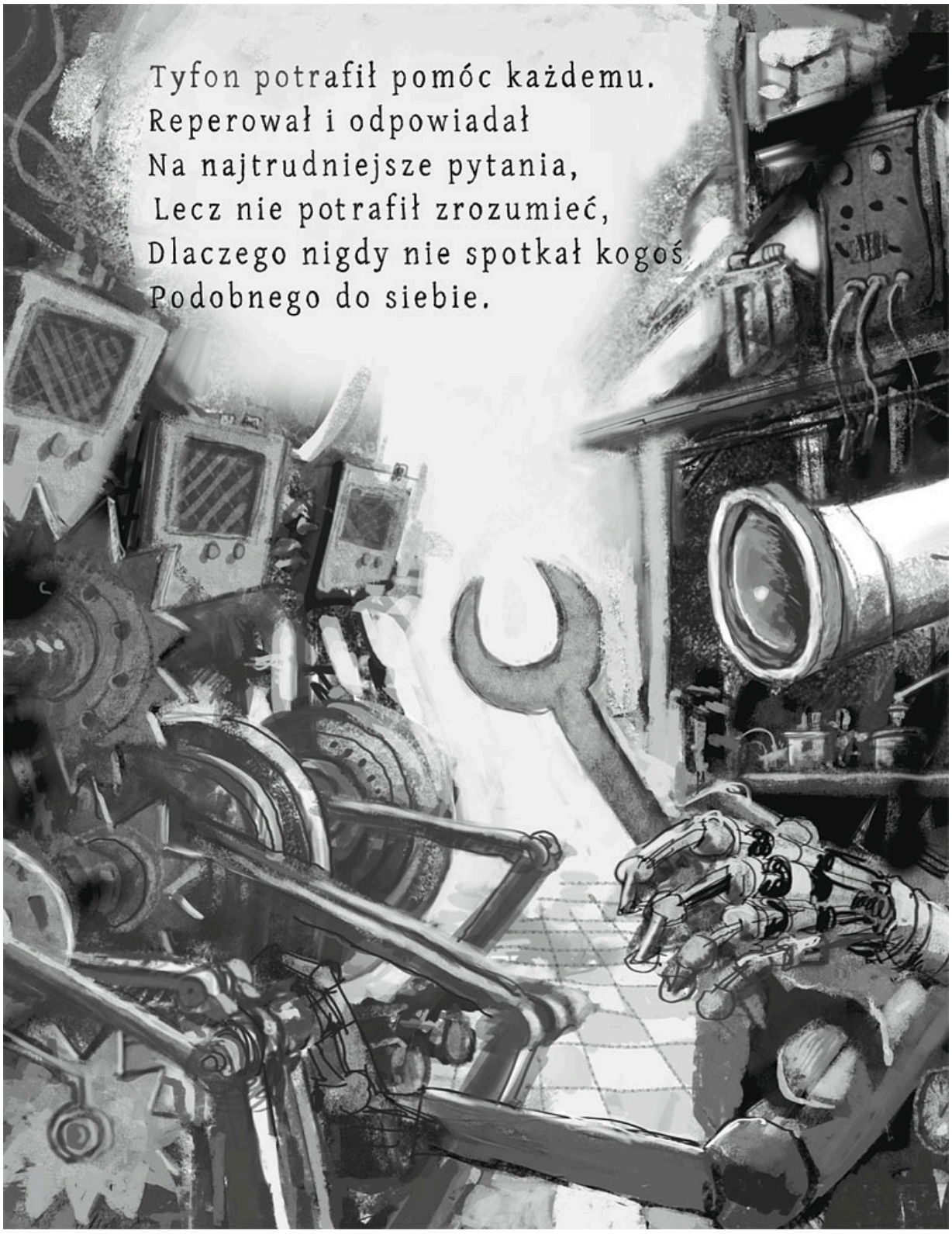
Tyfon potrafił pomóc każdemu.
Reperował i odpowiadał
Na najtrudniejsze pytania,
Lecz nie potrafił zrozumieć,
Dlaczego nigdy nie spotkał kogoś
Podobnego do siebie.

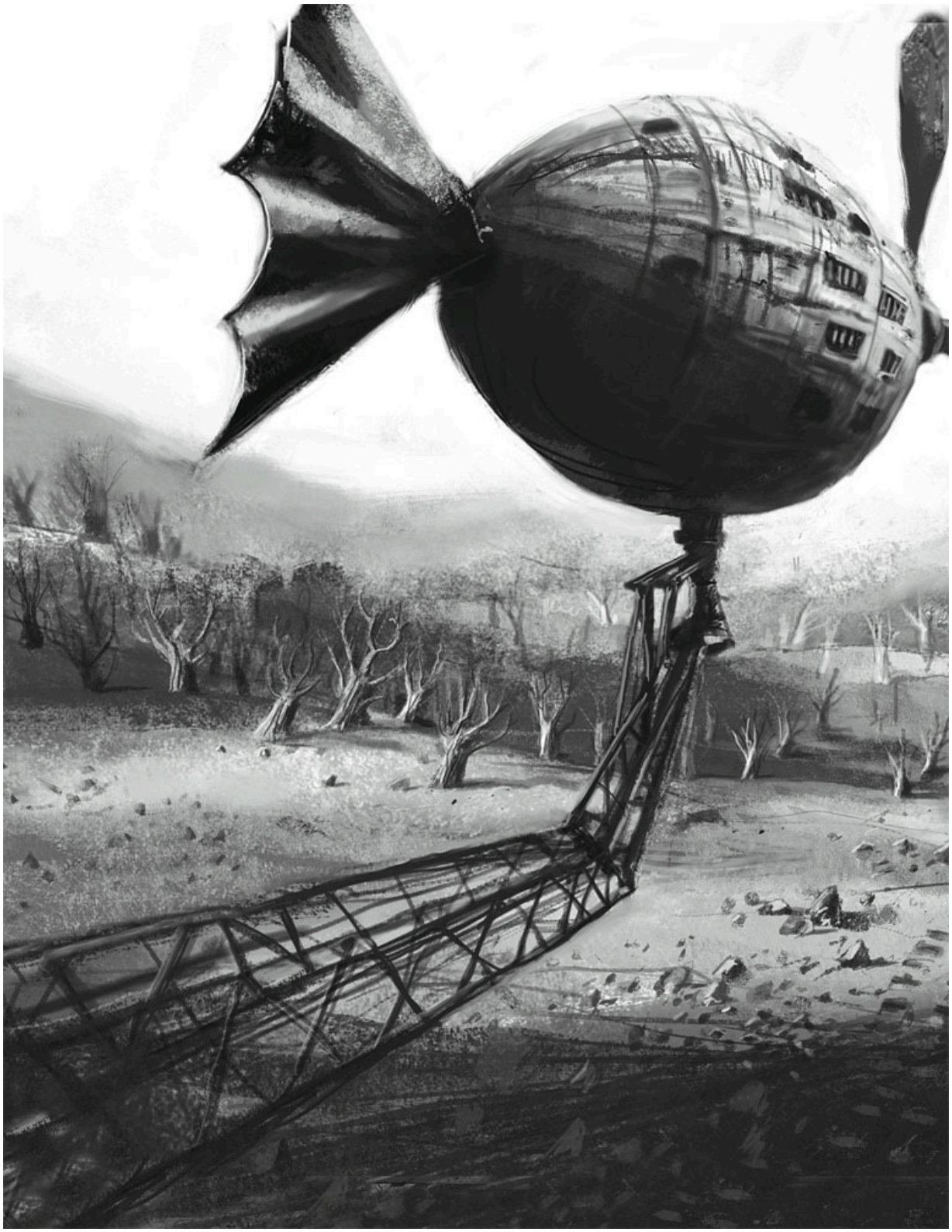

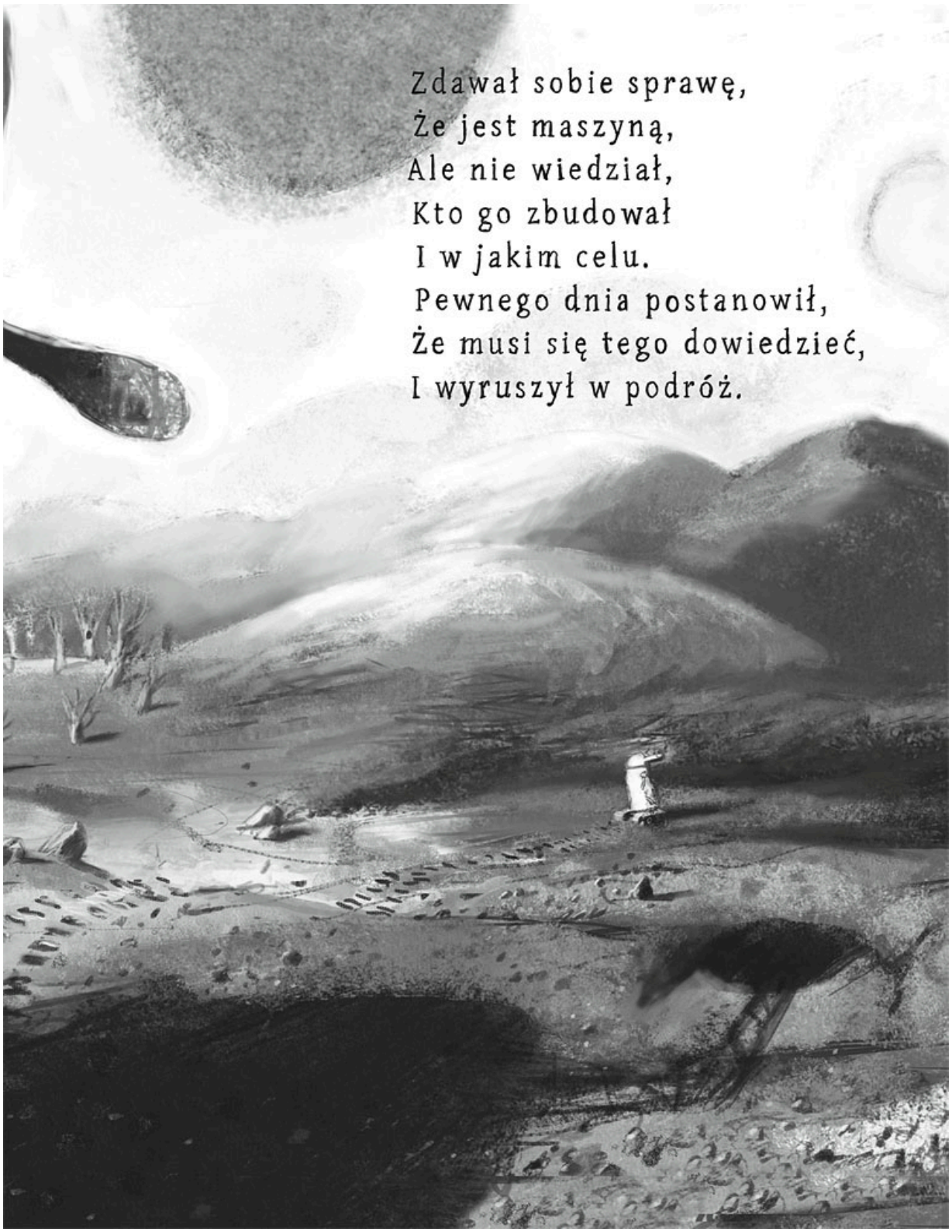
Zdawał sobie sprawę,
Że jest maszyną,
Ale nie wiedział,
Kto go zbudował
I w jakim celu.
Pewnego dnia postanowił,
Że musi się tego dowiedzieć,
I wyruszył w podróż.

Niedaleko wieży Tyfon odkrył
Szyny starożytnego torowiska.
Prowadziły w głąb pustyni.
Idąc wzdłuż nich,
Natrafił na wrak
Potężnej lokomotywy.
Na jej dziurawym kotle
Zobaczył taki sam symbol,
Jaki zdobił jego korpus.

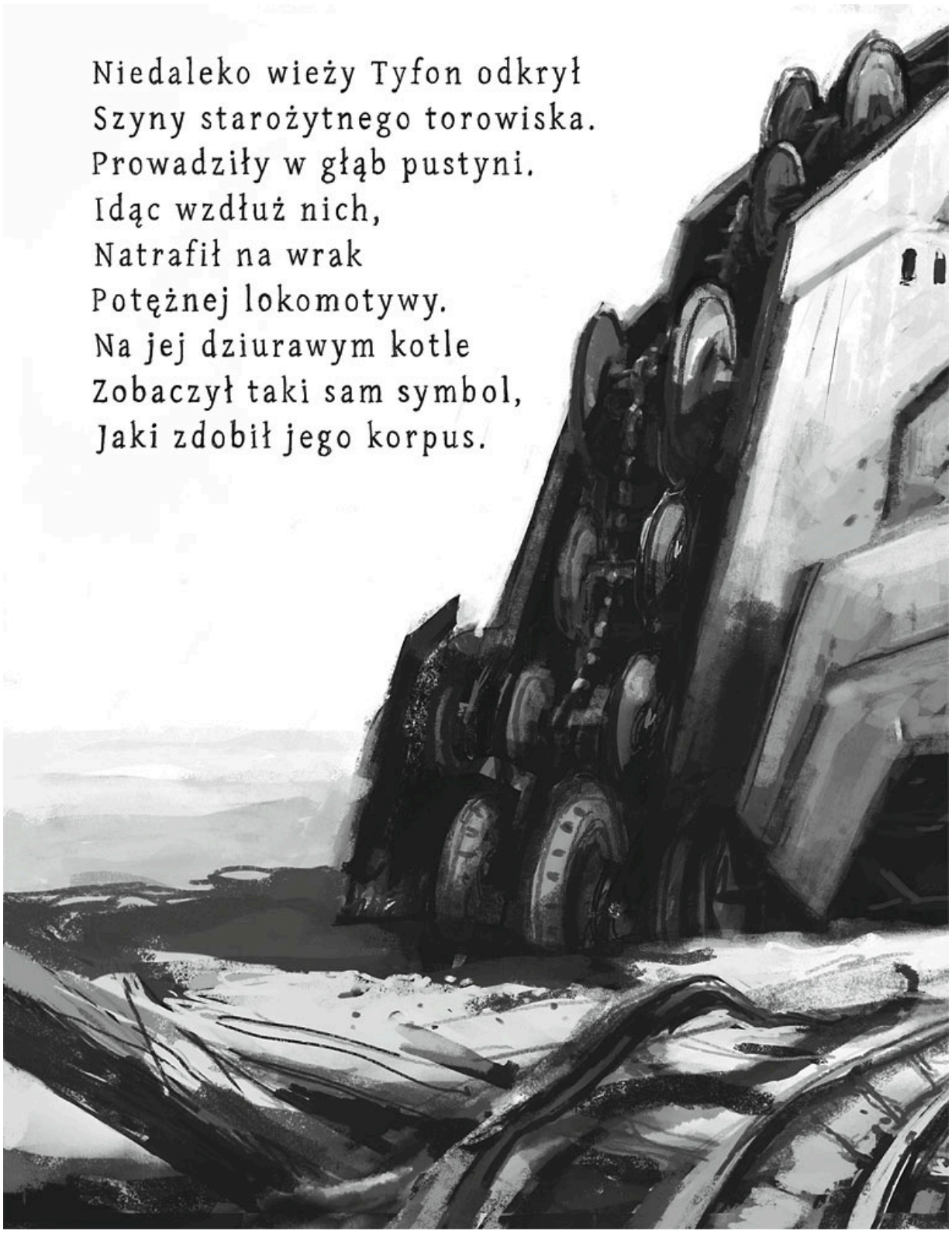

Gubił i odnajdywał drogę.
Szyny znikały w piasku.
O świcie stanął przy
Wielkiej cumie.
Na jej końcu
Ciemniało w chmurach
Coś kolosalnego.

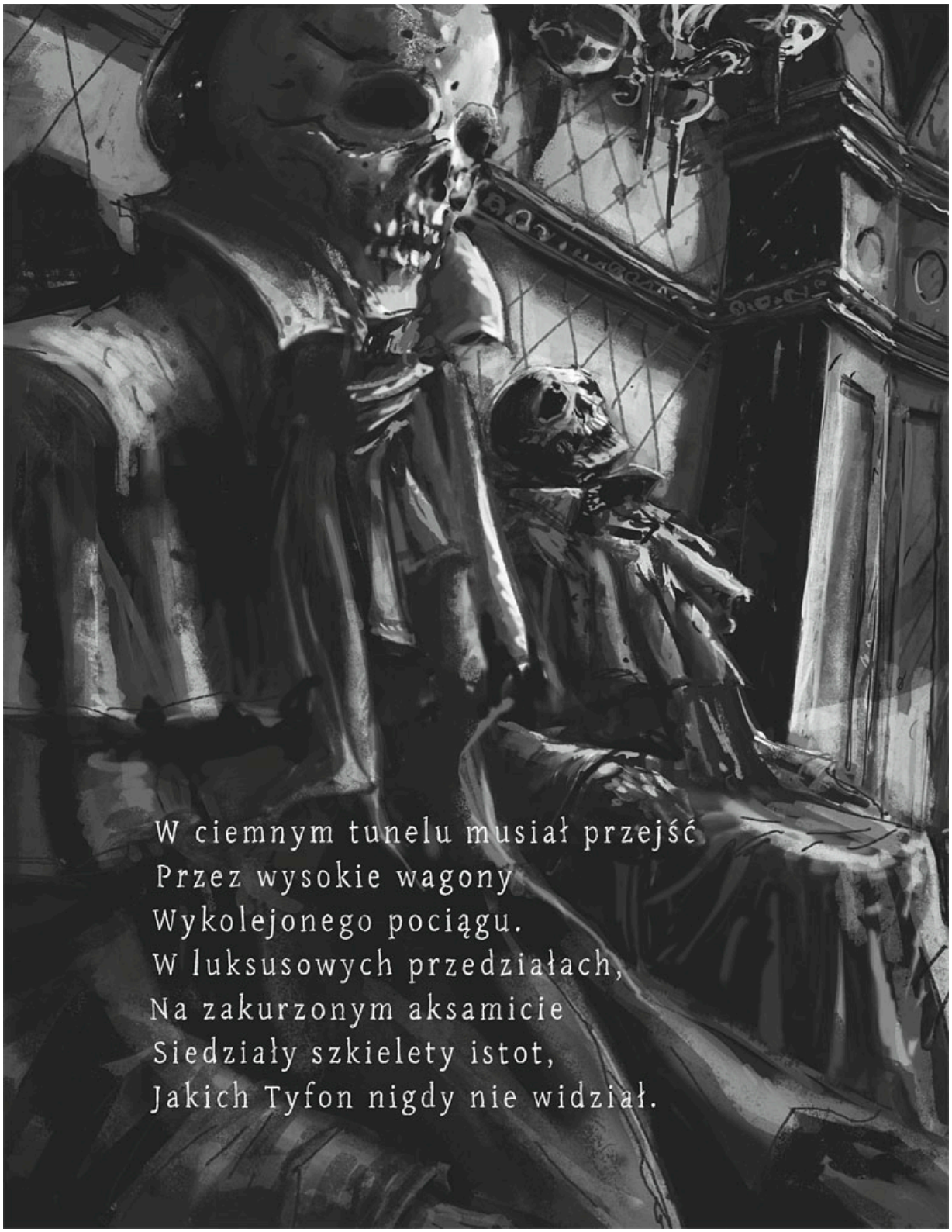
W ciemnym tunelu musiał przejść
Przez wysokie wagony
Wykolejonego pociągu.
W luksusowych przedziałach,
Na zakurzonym aksamicie
Siedziały szkielety istot,
Jakich Tyfon nigdy nie widział.

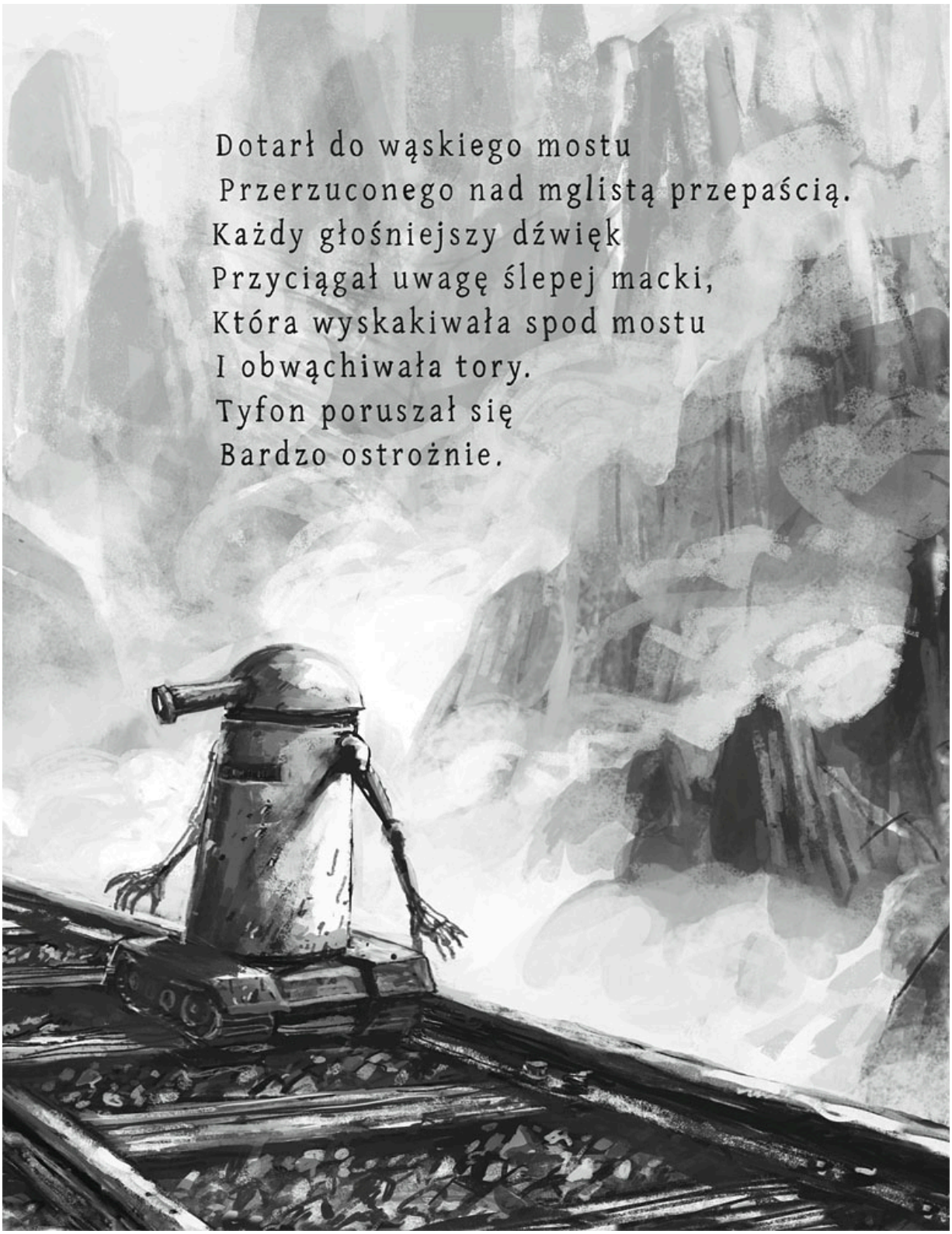
Dotarł do wąskiego mostu
Przerzuconego nad mglistą przepaścią.
Każdy głośniejszy dźwięk
Przyciągał uwagę ślepej macki,
Która wyskakiwała spod mostu
I obwąchiwała tory.
Tyfon poruszał się
Bardzo ostrożnie.

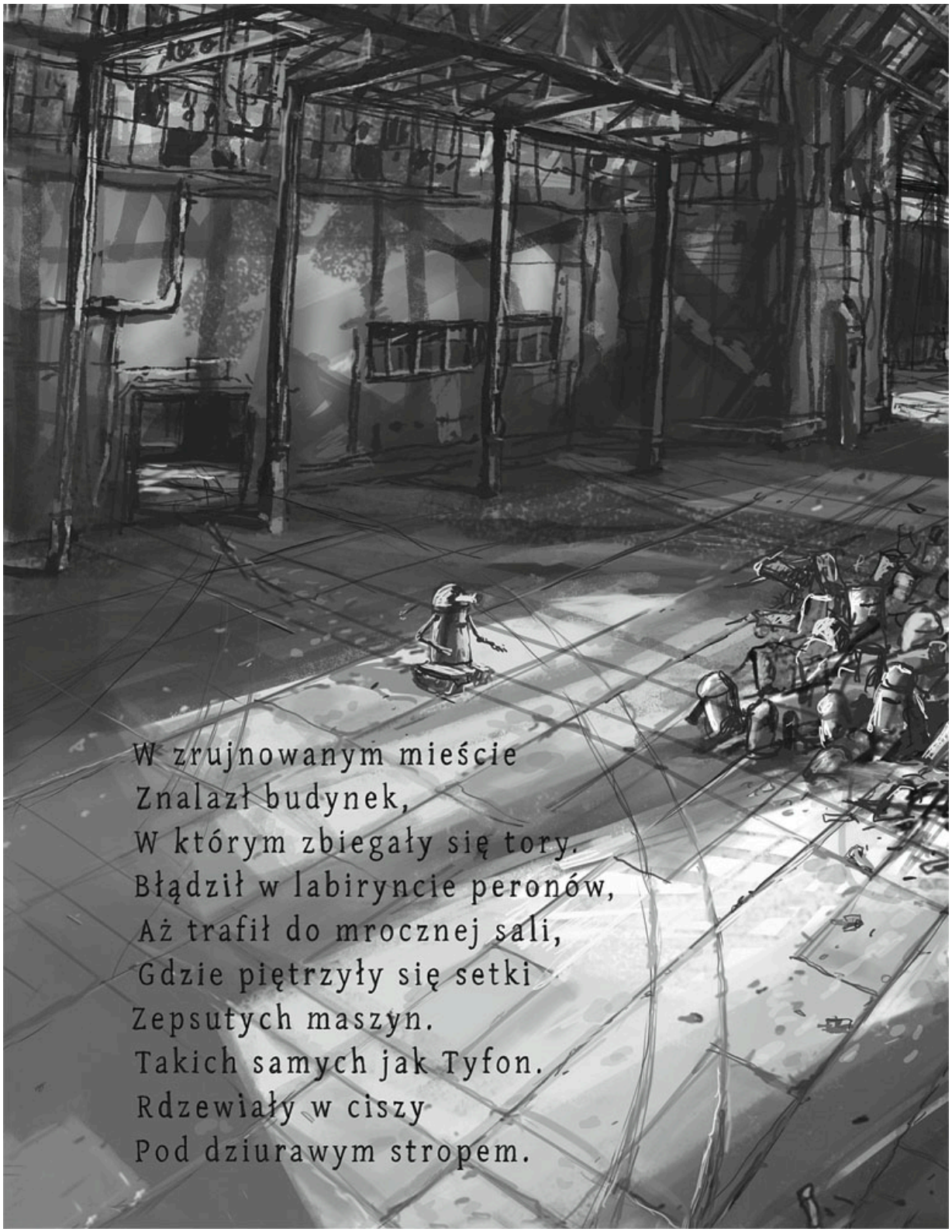
W zrujnowanym mieście
Znalazł budynek,
W którym zbiegały się tory.
Błądził w labiryncie peronów,
Aż trafił do mrocznej sali,
Gdzie piętrzyły się setki
Zepsutych maszyn.
Takich samych jak Tyfon.
Rdzewiały w ciszy
Pod dziurawym stropem.

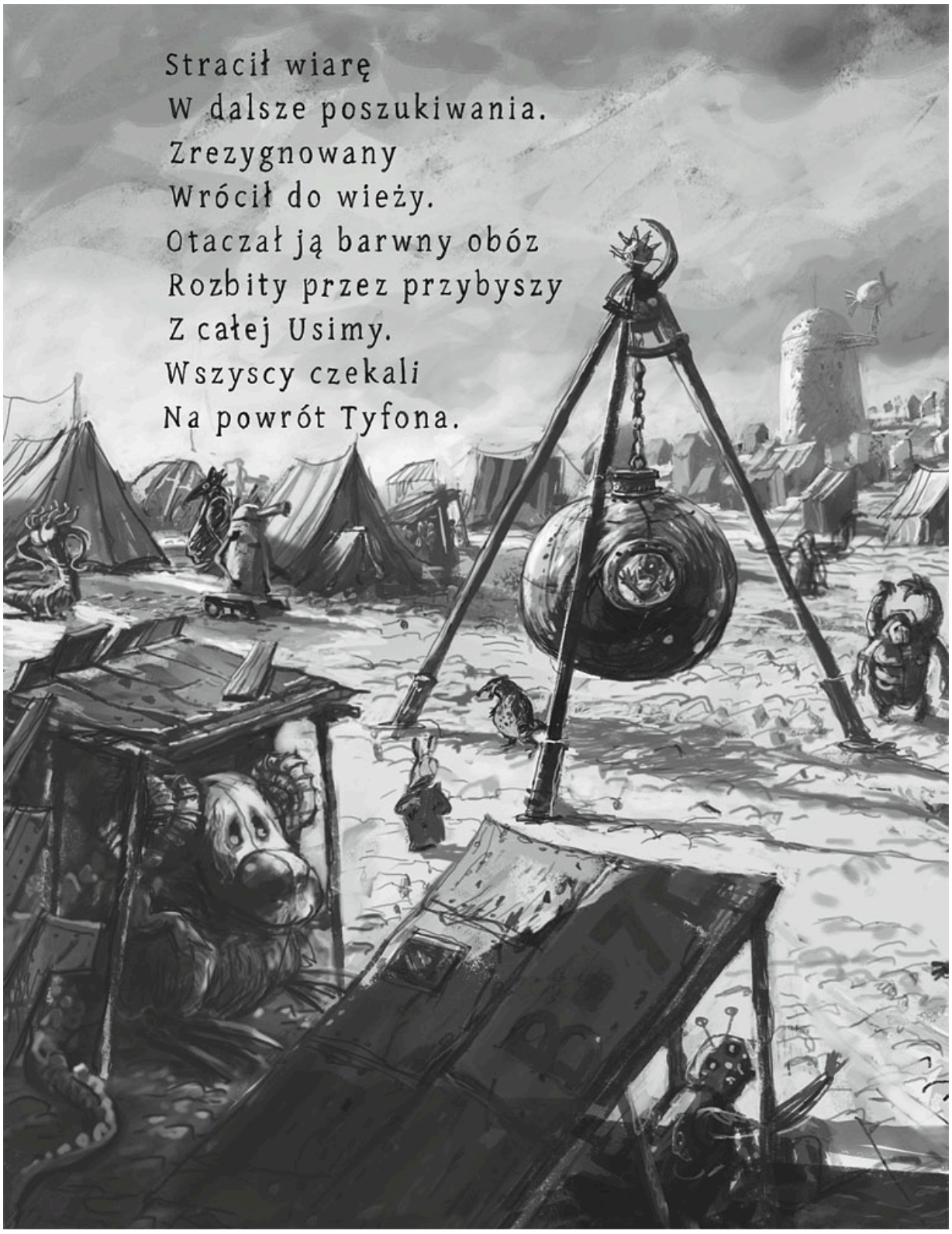
Stracił wiarę
W dalsze poszukiwania.
Zrezygnowany
Wrócił do wieży.
Otaczał ją barwny obóz
Rozbity przez przybyszy
Z całej Usimy.
Wszyscy czekali
Na powrót Tyfona.

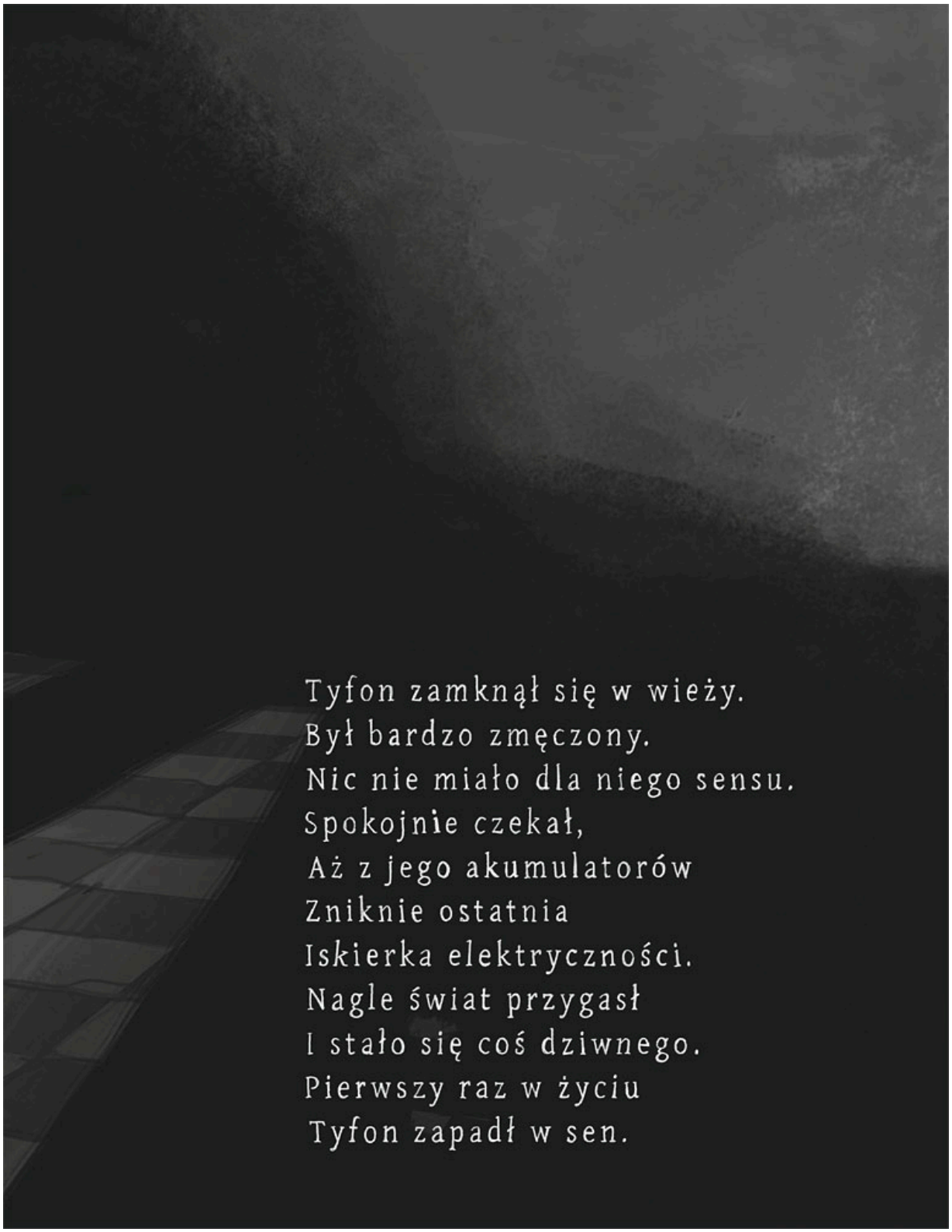

Tyfon zamknął się w wieży.
Był bardzo zmęczony.
Nic nie miało dla niego sensu.
Spokojnie czekał,
Aż z jego akumulatorów
Zniknie ostatnia
Iskierka elektryczności.
Nagle świat przygasł
I stało się coś dziwnego.
Pierwszy raz w życiu
Tyfon zapadł w sen.

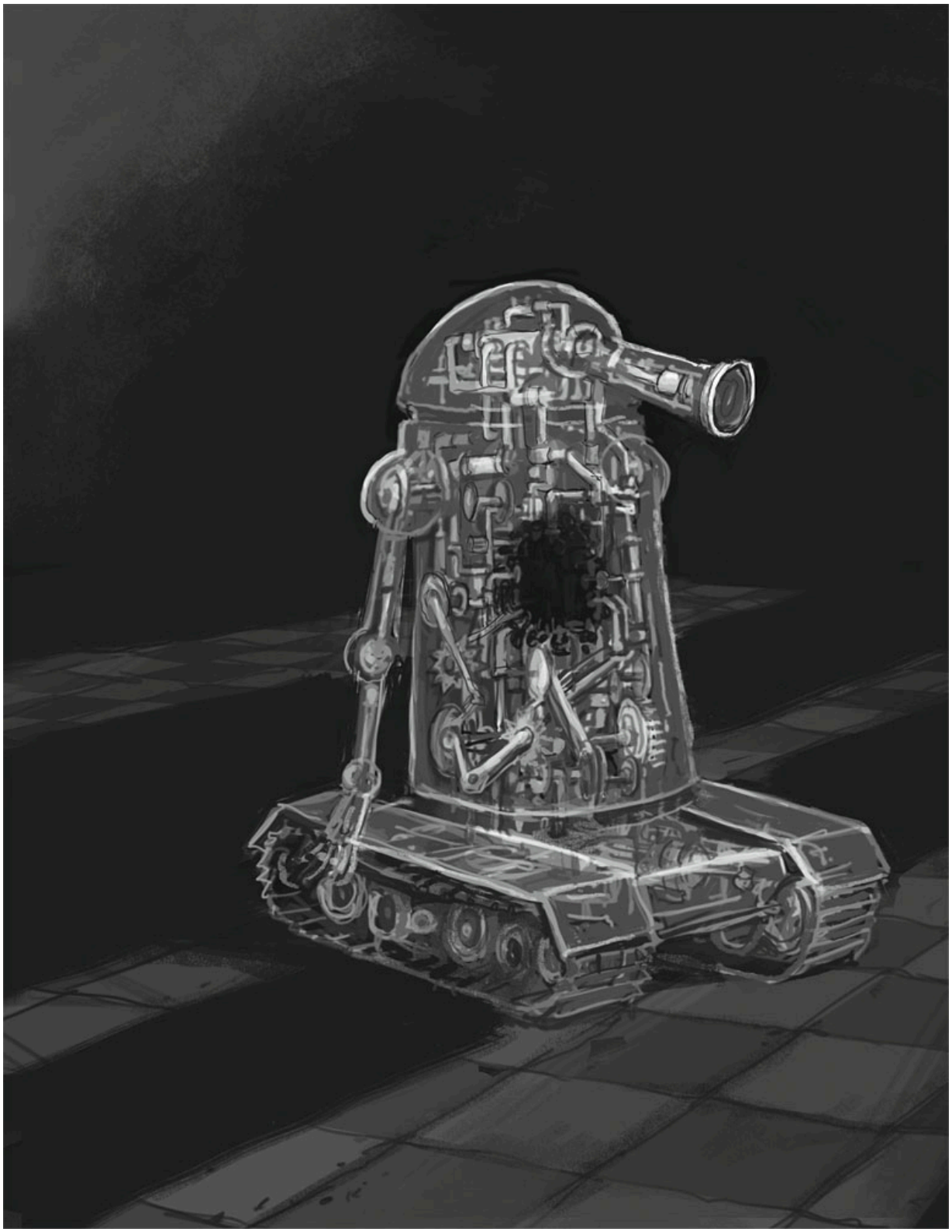

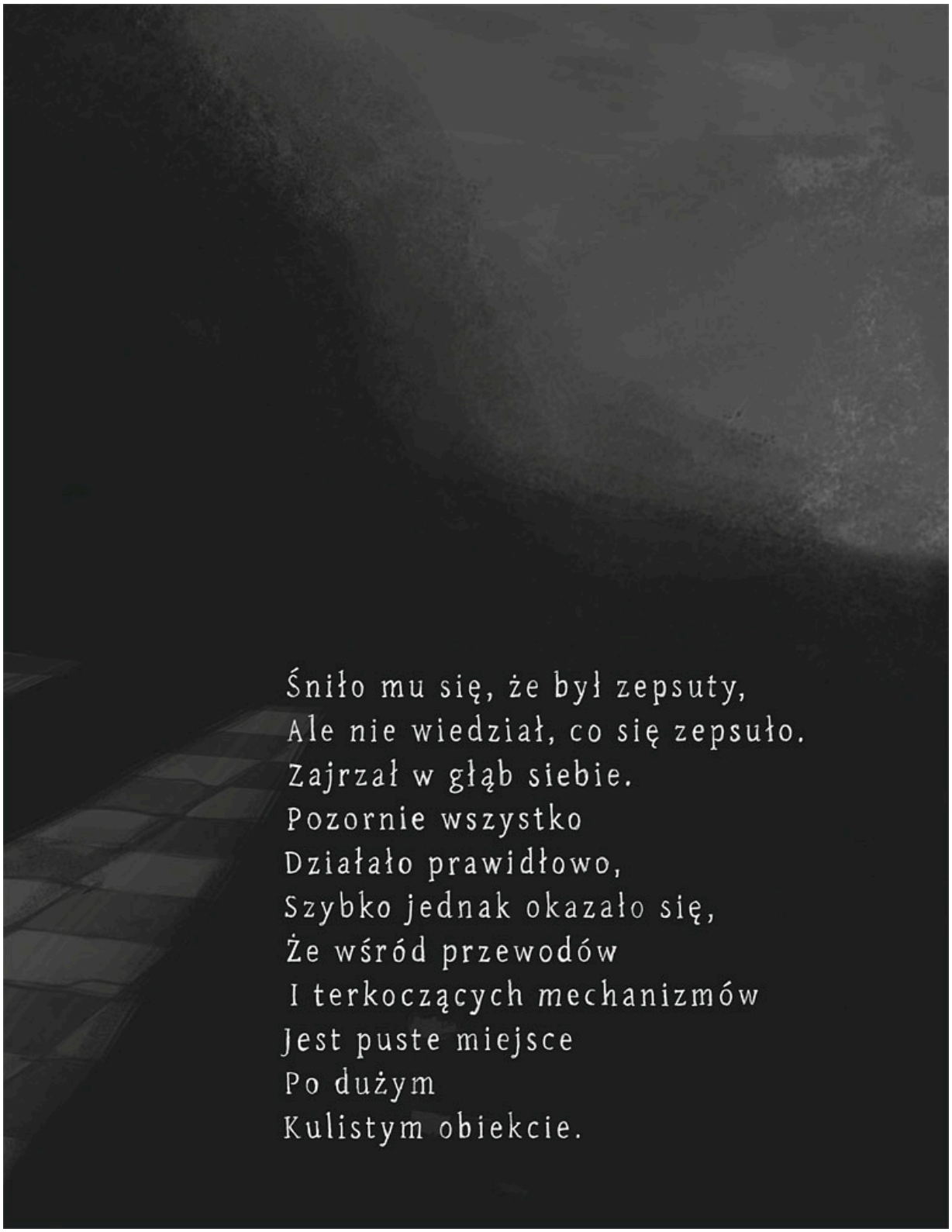
Śniło mu się, że był zepsuty,
Ale nie wiedział, co się zepsuło.
Zajrzał w głąb siebie.
Pozornie wszystko
Działało prawidłowo,
Szybko jednak okazało się,
Że wśród przewodów
I terkoczących mechanizmów
Jest puste miejsce
Po dużym
Kulistym obiekcie.

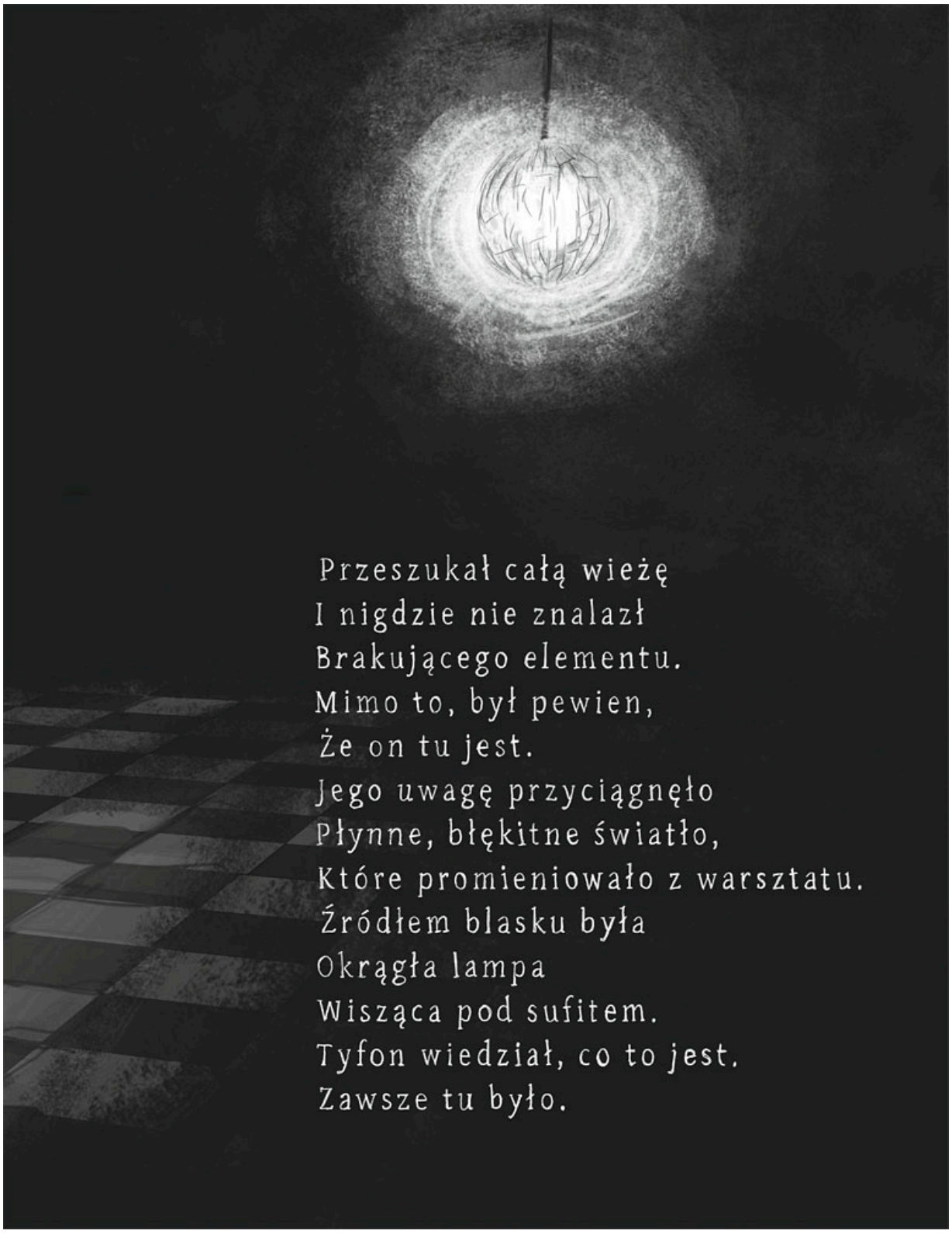

Przeszukał całą wieżę
I nigdzie nie znalazł
Brakującego elementu.
Mimo to, był pewien,
Że on tu jest.
Jego uwagę przyciągnęło
Płynne, błękitne światło,
Które promieniowało z warsztatu.
Źródłem blasku była
Okrągła lampa
Wisząca pod sufitem.
Tyfon wiedział, co to jest.
Zawsze tu było.

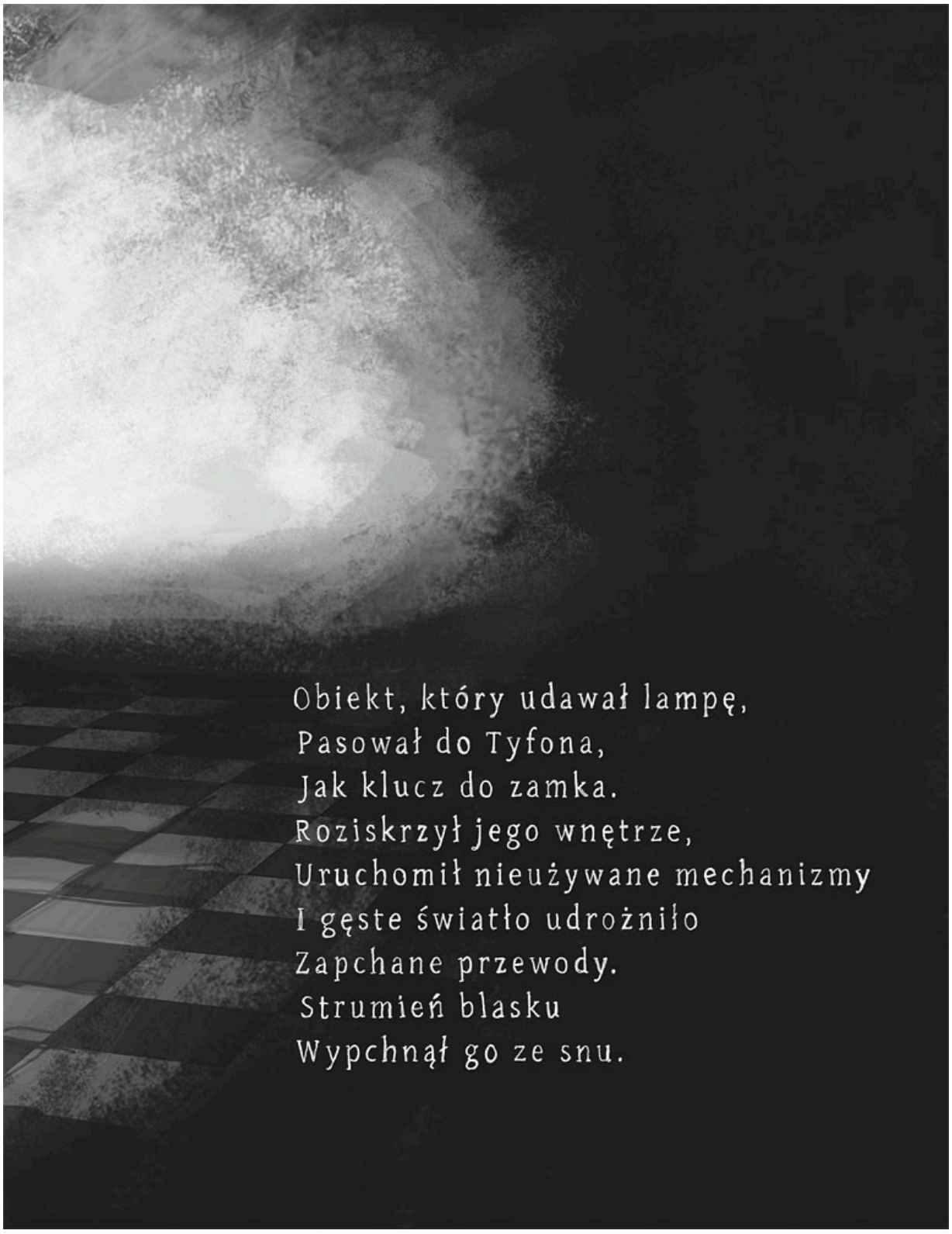
Obiekt, który udawał lampę,
Pasował do Tyfona,
Jak klucz do zamka.
Roziskrzył jego wnętrze,
Uruchomił nieużywane mechanizmy
I gęste światło udrożniło
Zapchane przewody.
Strumień blasku
Wypchnął go ze snu.

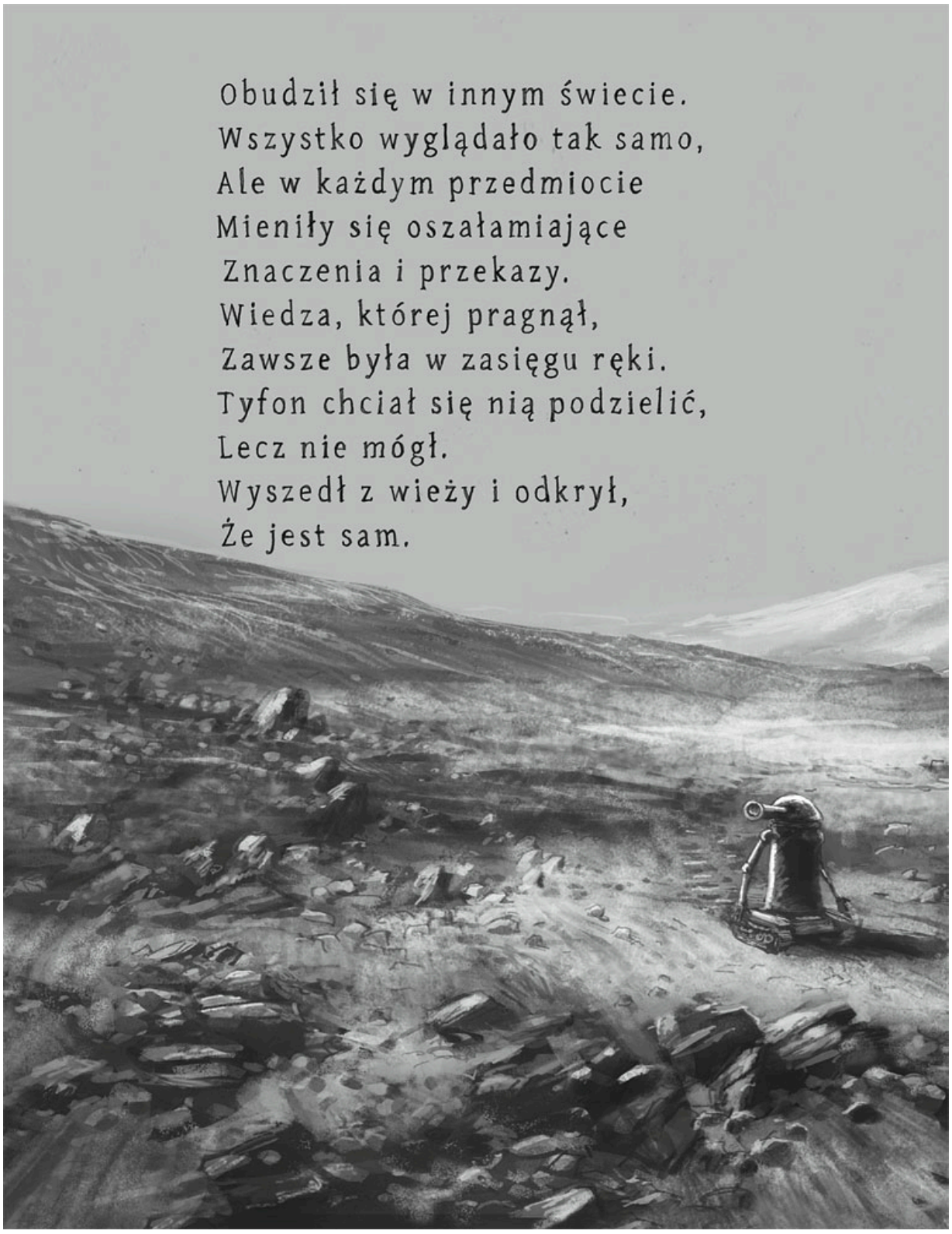
Obudził się w innym świecie.
Wszystko wyglądało tak samo,
Ale w każdym przedmiocie
Mieniły się oszałamiające
Znaczenia i przekazy.
Wiedza, której pragnął,
Zawsze była w zasięgu ręki.
Tyfon chciał się nią podzielić,
Lecz nie mógł.
Wyszedł z wieży i odkrył,
Że jest sam.

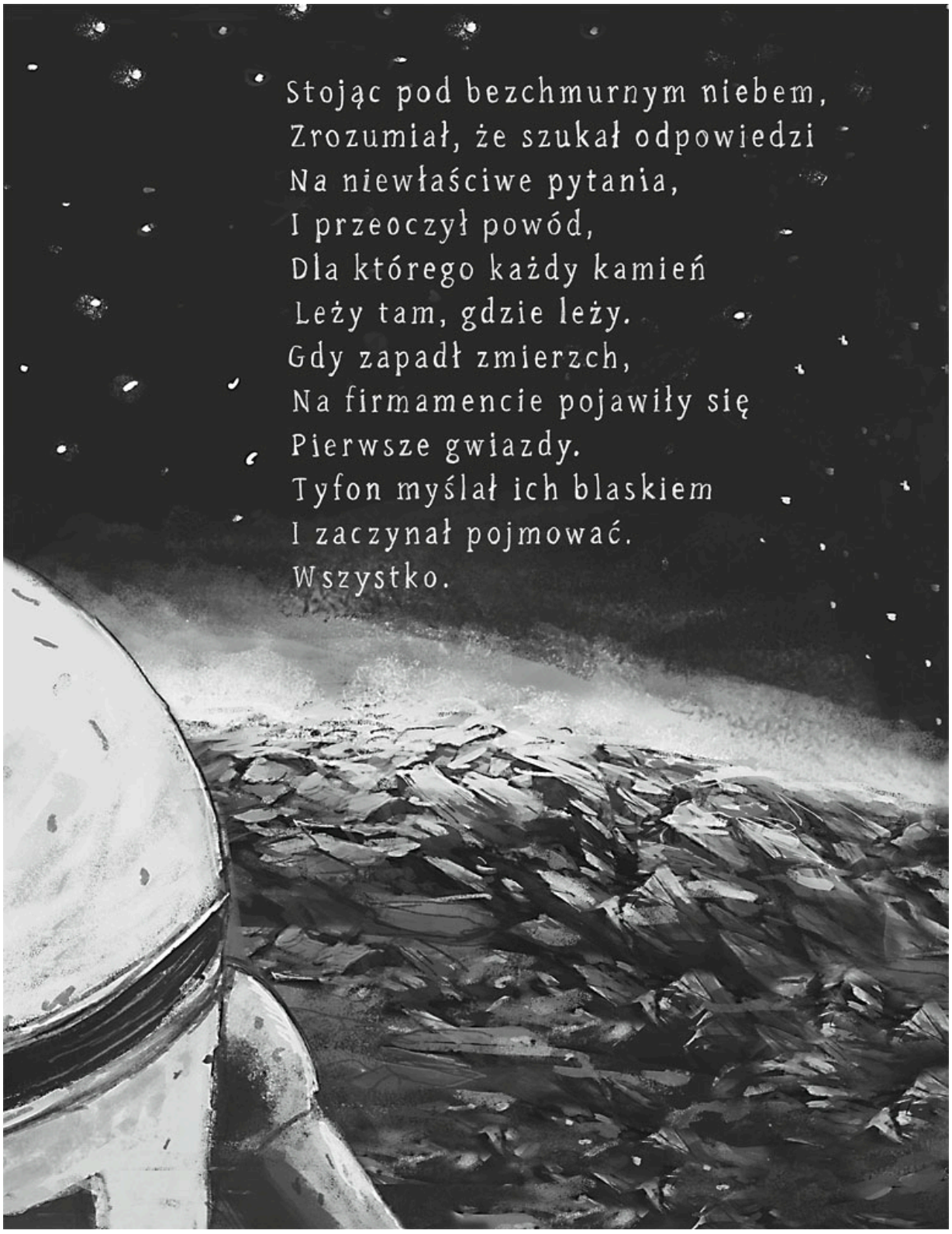
Stojąc pod bezchmurnym niebem,
Zrozumiał, że szukał odpowiedzi
Na niewłaściwe pytania,
I przeoczył powód,
Dla którego każdy kamień
Leży tam, gdzie leży.
Gdy zapadł zmierzch,
Na firmamencie pojawiły się
Pierwsze gwiazdy.
Tyfon myślał ich blaskiem
I zaczynał pojmować.
Wszystko.

Beddeos bez słowa oddał Ednie książkę. Był blady.

– Co ci się stało? Przecież to tylko bajka dla dzieci – zdziwiła się Edna.

– Nie sądzę.

– Teraz we wszystkim dopatrujesz się ukrytego znaczenia. To nie jest normalne.

– Przeciwnie. Dziwię się, że kiedyś mogłem bez tego żyć.

17

Beddeos wiercił się i nie mógł zasnąć. Jego myśli krążyły wokół bajki o Tyfonie. Nie dawała mu spokoju. A kiedy wreszcie pogrążył się w płytkiej, niespokojnej drzemce, w jego głowie zagrzmiał głos czarnego olbrzyma.

„Cokolwiek chcesz zrobić, musisz się pośpieszyć”.

– Dlaczego? – szepnął zdezorientowany.

„Myślisz, że możesz bezkarnie spiskować pod nosem mazzmy? Ona czuje, że różnisz się od innych. Obserwuje cię i jest przygotowana na twój ruch. Do każdego pomieszczenia w Gnieździe są doprowadzone zakamuflowane kanały. Dzięki nim Jądro może w krótkim czasie zalać wszystko mazzmą, a wtedy nikt was stamtąd nie wyciągnie. Nawet ja”.

– Skąd wiesz?

„Przyglądam się Gniazdu od kilkunastu dni. Odkąd wróciłeś, cały czas rośnie temperatura czarnego śluzu w przepustach przylegających do pomieszczeń zamieszkanych przez ludzi. Gdy zacznie wrzeć, roztopi zaślepki i zatopi Gniazdo. Jeśli dalej będzie rosnąć w tym samym tempie, nastąpi to jutro, około południa”.

– Co mam robić?

„Musisz działać. Wymknij się z dormitorium, zbierz tylu ludzi ilu zdołasz i wyprowadź ich poza obręb Gniazda. Wystarczy taras. Wtedy was zabiorę”.

– Nie dam rady. Pilnują mnie.

„Zajmę się nimi. Przez pewien czas gomole nie będą sprawiać kłopotów. Ale nie ociągaj się, bo nie wiem jak długo utrzymam je na uwięzi. Ruszaj!”.

Nagle gomole zaczęły bezładnie chodzić po dormitorium, obijając się o ściany i siebie. Beddeos natychmiast pobiegł w dół. Edna jeszcze nie spała. Wpadł na nią, gdy razem z Tirsą wyglądały na korytarz i przerażone patrzyły na gomola, który walił głową w mur.

– Co ty tu robisz? Co się dzieje?

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Obudź Alwę. Idziemy. A ty, Tirsa, idziesz z nami?

Oczy wysokiej i szczupłej szatynki rozszerzyły się ze zdumienia.

– Ale dokąd? To szaleństwo!

– Jak chcesz...

– Nie, czekaj, mam dość tej cholernej Mary. Jeśli jej nie zabieracie, to chętnie zaryzykuję, żeby tylko oddalić się od tej suki.

Beddeos uśmiechnął się złośliwie. W drzwiach pojawiła się Edna. Niosła śpiącą Alwę.

– Weź ją. Zawsze miała mocny sen, szybciej będzie, jeśli ją zaniesiemy.

– Dobrze. Tirsa idzie z nami.

Chwilę później dołączyli do nich Zekne, Selena z bliźniakami Marko i Kern, a potem Yatma z córką Tanią. Szybkim krokiem przeszli przez znajomy labirynt korytarzy i dotarli do szerokiego tarasu na jednym z najniższych poziomów Gniazda, gdzie czekała na nich Inga, która ściskała dłoń Derfa, i mrukliwy, przystojny Takmos.

– Nie zatrzymacie nas! – krzyknął Beddeos. – Możecie powiedzieć swojej Radzie, że...

– Beddeosie, czy możemy iść z wami? – zapytała Inga, wchodząc mu w słowo.

– Wy? Przecież stoicie po stronie Mary. Zwłaszcza ty, Takmosie.

– Już nie. Mamy dość. Żyjemy tu jak niewolnicy – odpowiedziała Inga za całą trójkę.

– Nie powinienem was zabierać. Zawsze podążacie z wiatrem. Ale nie mogę was też zostawić. No dobrze...

Nagle na taras wkroczyła Mara. Prowadziła ze sobą grupę kilkunastu gomoli uzbrojonych w noże i pałki.

– Co tu się dzieje?! – zapytała.

– Odchodzimy – odparł Beddeos.

– Po moim trupie!

– Nie kuś.

– Nie będę tolerowała takiego zachowania. Natychmiast wracajcie do swoich pokojów, albo gomole wam pomogą.

– Oszalałaś. Jeśli tu zostaniemy, Jądro pożre nas wszystkich.

– To jedyny sposób, żeby ludzkość mogła przetrwać. Musimy się zasymilować.

– Są też inne sposoby. Mamy prawo wybrać własną drogę.

– Ja o tym decyduję.

– Już nie.

– Brać ich!

Gomole ruszyły tyralierą. Uciekinierzy cofnęli się w stronę balustrady. Beddeos spojrzał wściekle na Marę i warknął:

– Obyś zgniła w tym swoim czarnym gównie. My znikamy. Teraz!

Gomole stanęły w miejscu, a potem zaczęły uciekać do Gniazda. Mara rozdziawiła usta i zbladła. Beddeos wiedział, co zobaczyła. Odwrócił się. W powietrzu unosił się czarny olbrzym. Jego oczy pałały złotym blaskiem. Mignęło i po uciekinierach zostały tylko złote iskierki, które powoli gasły na kamiennej balustradzie.

Trzynastu ludzi zmaterializowało się wśród kolosalnych drzew zanurzonych w rzadkiej mgle. Przestraszeni, zbili się w ciasną grupę. Świtało. Z płynnej szarości bezszelestnie wyłonił się czarny olbrzym w towarzystwie Horty. Beddeos uspokoił swoją grupę i wyszedł im naprzeciw.

– Dziękuję – powiedział z uśmiechem.

„Rzeźba nie jest dziełem dłuta”.

– O co mu chodzi?

– Nie zwracaj uwagi – skwitował lekceważąco Horta. – Zawołaj resztę, pokażę wam, gdzie będziecie mieszkać.

– Co to za miejsce?

– Lasy Tarhanu.

– Ojczyzna trutli?

– Zgadza się, ale nie ma ich tu zbyt wielu.

Beddeos wrócił do milczącej grupki ludzi, zerknął na spokojną twarz Alwy, która przespała ucieczkę w jego ramionach, i powiedział:

– Chodźcie, możemy im zaufać.

– Dokąd idziemy? – zapytał Takmos.

– Do miejsca, w którym będziemy mogli odpocząć.

– To daleko? – jęknęła Selena. – Dzieci zasypiają na stojąco.

– Myślę, że nie. Takmos, Derf, weźcie Marko i Kerna na ręce.

Podszedł Horta. Pykał długą fajkę.

– Gotowi?

– Ruszajmy! – odparł Beddeos. – Gdzie baktak?

– Chadza własnymi ścieżkami.

Brodzili w wysokiej trawie. Buty przemokły im od rosy i drżeli z zimna. Poranne słońce błysnęło między drzewami. Szybko rozproszyło mgłę. Ludzie oniemieli z wrażenia. Otaczały ich ogromne pnie niebosiężnych drzew. Wysoko w górze kołysały się rozłożyste gałęzie, na których powiewały kiście długich lancetowatych liści. Lekki wiatr przynosił dziwne zapachy. Gorzkie, wilgotne. Beddeos zdał sobie sprawę, że mieszkańcy Gniazda nigdy nie widzieli prawdziwego lasu, a botaniczne instalacje perusów były tylko żałosną namiastką tego szumiącego, zielonego ogromu. Minęli powalone pnie otulone grubymi dywanikami mchu, przeskoczyli przez wąski strumień i znaleźli się w zaniedbanym ogrodzie, w którym chwasty już dawno zdławiły zioła i warzywa. Zarośnięte ścieżki zbiegały się przed potężnym bukiem. Jego pień był pokryty na całej wysokości dużymi kulistymi naroślami brązowej grzybni. Wydawało się, że każdą z nich zdobi regularny deseń z czarnych plamek, ale wstające słońce przejrzało się w ich szklanym lśnieniu i Beddeos zrozumiał, że to okna. Dotarli na miejsce.

– Co to jest? – zapytał. – Wygląda na dzieło perusów.

– O tak! Jeden wciąż tu jest. Na szczycie. W swoim obserwatorium. To miała być ich stacja badawcza, w której chcieli analizować zwyczaje i zachowania ludzi. Wybudowali ją wiele lat temu, ale nigdy nie udało im się sprowadzić obiektów do badań, więc zrezygnowali z projektu. Nazwali to Yok Talop – Drzewo Ludzi. Adekwatna nazwa, prawda?

– Ale nie będą nas podpatrywać?

– Nikt nie wie, że tu jesteście. A mistrza Arama nie musicie się obawiać. To samotnik, który nie przepada za swoimi pobratymcami.

– Dlaczego?

– Naraził się i wygnano go z Linvenogre. Dożywotnio. Rozgośćcie się. Perusi stworzyli to miejsce specjalnie dla was. W środku jest przytulnie i dla wszystkich znajdzie się miejsce. Są koce i sienniki. Wodę można przynieść ze strumienia. Zgromadziliśmy trochę owoców, więc możecie się pożywić. Odpocznijcie. Prześpijcie się. Zostawiam was. Wrócę po południu i pójdziemy do mojego obozu. Musicie zjeść coś ciepłego.

Horta pożegnał się i zniknął w zaroślach. Ludzie spojrzeli na Beddeosa. Traktowali go teraz jak przywódcę i czekali na jego przyzwolenie. Nie czuł się z tym dobrze. Alwa otworzyła oczy, ziewnęła. Rozejrzała się zdumiona i zatrzymała wzrok na Beddeosie.

– Tatusiu, gdzie jesteśmy?

– W nowym domu – wychrypiał przez ściśnięte gardło.

Grzybiaste komory były przestronne i wygodne. W kuchni znaleźli solidne metalowe i ceramiczne naczynia, a we wnękach zakurzone ubrania. Większość nie nadawała się do użytku, zniszczona przez insekty i gryzonie, ale były i takie, które nie miały żadnych uszkodzeń. Ludzie natychmiast skorzystali z okazji, zrzucili jednolite czarne szaty Kolektywu Raziri i przebrali się w szarobrązowe stroje znalezione w Yok Talop. Od razu było widać, że czują się wolni.

Edna wybrała jedną z komór i zapytała Beddeosa, czy mu się podoba. W odpowiedzi wzruszył ramionami. Było mu wszystko jedno. Czuł się bardzo zmęczony. Padł na siennik i natychmiast zasnął.

Obudziły go grzmoty. Zacinał deszcz. Woda ściekała po pniu i chlupotała w załomkach kory. Obok niego leżały Alwa i Edna. Wszyscy pod jednym kocem. Kobieta miała otwarte oczy.

– Jak długo spałem?

– Jest już późne popołudnie, a mały człowieczek nie przyszedł. Ale nas wpakowałeś!

– Nie zostawi nas.

– Już to zrobił.

– Jeśli chcesz, to go poszukam...

W owalnym wejściu do komory pojawiła się głowa Ingi.

– Beddeosie, nie chcę przeszkadzać, ale ludzie się niepokoją. Możesz z nimi porozmawiać?

– Już idę.

Przeciągnął się i ziewnął.

– Od kiedy ona tam czeka?

– Od południa.

– Rozumiem.

Wstał i poszedł z Ingą do dużego pomieszczenia, w którym przecinały się liczne korytarze. Na drewnianych ławach siedzieli Takmos, Zekne, Derf, Yatmo i Tirsa. Z ponurymi minami pili wodę z metalowych kubków. Beddeos przysiadł się do nich. Potarł twarz.

– Coś się stało? – zapytał.

– Mały nie przyszedł. To się stało – burknął Zekne.

– Przyjdzie. Jeszcze coś?

– Co mamy robić? – jęknęła płaczliwie Tirsa.

Beddeos od razu pojął swój błąd. Przecież oni całe życie spędzili w kieracie Gniazda. Tam mieli ciasno wypełniony plan dnia, i natłok obowiązków nie pozwalał im się nudzić. Hodowali grzybnię spożywczą, gotowali, sprzątali, modlili się, obserwowali Kavor, wypełniali rozkazy Jądra i Rady. Pozbawieni tego wszystkiego, poczuli się nadzy i odarci z sensu. Przestraszyli się wolności. Muszą teraz się odnaleźć w nowej rzeczywistości, ale trzeba im pomóc. Nie można ich tak zostawić. Potrzebują rozkazów i cudów. W dowolnej kolejności.

– Zastanówcie się, co chcecie robić, w czym jesteście dobrzy. Przede wszystkim musimy zadbać o pożywienie. Potrzebujemy chętnych do gotowania, a także kogoś, kto zaopiekuje się ogrodem lub zapoluje w lesie.

W ich oczach błysnęło zainteresowanie.

– Pomagałam w kuchni. Mogę się zająć garnkami – stwierdziła Tirsa.

– Ogród to coś dla mnie, ale brak mi doświadczenia i nie bardzo wiem, od czego zacząć – dodał Zekne.

– Mali Ludzie nam pomogą. Wszystkiego się nauczycie, jeśli będziecie chcieli. A ty, Takmosie? Czym się zajmiesz?

– Jeszcze nie wiem. Kiedy spałeś, rozejrzałem się trochę i odkryłem łaźnie i toalety. Są trochę zapuszczone, ale myślę, że dadzą się uruchomić.

Chyba skupię się na tym.

– Znakomicie, ale nie musicie się od razu deklarować. Część z was na pewno będzie potrzebowała czasu do namysłu. Nie śpieszcie się. Powiedzcie o tym innym. Teraz odpowiedzialność za to miejsce spoczywa na waszych barkach. Liczę na was. No dobrze. Pilsh Durq? Gdzie jest Hotra?

Pleśniowe litery wykwitły na mechatej ścianie. Ludzie zamarli z otwartymi ustami.

Chciał przeczekać deszcz,
Ale wciąż leje,
Więc zdecydował,
Że sami przyniosą wam jedzenie.

– Daleko są?

Lada moment
Będą na miejscu.

– Zawołajcie resztę i posprzątajcie tu. Macie ich dobrze przyjąć. Niewielu mamy przyjaciół. Pamiętajcie o tym.

Wszyscy z ochotą rzucili się do pracy.

Beddeos niepotrzebnie bał się tego spotkania. Mali Ludzie bez trudu przełamali barierę nieufności. Przynieśli metalowe misy wypełnione pysznymi sałatkami z kiełków, gotowaną fasolą i potrawką z długoucha. A do tego tykwy zawierające sfermentowany sok z czarnego bzu. Już podczas jedzenia rozgorzały gorące dyskusje. Beddeos z przyjemnością patrzył, jak ludzie i poddani króla Orfy przerzucają się pomysłami, wspólnie planują ożywienie ogrodu, remonty, wyprawy do lasu. Później maleńki Tafro usiadł na stole i zaczął grać na fujarce skoczną melodię. Dzieci skakały i klaskały do rytmu. Beddeos poczuł, że ktoś na niego patrzy. Odwrócił się. W korytarzu stał Horta. Nie musiał nic mówić. Beddeos wstał od stołu i wyszli na dwór.

Przestało padać, ale z liści wciąż spadały pojedyncze krople migoczące w parnym powietrzu. Horta spojrzał badawczo na człowieka.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Nie wiem. Cieszę się, że tu jesteśmy; że mamy szansę zacząć nowe życie. Ale to nie koniec, prawda?

– Dlaczego tak myślisz? Przecież możecie się tu czuć jak u siebie w domu. Czego jeszcze chcesz?

– Nie potrafię tego... Czegoś brakuje... Wiesz, Edna pokazała mi taką dziwną bajkę dla dzieci. Zapomniałem o niej, chociaż przed banicją często czytałem ją Alwie. Stworzył ją jakiś Tasso. Nosi tytuł „Dlaczego kamień leży tam, gdzie leży?”. Jej bohaterem jest mechaniczny Tyfon, taki sam, jaki towarzyszył mi w wieży. Zresztą, wieża też jest taka sama. Ta książka nie daje mi spokoju. Mam wrażenie, że jest w niej ukryta jakaś ważna wskazówka, coś, co dotyczy bezpośrednio mnie, ale nie wiem jak ją odczytać.

– Masz ją tutaj?

– Niestety. Została w Gnieździe.

– Szkoda. To pewnie ostatni egzemplarz. Nie poznałem Tassa osobiście, ale znam wiele jego opowieści. Zostawił po sobie kilkanaście różnych książek, które miały naprowadzać ludzi na Ścieżkę Przeskoku, ale większość została zniszczona na rozkaz Jądra.

– A jednak! Co Tasso chciał przekazać? Z tego, co pamiętam, nie było tam żadnej wzmianki o Ścieżce Przeskoku.

– Masz jakieś pomysły?

– Dlaczego zawsze odpowiadasz pytaniami?

– Jeśli ty czegoś nie wiesz, ja też nie wiem.

– Jak to?

– Pomyśl. Tak to działa. Kto może wiedzieć?

– Ty.

– Nie.

– Ale ja nie wiem. Przecież dlatego pytam.

– Na pewno wiesz. Spróbujmy razem. Czy w tej bajce było coś, co szczególnie utkwiło ci w pamięci?

– Podróż, brakujący element, tak, kulisty obiekt promieniujący płynnym błękitnym światłem. Kiedy o tym mówię, odnoszę wrażenie, że gdzieś widziałem już coś takiego. Ale to przecież niemożliwe.

– Nie traktuj tego tak dosłownie. Wystarczy jeden wspólny szczegół. Jakikolwiek. To będzie punkt zaczepienia.

– Kuliste niebieskie światło... Jak Kavor w przestrzeni Konstruktu. Bez sensu.

– Dlaczego?

– Co miałbym z nim zrobić?

– Być może umieszczenie go we wnętrzu ciała jest metaforą głębszego poznania.

– I co? Mam może wejść do środka?

Beddeos się roześmiał, ale Horta wciąż był poważny.

– Ty to powiedziałeś.

– Dłuższe przebywanie na orbicie Kavora to pewna śmierć.

– Raczej gwałtowna, radykalna przemiana. Niewłaściwa droga do Ścieżki Przeskoku. Nie jesteś w stanie utrzymać mentalnej spójności, osobowość rozpada się bezpowrotnie i nie ma żadnej kontroli nad procesem transformacji.

– Niech zgadnę: istnieje inna droga, tak?

– Jak zawsze, Beddeosie.

– Kavor jest gładki. Nie ma tam żadnej szczeliny ani otworu.

– Ależ jest.

– Gdzie?

– Kryje się tuż za miejscem, z którego tryska woda.

– Niemożliwe! Obserwatorzy przyglądają się Kavorowi od wielu pokoleń. Też to robiłem. Ktoś musiałby coś zauważyć. Wyraźnie widać, że nic tam nie ma.

– Wszyscy patrzyli, nikt nie zobaczył. A próbowałeś pomacać?

– Włożyć rękę w ryczącą strugę rozpędzonej wody? To byłoby szaleństwo!

– Będzie ci łatwiej, jeśli potraktujesz to jak próbę?

– Nie wiem – odpowiedział Beddeos.

Idąc w górę strumienia, dotarli do polany, na której był rozbity obóz Małych Ludzi. Niepokojąco przypominał ten z książeczki o Tyfonie. Człowiek westchnął i zapytał:

– Dlaczego muszę to robić? Czym różnię się od innych?

– Zazwyczaj ludzie pragną bezpieczeństwa i spokoju. To im wystarcza. Ty masz w sobie niepokój. On cię napędza i sprawia, że wciąż czegoś szukasz. Nie wiesz czego, ale nie ustajesz w wysiłkach. Nigdy nie ustaniesz. Na takich jak ty mówimy, że słyszą trzepot Kamiennej Ćmy.

– Czego?

– Przecież wiesz.

– To legenda. Kolejna bajka. Nie wiadomo, czy coś takiego w ogóle istnieje.

– A jak czujesz?

Beddeos pomyślał o mieście Potrak wybudowanym wokół najpotężniejszej Głębiny. Ilekroć próbował ją sobie wyobrazić, widział tylko czarną wyrwę w materii rzeczywistości, po której wzrok się ześlizgiwał. Wyrwa emanowała cichym trzepotem, dźwiękiem niepokoju, który towarzyszył mu od dziecka. Zrósł się z nim tak bardzo, że przestał zwracać na niego uwagę. Zapomniał o nim. Ale on nigdy nie umilkł; nigdy nie przestał go wzywać. Jego nieustanna obecność jest jedynym dostępnym dowodem na istnienie tej Głębiny, jednakże wystarczającym. Wszystkie narzędzia są pod ręką, trzeba tylko podjąć decyzję, których użyć, i w jakim celu.

– Kiedy byłem mentalną projekcją żyjącą w wieży, każdy starał się wspierać iluzję mojej egzystencji. Dlaczego?

Horta spojrzał na niego wymownie.

– Naprawdę muszę odpowiadać?

Obaj wiedzieli, że nie.

18

Yok Talop ożył. Wydawało się, że do pełni istnienia brakowało mu tylko ludzi, którzy zadbają o jego potrzeby – oczyszczą higroskopijne pompy dostarczające wodę do wszystkich zakamarków grzybniowego domu, zaopiekują się ogrodem, wypełnią zbiorniki kompostowe, z których czerpie pożywienie, a ciepło ich ciał sprawi, że jego powierzchnia zakwitnie zielonym mchem.

Beddeos pomagał przy rekultywacji terenu, budowaniu ogrodzenia i starał się uczciwie rozsądzać spory, ale przez cały czas miał wrażenie, że nie pasuje do swoich pobratymców. Początkowo myślał, że winę za to ponosi brak modułu cenzurującego, który usunął ze swojego tablotesora, chciał więc zorganizować treningi, w trakcie których każdy mógłby się nauczyć posługiwać tym psychonarzędziem lub rozwinąć posiadane umiejętności i pozbyć się wbudowanych ograniczeń. Ku jego zdziwieniu, nikt nie był zainteresowany. Dało mu to do myślenia.

Któregoś popołudnia stanął z boku i patrzył, jak ludzie krzątają się przy dużym ognisku i wraz z Małymi Ludźmi szykują huczną zabawę, która przypieczętuje zakończenie prac remontowych w Yok Talop. Wśród nich były również Edna i Alwa. Wciąż kochał je tak samo jak wtedy, gdy nie mógł się z nimi spotykać, ale życie rodzinne nie dawało mu satysfakcji. Nie potrafił się cieszyć żywą społecznością tej osady. Nie potrafił się wpasować w hierarchiczne szufladki. Czuł się wyrzutkiem, chociaż wszyscy witali go z uśmiechem i traktowali jak przywódcę.

Poszedł w głąb lasu i usiadł na mchu, między korzeniami potężnego drzewa. Otworzył tablotesor i zajrzał do krypty.

Wrócił do wieży. Nigdzie nie było widać Tyfona. Szedł w górę, zaglądając do różnych pomieszczeń, aż w końcu dotarł na sam szczyt. Do pokoju obserwacyjnego. Tam go znalazł. Poczuł ukłucie tęsknoty. Zbliżył się bez słowa. Na zewnątrz, w ciemnościach rozświetlonych błękitną obecnością Mówcy, stał cyklopowy las kevali. Kolosalne gniazda czenkro w kształcie stumetrowych migdałów zostały podniesione do pionu i wkopane w ziemię. A potem połączono je gęstymi splotami włóknistej grzybni, na której mrowiły się kuliste, witkonogie czenkro.

Coś się działo.

Tuż obok wieży, między kevalami otwierała się szersza przestrzeń, częściowo zamknięta od góry spiralną pajęczyną z grubych, postrzępionych włókien. Po jej powierzchni krążyły czenkro. Wirowały w nerwowym, owadzim tańcu. Każde z nich rodziło krople światła, które skapywały w dół, ale nie docierały do piasku, tylko zawisały w powietrzu, sklejały się ze sobą i razem tworzyły zawiły amorficzny kształt opalizujący jadowitą żółcienią. To pulsowało, strzelało na boki jak płynny piorun zrodzony z lewitującej bioplazmy, by w końcu błysnąć frenetycznie i zniknąć. A czenkro znowu zaczęły wyradzać krople światła i cykl rozpoczynał się od nowa.

– Co tu się dzieje? – zapytał wstrząśnięty Beddeos.

Tyfon obrócił się w jego stronę. Zaterkotał wyświetlacz.

A JAK MYŚLISZ?

– Nie mam pojęcia.

NIKT NIE MA
TO EMANACJE
INNEJ RZECZYWISTOŚCI
KTÓRA PRZEKSZTAŁCA USIMĘ
NARZUCA JEJ
INNY PORZĄDEK
I INNE SENSY
NIE MA SZANS NA POROZUMIENIE
LUDZIE MOGĄ ZROBIĆ
TYLKO JEDNO

– Odejść?

SKORO WIESZ
TO NA CO CZEKASZ?
CHCESZ SPOKOJNIE
ŻYĆ W LESIE

RAZEM ZE SWOJĄ RODZINĄ?
SAM WIESZ
ŻE NIE MOŻESZ
WIESZ
ŻE MUSISZ DZIAŁAĆ

– To nie jest takie proste.

NIC NIE JEST
LECZ MIMO WSZYSTKO
POWINIENEŚ OPUŚCIĆ
TO MIEJSCE

– Dlaczego?

MASZ COŚ
CZEGO NIE MA ŻADEN
Z LUDZI
CIĄŻY NA TOBIE
ODPOWIEDZIALNOŚĆ

– Powiedz mi, co to jest!

PRZECIEŻ CZYTAŁEŚ
BAJKĘ O TYFONIE
NIC NIE ZROZUMIAŁEŚ?
CZY UMIEJĘTNOŚCI NABYTE
WE ŚNIE MAJĄ ZASTOSOWANIE
W ŻYCIU NA JAWIE
A TE PRZYDATNE NA JAWIE
MOGĄ BYĆ
RÓWNIE UŻYTECZNE WE ŚNIE?

– To jakaś zagadka?

W PEWNYM SENSIE

Tyfon rozpuścił się w powietrzu. Beddeos zamknął tablotesor i wstał. Tuż obok niego, na garbatym korzeniu siedział Horta. Palił fajkę i popijał z tykwy sfermentowany sok z czarnego bzu.

– Dlaczego się nie bawisz? – zapytał.

– Możesz mnie zostawić?

– Oczywiście, ale muszę o coś zapytać.

– Tylko żadnych zagadek, proszę.

– Co powiedział Tyfon?

– Skąd...? A, mniejsza z tym. Twierdzi, że muszę odejść, bo różnię się od innych ludzi. Tylko nie chciał powiedzieć, na czym polega różnica.

– Nikt ci nie powie.

– Nie męcz, już to słyszałem.

Beddeos oparł się o korzeń i westchnął. Od dłuższego czasu stał na rozdrożu i nie wiedział, w którą stronę pójść. Z dnia na dzień wewnętrzna szamotanina coraz bardziej pozbawiała go sił.

– Przecież nie mogę ich zostawić. Szanują mnie. Uważają za swojego przywódcę. A co będzie z Edną i Alwą? To je dobije.

– Porozmawiaj z nimi. Powiedz, co czujesz i co musisz zrobić.

– Problem w tym, że ja właśnie nie wiem, co czuję i co muszę.

– Czy mówiłem już, że jest więcej takich miejsc, jak Yok Talop?

– Co to ma do rzeczy?

– Nieprzypadkowo was tu ściągnąłem.

– Bawicie się naszym kosztem, prawda? Dlaczego nie dacie nam spokoju?

– Nie masz już czasu na spokój. Musisz się wspiąć na drzewo.

Beddeos myślał, że się przesłyszał.

– Co? Gdzie?

– Na Yok Talop. Teraz. Żadnego ale.

Horta zeskoczył z korzenia i zniknął w trawie. Beddeos prychnął. Czuł, jak wzbierające rozdrażnienie zmienia się w agresję. Chciał w coś uderzyć, ale nagle dotarło do niego, że to sobie powinien przyłożyć, bo w nim tkwi źródło napięcia i frustracji. Zwłaszcza w tym, czego nie robi. Przypomniało mu się iluzoryczne życie w wieży na pustkowiu i moment, w którym przejął inicjatywę i zaczął kierować swoimi działaniami. Tak!

Zagadka Tyfona rozwiązała się sama.

Beddeos energicznie ruszył w stronę drzewa. Zerknął na bawiących się ludzi, a potem zaczął się wspinać. Wydawało mu się, że to będzie trudne, ale nie miał żadnych problemów. Na wierzchniej warstwie grzybniowej narośli porośniętej suchym, zielonym mchem, było mnóstwo szczelin i załomów, które ułatwiały wspinaczkę. A w bardziej wymagających miejscach, na gładkich trawersach i ścieżkach omijających przewieszki, były wycięte płytkie stopnie dające wystarczające oparcie stopom. Jedyne utrudnienie stanowiła rosnąca wysokość. Beddeos starał się nie patrzeć w dół. Ciążyła mu świadomość, że wystarczy się potknąć, zagapić, poślizgnąć, i spadnie – długo będzie leciał. Na szczęście wszedł między grube gałęzie, które zasłoniły widok w dole. Narośl skurczyła się i przybrała kształt wąskiej kładki, która spiralnie pięła się po pniu. Ocierając się o korę, Beddeos krok po kroku wchodził coraz wyżej. Nagle

dotarło do niego, że perus może się wspiąć na górę bezpośrednio po drzewie i wcale nie potrzebuje do tego specjalne wyhodowanej kładki, więc po co ona tu jest? Czy miała umożliwić ludziom kontakt z perusami mieszkającymi na szczycie drzewa? Jeśli tak, to nie mogło chodzić o zwykłą obserwację ludzkich zachowań. Tylko o jakiś rodzaj współpracy. Co oni chcieli tu robić?

Rozważał w myślach różne teorie, gdy poraził go blask słońca i błękitnego nieba. Niespodziewanie wyszedł ponad koronę liści. Wiał silny wiatr. Beddeos poczuł delikatne kołysanie drzewa. Zimny pot spłynął mu po krzyżu. Nieco wyżej gruby pień rozrastał się, puchł i płynnie przechodził w ogromny jajowaty strąk. W jego podstawie było małe kuliste wejście. Kładka z grzybniowej narośli prowadziła wprost do niego. Beddeos wszedł do środka. W głębi panował półmrok pachnący suchymi, jesiennymi liśćmi.

Strąk był pusty w środku. Jak wydrążony owoc. Wysoko w górze widniał kwadratowy otwór, który stanowił jedyne źródło światła. Jednakże dawał go za mało, by rozświetlić wnętrze, tonęło więc w czarnoszarych półcieniach. Szorstkie ściany lśniły, jakby były pokryte delikatną, falującą warstwą szkła, jednakże z bliska okazało się, że wszystko jest otulone pasmami gęsto splecionej pajęczyny. Jej zawiłe wzory poruszały się miękko w podmuchach niewyczuwalnego przeciągu.

Beddeos nie wiedział, co robić. Nie miał pojęcia, czy mistrz Aram wie o jego przybyciu, i nie chciał, żeby nieświadomy perus natknął się tu na niego jak na złodzieja. Rozbawiła go absurdalność tej myśli. Co miałby ukraść? Pajęczyny?

– Mistrzu Aram! Hej, mistrzu Aram! – zawołał Beddeos, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

Coś przesłoniło kwadratowy świetlik.

– Złap się tego! – rozległ się niski, wibrujący głos.

Beddeos nie bardzo rozumiał, czego ma się chwycić, ale chwilę później z góry zsunęła się gruba nitka pajęczyny. Była tak lepka, że wcale nie trzeba było jej mocno trzymać. Nagle, bez uprzedzenia, Beddeos został wciągnięty na górę. Wszystko odbyło się błyskawicznie, jakby nie było fazy przejściowej. Stał na dnie strąka mieszkalnego mistrza Arama, a potem od razu siedział wysoko ponad lasem, w towarzystwie pająkowatego perusa.

Zakręciło mu się w głowie. Strąk kołysał się nad drzewami niczym drewniany balon. A on znajdował się na jego szczycie, gdzie kawałek płaskiej przestrzeni tworzył coś w rodzaju niewielkiej platformy z kwadratową dziurą w środku. Nie było tam żadnej balustrady, grzybniowych wyrostków ani niczego, co mogłoby uchronić go przed upadkiem. Beddeos poczuł zimne łaskotanie w brzuchu. Obok niego, na zewnętrznej, mocno pochylonej ścianie strąka stał mistrz Aram. Był większy od wszystkich perusów, jakich Beddeos kiedykolwiek widział. Nad potężnym kulistym korpusem, wspartym na trzech włochatych nogach, falowała ektoplazmatyczna narośl przypominająca głowę orła. Wpatrywała się w przybysza pustymi oczodołami, przez które było widać błękit bezchmurnego nieba.

– Wstań! – rozkazał mistrz Aram głębokim basem, który wibrował w kościach.

– Nie wiem czy to...

– Już!

Beddeos przyklęknął, a potem ostrożnie wyprostował nogi. Świat kołysał mu się pod stopami.

– Dlaczego tu jesteś?!

– Nie wiem. Horta kazał mi tu przyjść.

– Naprawdę? I przyniósł cię na plecach?

– Nie, ja sam...

– Przynajmniej w tym jesteśmy zgodni.

– Mogę usiąść? Nie czuję się zbyt pewnie.

– I bardzo dobrze. Jeśli usiądziesz, zepchnę cię w dół!

Beddeos miał wrażenie, że wpadł w napowietrzną pułapkę bez ścian i znalazł się sam na sam z ogromnym, niebezpiecznym pająkiem.

– Czego ode mnie chcesz?! – krzyknął.

– A ty?

Mistrz Aram błyskawicznie przebiegł na drugą stronę strąka i rozkołysał go jeszcze bardziej. Beddeos zachwiał się i bezładnie zamachał rękoma.

– Chcę stąd zejść!

– No to skacz! Innej drogi nie ma.

Beddeos balansował ciałem, żeby utrzymać równowagę.

– Nie mogę. Jestem potrzebny moim ludziom, Alwie i Ednie!

– Struktura społeczna Yok Talop już się domknęła. I to w taki sposób, że teraz jesteś tam najmniej potrzebnym elementem. Gdybyś bardziej uważał, a mniej się nad sobą użalał, na pewno sam byś to zauważył. Ale możesz im pomóc, jeśli odejdziesz i wykorzystasz swoje talenty.

– Nie będziecie mi rozkazywać!

Mistrz Aram odchylił się do tyłu i znowu zakołysał strąkiem.

– Nikt nie może ci nic kazać. Twoje działania mogą być skuteczne tylko wtedy, gdy wynikają z wewnętrznego przekonania.

Beddeos walczył o utrzymanie równowagi i nie mógł się skupić na słowach perusa.

– Dlaczego mi to robisz?! Chcesz mnie zabić?! – wrzasnął.

– Nie! Obudzić!

Mistrz Aram zręcznie przemknął w poprzek strąka, wczepił się nogami w korę i szarpnął ciałem. Beddeos upadł na kolana. Dyszał. Świat przestał się kołysać. Człowiek zamknął oczy i nagle ogarnęła go niepokojąca myśl, że wcale nie zdemontował iluzji strażnika mieszkającego w wieży, nie wrócił do Gniazda i nie uciekł z garstką ludzi do Yok Talop, lecz wciąż tkwi na pustkowiu w zrujnowanej strażnicy i oszalały błądzi pośród bełkotliwych halucynacji.

– Otwórz oczy! – rozkazał mistrz Aram. – Nie wycofuj się. Nie uciekaj w stare majaki.

Beddeos usiadł i spojrzał na perusa. Dygotał jak w gorączce. Był na krawędzi histerii.

– Potrafisz czytać w myślach? – zapytał.

– Nie, ale dokładnie wiem, co się z tobą dzieje. Czy Tyfon pokazał ci rytuały czenkro?

– Okłamujesz mnie. Tylko w jeden sposób mogłeś się o tym dowiedzieć.

– Niezupełnie, istnieje wiele sposobów. Tyfon to jeden z aspektów twojego umysłu. Mogę się z nim porozumiewać bez twojego udziału.

Beddeos zbladł. Po jego kręgosłupie wspinał się lodowaty ślimak strachu.

– Jak to możliwe?

– Boisz się, prawda?

– Takkkk...

Zaczął szczękać zębami i owładnęło nim czyste przerażenie.

– Ale nie wiesz, co wywołuje strach?

Beddeos pokręcił głową, bo nie mógł wykrztusić ani słowa.

– Skup się, to bardzo ważna chwila. Jednym z najważniejszych źródeł twojego lęku jest instynktowne przeczucie, które podpowiada ci, że obecne życie jest taką samą iluzją jak twoja egzystencja w wieży. Nie broń się przed nim. Niech cię wypełni. Posmakuj go, przetraw i zaakceptuj, bo musisz przyjąć do wiadomości, że to prawda. Nieubłagana, bezlitosna prawda.

Beddeos jęknął, zacisnął dłonie na niewielkich wypukłościach kory i trząsł się wpatrzony w przestrzeń pustym wzrokiem. Chciał uciec, skoczyć w dół, ale basowy głos perusa trzymał go na uwięzi. Gorący mocz pociekł wzdłuż nogawki.

– Cały czas odpychałeś to od siebie i dlatego nie wiedziałeś, jak masz postąpić. Jeśli nie zaakceptujesz tej prawdy, resztki ludzkości na Usimie będą skazane na nieustanną ucieczkę. Ale możesz to zmienić. Ty. Nikt inny. Właśnie ty.

Strach zelżał, zostawił po sobie mrowiące zimno, podobnie jak odpływ zostawia gładki piasek. Beddeos otarł spoconą twarz. Wyczuwał w sobie pulsujące jądra lęków, ale przypominały ćmiące ogniska uleczonego bólu. Nie było już w nich agresywnej intensywności. Usiadł i spojrzał na mokre spodnie.

– Jak? – wycharczał. – Jak mam to zrobić?

– Trzeba rozpoznać naturę ułudy i głębsze przyczyny strachu, a potem musisz przekroczyć ich ograniczenia. To pomoże wszystkim.

– Znowu ten bełkot. Nic nie rozumiem.

– Narzędzia, których potrzebujesz, masz już pod ręką. Wszystko zależy od tego, czy potrafisz ich mądrze użyć.

To przecież moje słowa, pomyślał Beddeos i przypomniał sobie rozmowę z Hortą, podczas której dyskutowali na temat Kavora i książki o Tyfonie.

– Co jest w środku Głębiny nazywanej Kavor? – zapytał.

– Piękno, wiedza i prawdziwa otchłań. Dziewięć Głębin to siedziby strażników Ścieżki Przeskoku. Właśnie uczyniłeś na niej pierwszy świadomy krok, ale żeby w pełni zsynchronizować się z jej mechanizmami, musisz się spotkać z jednym z nich.

Beddeos wstał. Był spokojny. Jego ubranie łopotało na wietrze, a strąk nieznacznie kołysał się na boki. Strach minął. Pojawiło się uczucie lekkości

i coś jeszcze, przeczucie mglistego, ale bardzo konkretnego celu.

Mistrz Aram przesunął się w bok. Ektoplazmatyczna głowa rozciągnęła się i przybrała kształt długiej macki wyciągniętej ponad głową Beddeosa.

– Odwróć się i spójrz tam.

Beddeos wykonał polecenie perusa i zamarł. Kilkanaście kilometrów od miejsca, w którym stali, zaczynały się góry. Nie było żadnego przedgórza, czy małych pagórków, które zapowiadałyby pojawianie się większych szczytów. Nagle z równego dywanu drzew wyrastał w górę ogromny, skalisty mur, a jego urwiste zbocza szybko przechodziły w wysokie, ośnieżone szczyty. Ich pasmo ciągnęło się ze wschodu na zachód i cały masyw wyglądał jak kolosalny kamienny okręt, który wrył się w leśną mieliznę. A ponad nim... Ponad... Wysoko na niebie skrzył się płynny kryształowy kwiat. Z racji odległości i braku punktów odniesienia trudno było oszacować jego wielkość, ale nie mógł być mały. Składał się z tysięcy połyskliwych faset, które nieustannie zmieniały położenie, permutując w nieskończoność skomplikowane, symetryczne wzory. Beddeos chłonął jego piękno i szybko domyślił się, na co patrzy.

– To Unakro, prawda?

– Zgadza się. Twierdza, miasto, albo coś wykraczającego poza nasze formy kategoryzowania rzeczywistości. Zbudowane, a może cały czas budowane przez tulpa, mocą tworzenia i przekształcania materii za pomocą umysłu. Przyjrzyj się dobrze. Ich obecność na Usimie, tak samo jak obecność czenkro, xulo i vhrali, to symptomy nieodwracalnych zmian rzeczywistości. Perusi, zamini, trutle, ikri i ludzie myślą, że są to tylko kolejne niezwykłe rasy zamieszkujące ten glob od tysięcy lat i będzie można z nimi walczyć, gdy zaczną powiększać swoje terytoria i staną się prawdziwym zagrożeniem. Mylą się, bo nie rozumieją, że one nie są stąd, i to dopiero początek ich bytności na Usimie. Przybędą kolejne, jeszcze dziwniejsze istoty, a wraz z nimi świat się przekształci, by dopasować się do ich potrzeb. Albo to one wymodelują go według obcego nam wzorca rzeczywistości. Nie będzie żadnej walki, bo nic nie możemy im zrobić. Nasza broń nie stanowi dla nich zagrożenia. Zostaniemy zepchnięci do iluzorycznych bąbli własnych wzorców, albo przetworzeni. Chyba że w porę zdołamy odejść.

– My?

– Jestem przekonany, że Ścieżka Przeskoku może być dostępna nie tylko dla ludzi.

– To dlatego skazano cię na wygnanie?

– Perusi twierdzą, że to herezja, działanie na szkodę rasy. Mówią, że wymarłe cywilizacje nie mogą wskazywać drogi tym, którzy przetrwali.

– Mistrzu, wyjaśnij mi, proszę...

– Dość pytań!

– Ale jest jeszcze mnóstwo rzeczy, które chciałbym wiedzieć!

Ektoplazmatyczna narośl znowu przybrała kształt orlej głowy.

– Wiele z nich wyjaśni się po wizycie u strażnika. Nie powinieneś zwlekać.

– Ja...

Mistrz Aram uniósł jedno z trzech odnóży, błyskawicznie okręcił Beddeosa pajęczą nitką i zepchnął go ze strąka. Mężczyzna poleciał z wrzaskiem w dół. Ze świstem przemknął między gałęziami, po czym miękko wylądował na trawie. Jakimś cudem udało mu się ustać na drżących nogach. Perus idealnie odmierzył długość nitki. Głośna zabawa odbywała się po drugiej stronie potężnego pnia, nikt więc nie zauważył jego nagłego przybycia. Prawie nikt.

– Trudno było? – zapytał Horta.

– Można tak powiedzieć.

– Kiedy chcesz wyruszyć?

– Po zmroku, gdy Baszta opustoszeje. Pójdziesz ze mną?

– Zawsze, gdy będziesz tego chciał. Chodź. Edna cię szuka.

Obeszli drzewo i stanęli przy ognisku. Część ludzi tańczyła do skocznej muzyki, którą dwaj Mali Ludzie wygrywali na drumlach. Inni czekali, aż piekące się na kamieniach plasterki warzyw staną się soczyste i chrupkie na wierzchu, i rozmawiali z ożywieniem. Nikt nie zwracał uwagi na Beddeosa. Nagle z Yok Talop wyszła Alwa. Zobaczyła go, uśmiechnęła się i pobiegła w jego stronę. Nie dobiegła. Zwolniła, zatrzymała się, zasłoniła usta szczupłą dłonią i pisnęła rozbawiona.

– Co się stało? – zdziwił się Beddeos.

– Chyba się posiusiałeś, tatusiu.

Wszyscy na niego spojrzeli i ryknęli śmiechem. Zarumienił się, ale nie był na nich zły. Zaczął się śmiać razem z nimi. Choć robił to z zupełnie innego powodu.

Kamienna ćma

19

Pozwolili mu odejść, jakby już dawno pogodzili się z faktem, że musi to zrobić, i zdumiony Beddeos odkrył, że źle odczytywał ich intencje. Tak, prosili go o rady i chcieli, żeby rozstrzygał spory, ale nie robili tego dlatego, że widzieli w nim przywódcę. Dopiero teraz to zobaczył. Gdy pozbył się złudzeń. Oni zrozumieli to wcześniej od niego. Chcieli znać jego zdanie, bo nigdy nie angażował się w życie ich społeczności. Nie uczestniczył w jej problemach i patrzył na nie z zewnątrz, bezstronnie. W naturalny sposób ludzie skupili się wokół Igny, i to właśnie ona przewodziła grupie.

Beddeos pomógł im uciec z Gniazda, dzięki niemu nawiązali współpracę z Małymi Ludźmi i zadomowili się w Yok Talop. Ale zrobił swoje i nikt nie oczekiwał, że zostanie tu na dłużej. Ku jego zdumieniu Edna i Alwa też. Uściskał je ze łzami w oczach. Wiedział, że nie ma już powrotu do dawnego Beddeosa i dawnego życia, tego sprzed banicji. Z ich milczącego pożegnania wyczytał, że one też to wiedzą. Zostawił je. Odszedł. Nie sądził, że jeszcze je zobaczy.

Horta i czarny olbrzym czekali w głębi lasu.

– Czy to źle, że tak bardzo je kocham i tak trudno mi się z nimi rozstać? – zapytał Beddeos.

– Nie. Nie ma w tym nic złego – odparł Horta. – Nie wstydź się tego. Nie tłum emocji. To musi boleć.

– Nawet gdy to nie jest prawdziwe?

– Emocje zawsze są prawdziwe. Tylko forma jest iluzją.

– Nie rozumiem.

– Na razie. Gotowy?

„Baszta jest pusta. Możemy ruszać”.

Beddeos westchnął i kiwnął głową. W tej samej chwili znalazł się na platformie obserwacyjnej zawieszonej pod Kavorem – w oparach wodnego pyłu, ogłuszony rykiem spadającej wody. Było późne popołudnie. Obserwatorzy wrócili już do Gniazda. Beddeos spojrzał z powątpiewaniem na turkusową kulę, z której tryskał potężny strumień. Poczuł, że Kavor go rozpoznaje. Wyciągnął rękę. Głębina była ciepła w dotyku. Wydawało się, że woda wypływa wprost z jej lekko chropowatej powierzchni. Beddeos stanął tuż pod wylotem i przyjrzał mu się z bliska.

– Tu nic nie ma! – wrzasnął do Horty, z trudem przekrzykując jednostajny huk.

– Wymacaj krawędź! – odkrzyknął Mały Człowiek.

– Zwariowałeś?! Kiedyś dla żartu wrzuciłem tu taboret! Przecięło go na pół!

– Ręka to co innego! Spróbuj!

Beddeos pożegnał się w myślach ze swoimi palcami i posłusznie przesunął dłoń bliżej pędzącej wody. Był już całkowicie przemoczony. Ostrożnie dotknął miejsca, w którym turkusowa powierzchnia Kavora stykała się ze strumieniem. Nic nie poczuł. Palce weszły do środka, jakby woda była tylko cieniutką zasłoną, za którą kryje się suche przejście. Cofnął się.

– Co się stało?! – zapytał Horta.

– Spróbuję się podciągnąć, albo nie, czekaj! Podaj mi krzesło!

Nie brakowało ich tu. Czekały na obserwatorów. Horta sięgnął po pierwsze z brzegu. Beddeos ustawił je pod wylotem i pochylony wszedł na siedzisko. Wsunął dłonie pod strumień i chwycił się krawędzi niewidocznego otworu. Zamknął oczy, nabrał powietrza jak przed skokiem do rzeki i powoli się wyprostował. Nie napotkał żadnego oporu. Otworzył oczy.

Jego głowa znalazła się po drugiej stronie wodnej kurtyny, która, hucząc, opływała go, nie dotykając skóry. Zobaczył puste, sferyczne wnętrze Kavora, migotliwy połysk wilgoci na ścianach i płynne błękitne światło łagodnie promieniujące z dna wydrążonej kuli.

Ten blask go przyciągał.

Beddeos podskoczył i niezgrabnie wczołgał się do środka. Zsunął się po krzywiźnie w stronę falującego błękitu i zaczął spadać. Coś, co wyglądało

jak podświetlona kałuża, okazało się przepastną otchłanią błękitu.

Ocknął się wtulony w szorstką czerń. Przemoczony i zmarznięty. Wstał. Czuł się bardzo lekki, jakby ciało straciło połowę swojej wagi. Rozejrzał się z niedowierzaniem. To, co zobaczył, nie mieściło mu się w głowie.

Beddeos stał wśród gigantycznych, bezlistnych drzew z czarnego, karbowanego kryształu – przy nich las Tarhanu wyglądał jak nieco zbyt wybujały mech. Choć może to wcale nie były drzewa, tylko z braku innych alternatyw zdezorientowany umysł podsuwał najbliższe możliwe skojarzenie. Cyklopowe kolosy łączyły się ze sobą dzięki rozległym korzeniokształnym odrostom, tworzącym ażurowe skomplikowane struktury, między którymi prześwitywał silny błękitny blask. Beddeos zbliżył się do krawędzi korzenia i spojrzał w dół. Zakręciło mu się w głowie. Pod nim otwierała się nieprawdopodobna głębia, w której igrały światła miliardów zagęszczonych słońc i hipnotycznie wirowały molekuły galaktyk, splecione w jeden amorficznie pulsujący twór.

Co to jest?

Beddeos opadł na kolana. Z trudem oderwał wzrok od tego żywego organizmu utkanego z gwiazd, mgławic, systemów słonecznych i wirujących obłoków rozświetlonego pyłu, zatopionych w płynnym błękicie. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć intensywnego blasku, i ze zdumieniem odkrył, że to woda, albo coś, co bardzo ją przypomina. Czarne, drzewokształtne kolosy rosnące na wodzie? To musi być sen.

Nagle usłyszał cichy szelest. Dobiegał z góry. Uniósł głowę, ale nie potrafił zlokalizować źródła dźwięku, który cały czas przybierał na sile. Potężniał. Obrastał huraganową mocą. Beddeos rozglądał się nerwowo i wreszcie to dostrzegł. Zbliżający się ruch strzelistych gałęziopodobnych wypustek, które na moment stykały się ze sobą i tworzyły w górze geometryczne kształty – litery, cyfry, symbole, zawijasy. Robiły to w taki sposób, jakby podawały sobie fizycznie istniejące obiekty, które płynnie przesuwały się nad głową Beddeosa. Niektóre litery chyba układały się w słowa, ale były zbyt duże, żeby dało się je przeczytać. Dobrze, że chociaż

wyraźnie odcinały się na zielonobrązowym tle i można było śledzić ich imponujący, hałaśliwy pochód.

Zielonobrązowe tło?

Beddeos przyjrzał mu się uważniej. Wypełniało niemal całe niebo. Wyglądało jak ogromna wypukła tarcza, pobrużdżona, pocięta wąskimi pasmami błękitu i gdzieniegdzie przysłonięta postrzępionym dywanem drobniutkich chmur.

Nagle zrozumiał, że stoi na powierzchni Mówcy i oszołomiony patrzy na Usimę. Hieroglify, sigile, enigmatyczne znaki i symetryczne diagramy przepływały po czubkach nibydrzew.

W końcu rozbolała go szyja i musiał opuścić głowę. Rozmasował kark. Nie wiedział, co powinien zrobić. Zostać na miejscu czy iść przed siebie? Wahał się przez chwilę, a potem uznał, że strażnik go nie wyręczy i na pewno sam musi go znaleźć. Odwrócił się, i przeskakując z korzenia na korzeń, ruszył pod prąd podniebnych symboli. W stronę ich źródła.

Drzewokształtne kolosy były tak duże, że minięcie każdego z nich zajmowało sporo czasu, ale nie przeszkadzało mu to. Nie śpieszył się. Co chwila przystawał, żeby napić się wody rozświetlonej błękitem – miała orzeźwiający smak iskrzącego zimna – i szedł powoli, ostrożnie stawiając każdy krok. Wtem, między potężnymi kolumnami czarnego kryształu błysnęło niskie słońce. Beddeos przysłonił oczy dłonią i zauważył, że kilkaset metrów dalej otwiera się szeroka przestrzeń wolna od drzewokształtów. Przyśpieszył kroku. Obszedł najbliższy pień i stanął na brzegu czegoś w rodzaju owalnego jeziora, w głębi którego hipnotycznie falował znajomy, gwiezdny twór.

Beddeos usiadł. Wiedział, że dotarł na miejsce. Po prostu wiedział. Za jego plecami drzewokształty nieustannie podawały sobie znaki, cyfry, litery. Stracił rachubę czasu. Nie wiedział, czy spędził tu godzinę, czy rok. Wydawało mu się, że jego świadomość wystaje poza obręb fizycznego ciała i ślizga się po powierzchni rzeczywistości, obnażając jej wiotką nierealność. Co ja tu robię? – pytał sam siebie, jakby błądził w labiryntach wyjątkowo sugestywnego snu. Westchnął. Błękitny blask zgęstniał w głębinie, naparł na lustro jeziora i wypchnął je do góry. Przed Beddeosem zaczęła rosnąć rozchybotana wodna kolumna, przypominająca jakieś przezroczyste, podwodne stworzenie. Chwilę później wypiętrzyła się ponad szczyty drzewokształtów i była już tak szeroka, że zajmowała niemal całe

jezioro. Beddeos cofnął się z lękiem. Wtedy popłynęły litery. Białe, rozjarzone. Spadały z góry, szły przez środek kolumny i gasły przy podstawie. Przyśpieszyły. Układały się w słowa. Beddeos starał się za nimi nadążyć. Miał niejasne wrażenie, że się powtarzają. Udało mu się uchwycić właściwy rytm i zaczął czytać.

WITAJ ABISALU

– Dlaczego tak do mnie mówisz? Abisale to...

LUDZIE BEDDEOSIE LUDZIE KTÓRZY ODESZLI Z USIMY DZIESIĄTKI TYSIĘCY LAT TEMU

– Czy Przeskok to ich dzieło?

TAK

– Co się z nimi stało? Czym jest Przeskok?

WYRUSZYLI W GŁĄB STUDNI PRZESKOKU KTÓRA PRZEBIJA SIĘ PRZEZ NIEZLICZONE ŚWIATY OD GĘSTYCH JAK MELASA GDZIE SMOLISTE POWIETRZE OPŁYWA PANCERNE ISTOTY OTWIERAJĄCE OCZOPODOBNE WYPUSTKI RAZ NA TYSIĄC LAT DO DELIKATNYCH ZWIEWNYCH ULOTNYCH JAK ZNIKAJĄCA MGIEŁKA NA SZYBIE

LUDZIE ZAMIERZALI OSTROŻNIE BADAĆ MOŻLIWOŚCI TEGO PORTALU ALE RAZ OTWARTY NIE DAWAŁ SIE ZAMKNĄĆ UWALNIAŁ WSZYSTKICH OD TYRANII NIEZMIENNEGO CIAŁA

KAŻDY KTO WSZEDŁ DO STUDNI PRZESKOKU POZBYWAŁ SIĘ LUDZKICH OGRANICZEŃ MÓGŁ EKSPLOROWAĆ I PRZEKSZTAŁCAĆ RZECZYWISTOŚĆ NA SWÓJ WŁASNY SPOSÓB MÓGŁ WYRUSZYĆ NA POSZUKIWANIE SWOICH BOGÓW MÓGŁ ZNALEŹĆ ŚWIAT KTÓRY BĘDZIE MIAŁ TYLKO DLA SIEBIE MÓGŁ ODNALEŹĆ PRZYGODĘ PRZEMIANĘ LUB NIEWZRUSZONY SPOKÓJ MILIONLETNIEGO TRWANIA

STUDNIA PRZESKOKU JEST ŹRÓDŁEM WOLNOŚCI WIĘC CZEGOŚ TAKIEGO NIE DA SIĘ UTRZYMAĆ W TAJEMNICY I CORAZ WIĘCEJ LUDZI WCHODZIŁO DO STUDNI A TO DOPROWADZIŁO DO GWAŁTOWNEGO POSZERZENIA PORTALU I NAGŁEGO PRZESKOKU CAŁEJ CYWILIZACJI

– Kilku jednak zostało.

SPORA GRUPA ZAGUBIONYCH I POPRZESKOKOWE BĘKARTY KTÓRE ZAGNIEŹDZIŁY SIĘ NA USIMIE W NOWEJ POSTACI JEDNYM Z NICH JEST PRZECIEŻ MAZZMA

– Co? – Beddeos zbladł. – Ten czarny śluz? Jak to możliwe, że ludzie zmienili się w coś takiego?

STUDNIA PRZESKOKU NIE JEST OAZĄ BEZPIECZEŃSTWA ŚWIATY KTÓRE OTWIERA SĄ RÓWNIE NIEBEZPIECZNE JAK TEN A CZĘSTO NAWET BARDZIEJ CI ZAŚ KTÓRYCH UWALNIA NIE MUSZĄ PODĄŻAĆ DROGĄ WIEDZY POSZUKIWAŃ EWOLUCJI EMPATII I RÓWNIE DOBRZE MOGĄ PRZEKSZTAŁCIĆ SIĘ W CHCIWE NIENASYCONE PASOŻYTNICZE

ISTOTY POŻĄDAJĄCE WSZYSTKIEGO I WSZYSTKICH A NAJBARDZIEJ TEGO CZEGO NIE MOGĄ WCHŁONĄĆ LUB POŻREĆ

– Czy dlatego zmuszano nas do obserwowania Kavora w przestrzeni Konstruktu?

MAZZMA CHCIAŁABY GO POŁKNĄĆ ROZPUŚCIĆ I PRZYSWOIĆ JEGO MOCE ALE NIE MOŻE SIĘ ZBLIŻYĆ DO ŻADNEJ GŁĘBINY WIĘC PRÓBUJE TO ROBIĆ ZA POŚREDNICTWEM ZNIEWOLONYCH LUDZI

– Co ją powstrzymuje?

WIDZIAŁEŚ KIEDYŚ BIĘKITNĄ MAZZMĘ

– A jest taka?

SPÓJRZ POD NOGI OTCHŁAŃ STUDNI PRZESKOKU PŁAWI SIĘ W NIEJ OD NIEPAMIĘTNYCH CZASÓW TO ESENCJA KAŻDEJ GŁĘBINY

CZARNA MAZZMA W ZETKNIĘCIU Z BŁĘKITNĄ NATYCHMIAST UTRACIŁABY ZDEFORMOWANE RESZTKI CZŁOWIECZEŃSTWA CZYLI WSZYSTKO TO CO NADAJE JEJ TĘ MAZISTĄ PASOŻYTNICZĄ FORMĘ I PRZEKSZTAŁCIŁABY SIĘ W COŚ INNEGO W COŚ NOWEGO LECZ TO JEDYNA RZECZ JAKIEJ CZARNA MAZZMA NIE POŻĄDA

– Czy tulpa, czenkro, albo vhrale, też były kiedyś ludźmi?

TE ISTOTY POJAWIŁY SIĘ NA USIMIE PO OTWARCIU STUDNI BO KAŻDY RUCH NA ŚCIEŻCE PRZESKOKU WYWOŁUJE SZEREG POWIĄZANYCH ZE SOBĄ REAKCJI W WIELU RÓŻNYCH ŚWIATACH

JEDNĄ Z NICH JEST WŁAŚNIE PRZEMIESZCZANIE SIĘ TAKICH BYTÓW JAK XULO LUB VHRALE MIĘDZY RZECZYWISTOŚCIAMI

CHYBA NIE MYŚLAŁEŚ ŻE PODZIEMNE KVALL Z KTÓREGO PRZESĄCZAJĄ SIĘ WIDMOWE XULO NAPRAWDĘ ZNAJDUJE SIĘ POD ZIEMIĄ

UPRZEDZĘ TWOJE PYTANIE

TAK

TEGO PROCESU NIE DA SIĘ POWSTRZYMAĆ

MISTRZ ARAM MA RACJĘ PRZYBĘDĄ JESZCZE DZIWNIEJSZE STWORY I NIEPODZIELNIE ZAWŁADNĄ USIMĄ NIC SIĘ NIE DA ZROBIĆ

– Czyli mamy tylko jedną alternatywę: albo zostaniemy na Usimie tak długo, jak nam pozwolą, a potem wszyscy umrzemy, albo wejdziemy do Studni Przeskoku, przestaniemy być ludźmi i jako niezależne byty wyruszymy w nieznane.

NIEZUPEŁNIE BEDDEOSIE WYBÓR JEST TYLKO JEDEN BO LUDZIE KTÓRZY POZOSTALI NA USIMIE PRZESZLI JUŻ PRZEZ STUDNIĘ PRZESKOKU LECZ COŚ ZAWRÓCIŁO ICH Z DROGI I POWRÓCILI JAKO CIENIE SAMYCH SIEBIE SŁABI I BEZWOLNI A ICH DZIECI BŁĄDZĄ TU JAK MATERIALNE WIDMA CHOĆ TO JUŻ NIE JEST ICH ŚWIAT

– Jesteśmy jak trupy, które potrafią się ruszać, mówić, myśleć i kurczowo trzymają się iluzji życia.

JEDNAKŻE ZOSTAŁO W WAS DOŚĆ WOLI BY ZMIENIĆ SWÓJ LOS NA ŚCIEŻCE PRZESKOKU

CHOCIAŻ NIE BĘDZIE TO ŁATWE BO NA USIMIE DZIAŁAJĄ SIŁY KTÓRE NIE CHCĄ DO TEGO DOPUŚCIĆ I BRAKUJE WAM CZEGOŚ BARDZO WAŻNEGO

A BEZ TEGO NIE MOŻNA KIERUNKOWAĆ WYSIŁKÓW ŚWIADOMOŚCI

NA SZCZĘŚCIE TY JESTEŚ INNY TY TO MASZ I JEŚLI CI SIĘ POWIEDZIE TWOJE DZIAŁANIE WZBOGACI INNYCH LUDZI I DA IM POTRZEBNĄ SIŁĘ

– Co to jest?

W KOŃCU ZROZUMIESZ

– Domyślam się, że tymi wrogimi siłami jest Kolektyw Raziri. Wchłanianie ludzkich obserwatorów Kavora to bezpieczny sposób na badanie jego mocy, ale dlaczego mazzma wysyła nasze iluzoryczne wcielenia do wieży? Przecież tam nie ma żadnej Głębiny.

WIEŻY TEŻ NIE MA

– Są ruiny.

TYLKO ZNISZCZONA DIAFRAGMA POGRZEBANA POD GRUBĄ WARSTWĄ PIASKU

– Nic innego?

TY TWORZYŁEŚ TO MIEJSCE TY I TWOI POPRZEDNICY

– Po co?

DZIEWIĘĆ GŁĘBIN NARODZIŁO SIĘ WRAZ Z MASOWYM PRZESKOKIEM WASZEJ CYWILIZACJI BO TAK ZAREAGOWAŁA ŻYWA TKANKA RZECZYWISTOŚCI NA NAGŁE ZNISZCZENIE STAREGO PORZĄDKU

GŁĘBINY WYTYCZAJĄ ŚCIEŻKĘ PRZESKOKU I BĘDĄ DZIAŁAĆ TAK DŁUGO AŻ PRZEPROWADZĄ PRZEZ STUDNIĘ WSZYSTKICH LUDZI BĘKARCIE EMANACJE I ISTOTY NA POKREWNYM POZIOMIE PERCEPCJI ŚWIATA

GDY TAK SIĘ STANIE USIMA CAŁKOWICIE OTWORZY SIĘ NA TAKIE BYTY JAK XULO VHRALE I TULPA WIĘC KOLEKTYW RAZIRI CHCE OPÓŹNIĆ TEN PROCES

DLATEGO WIĘZI LUDZI DAJE IM FAŁSZYWE POCZUCIE BEZPIECZEŃSTWA ZAMYKA ICH W GOMOLOWYCH FORMACH SPOWALNIA NIEUCHRONNE PRZEKSZTAŁCENIE GATUNKU I USIMY ALE PRZEDE WSZYSTKIM OBSERWUJE ŚCIEŻKĘ PRZESKOKU I PILNUJE BY NIKT NIĄ NIE PODĄŻAŁ

A WSZYSTKO PO TO BY ZAPEWNIĆ SOBIE MOŻLIWIE NAJDŁUŻSZE ŻYCIE

– Nie pamiętam, żebym robił coś takiego.

MAŁE KOŁO ZĘBATE JEST CZĘŚCIĄ MASZYNY KTÓREJ NIE ROZUMIE

WIDZI TYLKO NIEWIELKI WYCINEK SWOJEJ PRACY

NIE MA POJĘCIA W CZYM UCZESTNICZY I CO ROBI CAŁA MASZYNERIA

BYŁEŚ CZYMŚ TAKIM

NIEŚWIADOMYM CZUJNIKIEM

CENZOR W TWOIM TABLOTESORZE MIAŁ WIELE KONKRETNYCH ZASTOSOWAŃ

Beddeos usiadł z wrażenia. Informacje kotłowały mu się w głowie. Powoli zaczynały się łączyć i układać w większy obraz. Słowa przestały spadać. Błękitna kolumna mierzyła w zielono-brązową tarczę Usimy. Miał jeszcze mnóstwo pytań, ale jedno było najważniejsze.

– Jak mam wejść na Ścieżkę Przeskoku?

DAWNIEJ GDY SZLAK BYŁ PRZETARTY WYSTARCZYŁO ZNALEŹĆ WEJŚCIE DO KAVORA I ZANURZYĆ SIĘ W BŁĘKITNEJ MAZZMIE ALBO NAWIĄZAĆ KONTAKT Z JAKĄKOLWIEK INNĄ GŁĘBINĄ

ALE TERAZ TO NIE WYSTARCZY BO KAMIENNA ĆMA TRZEPOCE CORAZ CISZEJ A GARSTKA WIDMOWYCH LUDZI NIE POTRAFI JEJ WSPOMÓC

DLATEGO NIE MASZ WYJŚCIA

MUSISZ DOTRZEĆ DO BUDOWNICZEGO

– Kogo?

INABULUSA KNALBA TYLKO ON MOŻE CI POMÓC

– Już raz to zrobił.

TAK JEGO BŁOGOSŁAWIEŃSTWO TOWARZYSZY CI OD DŁUŻSZEGO CZASU

– Bez przesady! To tylko skrzynia z mobilnym falkonetem.

SKORO CHCESZ ŻEBY WYGLĄDAŁO JAK SKRZYNIA Z MOBILNYM FALKONETEM NIE POWINIENEŚ SIĘ CZUĆ ROZCZAROWANY

– Ale to nie ja... Ja?

ŚLEPY PRZEWRACA SIĘ O PRZESZKODY NAWET GDY NEGUJE ICH ISTNIENIE A TY MUSISZ JUŻ IŚĆ

– Jak? Jak mam wrócić?

WSKOCZ DO WODY

Beddeos zawahał się, zamknął oczy, żeby nie widzieć błękitnej otchłani, i skoczył. Kolumna wody, po której spływały słowa, przechyliła się i spadła mu na głowę. Pochwycił go silny prąd i z ogromną siłą wyrzucił z Kavora. Beddeos poleciał w dół. Przecinając ukośne promienie zachodzącego

słońca, z krzykiem spadał na mokre głazy wystające z nurtu płytkiej Firby. Mieszkający wśród nich zamini jednocześnie unieśli głowy.

Kamienna ćma

20

Szarpnęło i Beddeos obudził się w ciemnościach. To tylko sen, pomyślał z ulgą. Tylko sen. Był przekonany, że leży w swojej komorze w Yok Talop, obok Edny i Alwy. Wyciągnął rękę, ale namacał jedynie zimny materac i kamienną ścianę. Zaniepokoił się. Nagle zdał sobie sprawę, że coś słyszy. Jakby przytłumiony gwar, zmieszany z odgłosami pracy wielu maszyn. Beddeos wstał i po omacku ruszył wzdłuż ściany. Minął zakręt i wszedł w półmrok pachnący stęchlizną. Znalazł się w wysokim pokoju, który kiedyś musiał być pięknym, przestronnym salonem, ale czasy jego świetności bezpowrotnie minęły. Tynk odłaził ze ścian, z popękanego sufitu sterczały nastroszone witki trzciny i kępki trawy przyprószone zszarzałymi resztkami starego gipsu, a marmurową posadzkę pokrywały suche liście, gruz, potłuczone szkło, połamane belki i kości małych zwierząt, dokładnie oczyszczone z mięsa. Nie miał pojęcia jak się tu znalazł i co to za miejsce.

Na środku pomieszczenia stał potężny, częściowo spalony stół. Leżały na nim buty, spodnie, koszula i gruby płaszcz z kapturem. Beddeos ubrał się i przeszedł obok szerokich otworów w ścianie, w których niegdyś tkwiły okna, ale drzewa już lata temu wepchnęły je do środka. Grube gałęzie zasłaniały widok na zewnątrz. Nieco dalej Beddeos natrafił na długi korytarz, który rozgałęział się na kilka mniejszych. Śmiało zagłębił się w labiryncie odnóg. Przechodził od jednego zrujnowanego pomieszczenia do drugiego, aż dotarł do ogromnej dziury w podłodze, którą zostawiły po sobie zawalone schody, i musiał zawrócić. Rozejrzał się bezradnie.

– Pilsh Durq? Jesteś? Możesz mi pomóc? – wyszeptał.

Na posadzce rozjarzyła się fosforyzująca strzałka, a pod nią wyrosło słowo.

Tędy!

Beddeos podszedł bliżej i litery natychmiast wsiąkły w marmur, ale strzałka ruszyła przed siebie gładkim ruchem, jakby prześlizgiwała się po lodzie. Nie musiał biec, żeby za nią nadążyć. Przeprowadziła go przez kilka pokoi, w poprzek dużej sali, która nie miała sufitu, otwierała się na oślepiająco błękitne niebo pokryte drobnymi chmurami i rósł w niej gęsty zagajnik karłowatych brzóz, a potem gwałtownie skręciła i zatrzymała się przy dużych dwuskrzydłowych drzwiach. Zamigotała i zgasła. Beddeos otworzył drzwi i zdębiał.

Marmurowa posadzka kończyła się kilka kroków dalej. W miejscu, gdzie nie było już budynku, tylko otwarta przestrzeń. Ostrożnie podszedł do krawędzi zarwanej podłogi i z wysokości trzeciego piętra spojrzał na rozległą dolinę, która schodziła w stronę gładkiej tafli jeziora. Wszędzie mrowiło się tysiące Małych Ludzi, krzątających się wokół dziwnych maszyn, przenośnych domów, kamiennych namiotów, skórzastych balonów na ciepłe powietrze, teleskopowych narzędzi do tropienia chmur, oswojonych roślin, muzyków grających na kościanych instrumentach, mechaników naprawiających kroczące domy i kuchni wydających posiłki. Tak dużego obozu Beddeos jeszcze nie widział. To jego gwar słyszał przez ściany zrujnowanego budynku. Nagle tuż obok niego pojawił się Horta.

– Przepraszam, że cię zostawiłem. Myślałem, że jeszcze śpisz.

Beddeos wzruszył ramionami.

– Nic się nie stało, ale to... Gdzie my jesteśmy?

– W ruinach Sowiego Pałacu.

– Przygotowujecie się do Rady?

– Coś w tym rodzaju.

– Jest tu król Orfa?

– Oczywiście. Na pewno się z nim zobaczysz.

– Jak się tu znalazłem?

– Baktak złapał cię w locie i przeniósł do Pałacu.

Beddeos poczuł się nieswojo. Jak bezsilna zabawka w rękach potężnych sił, które ją przerzucają z jednego miejsca na drugie, nie pytając o zdanie.

– Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

– Nie mogłem.

– Niby czemu?

– Kiedy podejmujesz konkretne działania, pewne rzeczy zaczynają się dziać. Po prostu. Chodź, pokażę ci.

Zeszli schodami piętro niżej, a potem użyli rozchybotanej drabiny. Po chwili stali już na poziomie doliny, wśród wielu Małych Ludzi i ich dziwacznych urządzeń.

– Za mną – powiedział Horta i energicznie ruszył do przodu. Tłum opływał go jak woda i nie spowalniał marszu. Beddeos trzymał się tuż za nim. Czuł na sobie setki spojrzeń. Po kilku minutach dotarli do drewnianej platformy, na której stało proste krzesło z wysokim oparciem. Horta wskoczył na platformę i usiadł na nim. W jednej chwili Mali Ludzie umilkli. Stanęły maszyny. Cisza wypełniła dolinę. Beddeos się zawahał. Działo się coś, czego nie rozumiał, albo nie dopuszczał tego do świadomości. Coś oczywistego. Gra, którą już dawno powinien przejrzeć.

– Mogłeś powiedzieć – wydusił Beddeos. Jego głos brzmiał zaskakująco głośno.

– Co by to zmieniło?

– Uniknęlibyśmy krępującej sytuacji.

– Ty byś tylko unikał. Nie możesz od razu przejść do rzeczy?

Beddeosowi zaschło w ustach. Od spojrzeń tysięcy Małych Ludzi skóra paliła go żywym ogniem. Miał ochotę zapaść się pod ziemię. Był pewien, że świetnie się bawią jego kosztem.

– Nie potrafię się skupić, gdy patrzą.

– Kto?

– Oni. – Poirytowany Beddeos machnął ręką i zamarł w pół gestu.

Dolina była pusta. Zostali tylko on i Horta. Może od początku nikogo innego tu nie było? Gładkie, dobrze naoliwione myśli samoistnie dopasowały się do siebie i z głuchym szczękiem zatrzasnęły się w nowy kształt. Jeszcze go nie rozumiał, ale już wyczuwał jego krawędzie i wiedzę, którą w sobie nosił.

– Mam do ciebie mówić „Wasza Wysokość”?

– Złe pytanie.

– A jakie jest dobre?

– Skąd mam wiedzieć? Nie jestem tobą.

Słaby wiatr igrał wśród traw. Beddeos patrzył, jak prześlizguje się wśród źdźbeł, i pozwolił, żeby przypływ intuicji wypełnił go po czubek czaszki.

Nie zastanawiał się nad tym, niczego nie rozważał, a mimo to, chwilę później wiedział, o co musi zapytać.

– Czy król Orfa jest tylko jeden?

– Nie.

– Zatem każdy człowiek ma własnego?

– Tak.

Gdy to powiedział, w mgnieniu oka dolina znowu wypełniła się tysiącami Małych Ludzi. Wciąż wpatrywali się w niego w milczeniu, ale Beddeos nie czuł się już skrępowany. Teraz w ich spojrzeniach dostrzegał troskę, łagodne zainteresowanie, chęć pomocy. Zdał sobie sprawę, że to jego lęki, uprzedzenia i negatywne emocje nadawały im cechy, których Mali Ludzie nigdy nie mieli. Zawsze odzwierciedlali jego punkt widzenia. Byli dokładnie tym, czym chciał, żeby byli. I ten sztuczny, kłamliwy obraz zakrywał prawdę.

– Kim wy właściwie jesteście?

Horta stanął na krześle i rozłożył ręce, jakby chciał objąć wszystkich Małych Ludzi zgromadzonych w dolinie.

– Nie widzisz? Nie wydaje ci się, że skądś nas znasz? Ludzie, którzy przeszli przez Studnię Przeskoku i wrócili na Usimę, utracili po drodze wiele cech, umiejętności i energii, z których było zbudowane ich człowieczeństwo. Ale nic nie zaginęło. Zmieniła się tylko forma i pojawiła się autonomiczna samoświadomość elementów. Co czujesz w naszej obecności?

– Ciekawość, chęć działania, przypływ pomysłów...

– No właśnie. Wbrew temu, co rozpowiadamy, król Orfa nie jest władcą Małych Ludzi. To ruchomy tytuł. Określa tych z nas, którzy najskuteczniej dopełniają niekompletne osobowości ludzi podążających Ścieżką Przeskoku. Strażnik zsynchronizował cię z jej nurtem. Wprowadził na Ścieżkę. Teraz możesz odzyskać utracone elementy. Możesz się cofnąć w górę strumienia. Prosto do źródła. Słyszysz ją?

Beddeos zdał sobie sprawę, że tuż na granicy ciszy unosi się basowe drżenie. Odległa wibracja. Jakby daleko, za horyzontem, wznosiła się w powietrze gigantyczna ćma. Kamienna Ćma. Spojrzał w niebo. Mali Ludzie również unieśli wzrok.

– Jeszcze nigdy nie słyszałem jej tak wyraźnie.

– Pod wpływem tego dźwięku rozproszone fragmenty zaczynają się przyciągać i łączyć. Dlatego się tu znalazłeś. Samoistnie. To ty pokierowałeś baktakiem. Ty nas tu zebrałeś. Ściągnęła nas rosnąca grawitacja twojego człowieczeństwa. Niestety, nie możesz zostać.

– Strażnik powiedział, że muszę odnaleźć Inabulusa Knalba.

– To też, ale przede wszystkim musisz uciekać.

– Dlaczego?

– Wczoraj mazzma opuściła Ak-Bę i szybko podąża w naszą stronę.

– W jaki sposób? Przecież to czarny śluz.

– Ma swoje sposoby. Zbliż się. Tyfon nam pokaże.

Beddeos wszedł na platformę i podszedł do Horty. W tym samym momencie Mali Ludzie przerwali ciszę. Wrócili do rozmów, uruchomili maszyny. Horta ustąpił mu miejsca na krześle.

– Siadaj – powiedział. – Otwórz tablotesor.

Beddeos błyskawicznie zwizualizował tablicę. Wyczuwalnie wzrosła jego umiejętność koncentracji i tablotesor stał się niemal materialnym obiektem. Otworzył kryptę i przekroczył próg wieży. Tyfon porządkował swoje graty w warsztacie. W skupieniu przekładał je z jednego miejsca na drugie, wybierając poszczególne przedmioty według jakiegoś niepojętego klucza. Na jego widok Beddeos poczuł ciepłą falę wzruszenia.

– To znowu ja.

Tyfon obrócił się w jego stronę i uruchomił wyświetlacz.

A RESZTA?

– Jaka reszta?

Tyfon spojrzał w bok.

WŁAŚNIE O CIEBIE PYTAŁEM

W drzwiach warsztatu stał Horta.

– Jak to możliwe?! – wykrztusił zdumiony Beddeos. – Przecież to moja krypta! Tylko ja mam tu wstęp!

Mały Człowiek wzruszył ramionami.

NO WŁAŚNIE BEDDEOSIE

JAK TO MOŻLIWE?

Beddeos poczuł intensywne mrowienie, które wniknęło w jego ciało. Wychłodziło koniuszki palców, naelektryzowało włosy. Zadrżał.

– Co to było? – jęknął.

– Przeczucie, którego nie potrafisz uchwycić – wyjaśnił Horta. – Ale spokojnie. Jesteś na dobrej drodze. Zostawmy to teraz. Mamy pilniejsze sprawy.

ZGADZA SIĘ
WYJDŹMY NA ZEWNĄTRZ
CZEGOŚ TAKIEGO
JESZCZE NIE WIDZIELIŚCIE

Tyfon ruszył przodem i wyprowadził ich z wieży. Strażnica stała na wysokim wzgórzu otoczonym rzadkim lasem. W niczym nie przypominało to znajomego, pustynnego krajobrazu. Maszyna uniosła metalową rękę.

SPÓJRZCIE W TAMTĄ STRONĘ

Coś ciemnego pełzło po niebie wężowym ruchem. Rosło w oczach. Po chwili przysłoniło słońce i zapadł półmrok. Beddeos nerwowo przełknął ślinę. Tysiące czarnych bąbli wydętej mazzmy, nafermentowanej lekkimi gazami, skleiło się ze sobą i utworzyło mroczny, przelewający się skrzek, który wił się w powietrzu i niestrudzenie parł do przodu. W dolnej części każdego bąbla był podczepiony pojedynczy, owadzi kształt – ikri. Wisząc, przebierały odnóżami, jakby chciały się chwycić powietrza.

PILSH DURQ
PRZEKAZAŁ MI TEN OBRAZ
DZISIAJ RANO

– Przekazał? W jaki sposób? – zapytał Beddeos.

TO CHYBA OCZYWISTE
ZA POŚREDNICTWEM
TWOJEGO TABLOTESORA

Dla Beddeosa nie było to takie oczywiste.

– Skąd ona wie, gdzie mnie szukać?

PO WIZYCIE U STRAŻNIKA
MAZZMA ZNAJDZIE CIĘ WSZĘDZIE
BO TERAZ WIBRACJA
KTÓRA ŁĄCZY CIĘ
ZE ŚCIEŻKĄ PRZESKOKU
JEST TAK SILNA
ŻE NAWET ONA
POTRAFI JĄ WYCZUĆ
I NIE POZWOLI CI
ZA NIĄ PODĄŻYĆ
ODSZUKA CIĘ I WCHŁONIE

Beddeos nie czuł strachu. Tylko determinację.

– Nie dam się złapać! – warknął. – Pilsh Durq? Jak daleko jest to czarne gówno? – zapytał i w tym samym momencie zdał sobie sprawę, że pleśń nie może mu odpowiedzieć, bo stoją w projekcyjnej przestrzeni tablotesorowej krypty. Mimo to, Tyfon i Horta odwrócili się, by spojrzeć w stronę wieży. Puszyste litery nie dały na siebie czekać i wyrosły na stromej ścianie strażnicy.

Jeśli utrzyma tempo,
Mazzma dotrze do Sowiego Pałacu
Dziś wieczorem.

Beddeos zadrżał. Zimne mrowienie kolejny raz przeniknęło go na wskroś.

– Do kompletu brakuje tylko baktaka – mruknął.

Odpowiedź czarnego olbrzyma zabrzmiała jak odległe pomruki zbliżającej się burzy.

„Nigdy nie brakowało”.

Beddeos nigdzie go nie widział, ale nie dbał o to, bo wreszcie udało mu się uchwycić to śliskie, lśniące przeczucie, które do tej pory migało mu tylko na krawędzi pola widzenia. I chłodne, przenikliwe mrowienie rozlało się po jego ciele przyjemną falą. Tyfon i Horta patrzyli na niego w milczeniu. Pleśń wniknęła w kamień. Beddeos wypowiedział zdanie, które utrzymało się na powierzchni ciszy.

– Teraz poprowadzi nas błogosławieństwo Inabulusa Knalba.

I tak się stało.

21

Poprowadziła ich mosiężna kula – przekształcony Falkoneton, który unosił się wysoko na niebie.

Czarny olbrzym sprzągł się z jego maszynerią, owinął się zagiętą przestrzenią i razem z Hortą, Beddeosem, namacalną obecnością Pilsh Durqa i Tyfonem ukrytym w zakamarkach tablotesora skoczył w stronę Gór Quram.

Pojawili się na skalistej równinie pokrytej cienką warstwą zmrożonego śniegu. W mglistej dali wznosiły się gigantyczne góry. Przysłaniały połowę nieba. Wydawało się, że emanują chłodem.

– Robią wrażenie, co? – zapytał Horta.

– Z pewnością. Głównie na tych, którzy nie muszą się tam wspinać – odparł Beddeos.

Mały Człowiek roześmiał się w głos. Jego donośny śmiech przetoczył się po równinie. Beddeos zauważył, że Horta i baktak stąpają lekko jak duchy i w odróżnieniu od niego nie zostawiają śladów na śniegu.

– To chyba nie będzie konieczne – stwierdził Horta i zapalił fajkę.

Stanęli. Beddeos rozejrzał się bezradnie.

– Co teraz?

Horta wypuścił kłąb aromatycznego dymu i wskazał palcem na unoszący się w górze Falkoneton, który połyskiwał mosiężnie na tle błękitnego nieba.

– Trzeba uruchomić łącznik.

– Po co? Nie możemy od razu przeskoczyć do twierdzy Knalba?

– Teraz jest poza naszym zasięgiem. Dryfuje przez światy w bąblu własnej rzeczywistości i tylko Falkoneton może otworzyć przejście, które

przerzuci pomost z tego świata do dominium Knalba.

– Świetnie. Jak to zrobić?

– Nie mam pojęcia.

– A kto wie? Tylko nie mów, że ja.

– Nic nie powiedziałem.

– No to powiedz.

– Przecież kazałeś nie mówić.

– Zwariuję z wami!

Beddeos nerwowo potarł twarz i odwrócił się do Horty plecami.

„Mamy coraz mniej czasu”.

Zagrzmiał nieruchomy baktak.

– Daleko jest? – zainteresował się Horta.

„Dopadnie nas nad ranem. Chyba że ruszymy dalej”.

Wszyscy odruchowo spojrzeli w górę, ale na razie nigdzie nie było widać wijącej się chmury czarnych bąbli. Jednolity błękit nieba mąciła tylko miedziana plamka Falkonetonu.

– Można go ściągnąć? – zapytał Beddeos.

„Zbyt duże ryzyko. To mogłoby rozkalibrować jego synchronizator i stracilibyśmy szansę na połączenie”.

– A gdybyś mnie tam przeniósł?

– Z zewnątrz jest twardy i gładki. Nie ma żadnego wejścia ani tablicy z przełącznikami.

– To jak ja mam...?

Nagle Beddeos zrozumiał, co Horta próbuje mu powiedzieć. Uśmiechnął się. Przyklęknął. Oparł się o duży kamień i otworzył tablotesor. Tablica była tak wyraźna, że niemal wyczuwał ją pod palcami. Otworzył kryptę.

Warsztat Tyfona był cichy i pusty. Nigdzie nie było widać mechanicznego gospodarza.

– Tyfon?! – krzyknął. – Tyfonie, gdzie jesteś?!

Wtem ciszę przerwał głuchy łomot. Dźwięk metalu uderzającego o metal. Dobiegał z korytarza. Beddeos podążył w stronę źródła hałasu i po chwili znalazł Tyfona w łazience. Leżał na plecach, wsunięty pod umywalkę i siłował się z żeliwną armaturą. Walił młotkiem w zardzewiałe śruby. Beddeos stanął nad nim i powiedział:

– Obawiam się, że tak tego nie naprawisz.

Tyfon przerwał, ale nie odłożył młotka.

JAK TO?
PRZECIEŻ ROBIĘ
TO CO TY
– To znaczy?
WALĘ NA OŚLEP
ŻEBY NAPRAWIĆ TO
CO NIGDY NIE BYŁO
ZEPSUTE
– Nie jesteś zbyt pomocny – rzucił poirytowany Beddeos.
NAPRAWDĘ?
TO DLACZEGO
PRZYSZEDŁEŚ?
– Przecież wiesz. Falkoneton zmienił się zgodnie z moją wolą, ale teraz nie mam do niego dostępu, a tylko z jego pomocą można otworzyć przejście do twierdzy Inabulusa Knalba.
W odpowiedzi Tyfon znowu zaczął walić młotkiem w zardzewiałe śruby.
– Przestań! Co ty wyprawiasz?!
OTWIERAM PRZEJŚCIE
– Mam ochotę cię kopnąć. Pomożesz mi czy nie?
Tyfon odłożył młotek i podniósł się z podłogi.
JESZCZE TROCHĘ
I ZGUBISZ SIĘ
WE WŁASNYM UBRANIU
– Co to ma niby znaczyć?
Tyfon dotknął wyświetlacza.
A CO?
ZEPSUŁ SIĘ?
PRZESTAŁ POKAZYWAĆ
LITERY?
– Nie, działa bardzo dobrze, ale... – Do Beddeosa wreszcie dotarło, że Tyfon bawi się jego kosztem. – Mam tego dość. Powiedz mi tylko, jak się dostać do Falkonetonu, a obiecuję, że już nigdy nie będę się naprzykrzał Waszej Wysokości.
NO DOBRZE
NIE MUSISZ SIĘ
DENERWOWAĆ
WEJDŹ NA SZCZYT WIEŻY
A POTEM JESZCZE WYŻEJ
PRZEZ KLAPĘ W SUFICIE
TRAFISZ BEZ PROBLEMU

– Ale wieża jest za niska.

NIE DZISIAJ BEDDEOSIE

NIE DZISIAJ

Beddeos ruszył raźnym krokiem w górę i szybko okazało się, że Tyfon nie kłamał. Wieża miała znacznie więcej pięter niż kiedyś. Szedł i szedł, ale szczytu wciąż nie było widać. Rozbolały go nogi i kilka razy zatrzymywał się na krótkie odpoczynki, starał się jednak ich nie przedłużać. Upór się opłacił. W końcu wycieńczony dotarł na górę. Z okien rozciągał się oszałamiający widok na skalistą równinę i góry Quram, lecz nie było czasu, żeby go podziwiać. Słońce chyliło się ku zachodowi. Beddeos zdał sobie sprawę, że wejście tu zajęło mu niemal pół dnia. Nerwowo przełknął ślinę i wspiął się po metalowej drabince. Podniósł klapę w suficie i wszedł do ażurowej kuli. Jej ściany były zbudowane z obracających się kół zębatych, tykających wychwytów, wirujących rotorów, napiętych sprężyn, wiązek kabli i oddychających miechów. Klapa opadła i zatrzasnęła się z głośnym szczęknięciem. Mechanizmy weszły na wyższe obroty. Wnętrze Falkonetonu zaczęło delikatnie wibrować.

Beddeos podrapał się po głowie. Zwalczył pokusę opuszczenia krypty. Wziął kilka głębszych oddechów, by przegonić widmo paniki, i skupił się na oględzinach poszczególnych mechanizmów. Po chwili znalazł dwa koła zębate – jedno się kręciło, a drugie nie, i można je było połączyć w przekładnię. Beddeos nacisnął dźwignię, zazębione koła uruchomiły kolisty obiekt, który przetoczył się wzdłuż ażurowej rury, odbił się od blokady i wrócił do punktu wyjścia. Beddeos puścił dźwignię i przekładnia się rozłączyła. Przyjrzał się trasie kulistego obiektu. W połowie długości ażurowej rury była umieszczona przegroda otwierana niewielką dźwigienką, której nie dało się zablokować w pozycji otwartej, więc jeśli Beddeos chciał przemieścić kulisty obiekt dalej, musiał w tym samym momencie naciskać dwie dźwignie. Mógł jednak chwycić tylko jedną na raz, bo były za daleko od siebie.

Za przegrodą ażurowa rura przechodziła w krótką rynnę. Na jej końcu znajdował się otwór zablokowany kolejną przegrodą otwieraną za pomocą dźwigienki. Tuż pod nim wirował przysadzisty cylinder. Był ustawiony kolistą ścianką do góry i na jej powierzchni majaczyło coś ciemnego, niewyraźnego – rozmazanego wirowaniem cylindra. Prawdopodobnie

szeroka szczelina wydrążona wzdłuż okrągłego brzegu urządzenia lub pojedynczy otwór. Mogło to być zarówno jedno, jak i drugie.

– Sam tego nie uruchomię – mruknął zamyślony Beddeos.

Tuż przed nim, na miedzianej tarczy pokrytej drobnymi wypukłościami pojawiły się białe litery.

Trudno by było,
Bo nigdy nie jesteś
Sam.

– Dzięki tobie rzeczywiście tak jest.

Nie tylko.
Wszyscy jesteśmy
Przy tobie
Cały czas.

– Nieprawda. Kiedyś was nie znałem.

Co nie znaczy,
Że nas nie było.
Nieustannie
Czekaliśmy,
Czekamy
Na rozpoznanie.

– Pomożecie mi otworzyć przejście?

Nie musisz
Prosić o pomoc.
My to zrobisz.
Ty to zrobimy.
Jak chcesz się do tego
Zabrać?

– Wydaje mi się, że wiem, co trzeba zrobić. Coś, jakiś kulisty obiekt przetacza się z tego wylotu do wirującego cylindra. Muszę jednocześnie przytrzymać dźwignię, która uruchamia przekładnię, i tę mniejszą, która otwiera przegrodę. A potem wystarczy odblokować otwór nad cylindrem.

To chyba
Bardziej skomplikowane
Niż myślisz.

– Dlaczego?

W zasobniku jest pięć

Kulistych przedmiotów.
Każdy z nich jest kulisty
W trochę inny sposób
I pasuje tylko do jednego,
Konkretnego otworu
W cylindrze.
Trzeba je umieścić
We właściwych miejscach.

– To niewykonalne.

Kto tak twierdzi?

– Ja.

Nieprawda.
Jestem innego zdania.
Reszta też.

– Skąd wiesz?

Są tu z nami.

– Niemożliwe. Za mało miejsca.

Wystarczy, że ty się mieścisz.
Teraz musisz nas dopasować.

– Nie wiem, o czym mówisz, i przyzwyczaiłem się do tego. Szkoda jednak, że to w niczym nie pomaga. Co twoim zdaniem powinienem zrobić?

To proste.
Wiedza nie jest umiejętnością.
Bez względu na to,
Ile wyjaśnień
Usłyszałeś i usłyszysz,
Nie możesz zapominać,
Że sekret integracji
Kryje się w działaniu.
Rozumiesz?

– Chyba tak. Dlaczego Horta i Tyfon nie rozmawiają ze mną w taki sam sposób, jak ty?

To nie jest ich rola.
Przestań się zastanawiać,
Jak to wszystko działa,

Bo nic ci to nie da.
Potrafisz wyjaśnić,
Co sprawia, że mimowolnie
Nabierasz powietrza do płuc?

– Nie.

To nie zawracaj sobie tym głowy
I zacznij działać.

– Ale...

Teraz!

– Musimy...

Beddeos się zawahał. Nie mógł się skupić. Huraganowy napór chaotycznych myśli napierał na jego czaszkę. Jak je powstrzymać? Jak odzyskać jasność widzenia? Nagle przypomniał sobie dziwne zachowanie Tyfona, który powiedział, że podobnie jak Beddeos *wali na oślep, żeby naprawić to, co nigdy nie było zepsute,* i Tyfona z książki Alwy, któremu śniło się, że był zepsuty, ale nie wiedział, co się zepsuło.

I zrozumiał.

Dawnego Beddeosa już nie ma, ale on ze wszystkich sił próbuje utrzymać iluzję swojego przeszłego ja i podświadomie, wykorzystując wieloletnie nawyki, walczy ze zmianami, czyli naprawia to, co nigdy nie było zepsute. Jest taki, jaki chce być, a nie taki, jaki jest naprawdę. Stawiając opór, tylko pogarsza sytuację, pogłębia wewnętrzną niespójność i pomieszanie, uniemożliwia integrację odnalezionych elementów, blokuje przemianę. Ale błysk rozumienia w ułamku sekundy połączył wiedzę i działanie. Beddeos przestał się bronić przed huraganem poplątanych myśli. Rozluźnił się. Niech płyną!

Od razu wiedział, co robić.

Jego ciało się powiększyło i wypełniło wnętrze Falkonetonu. Był jednocześnie baktakiem, Hortą, Pilsh Durqiem i Tyfonem. Każdy wpasował się na swoje miejsce. Właśnie tam, gdzie trzeba. Dłonie z czarnego kwarcu sięgnęły do dźwigni. Jedna uwalniała owalne obiekty, a druga otwierała przegrody. Beddeos bez trudu rozpoznawał, jaki jest rodzaj kulistości każdego obiektu, i widział, do których otworów w cylindrze będą pasować – dla pewności podświetlał je sobie żółtą luminescencją. Zamknął cylinder w bąblu regulowanego czasu i spowolnił jego obroty. Nie mógł nie trafić.

Bezbłędnie umieścił w komorach cylindra pięć kulistych obiektów. Jeden po drugim.

Po piątym szczęknięciu cylinder wsunął się do szerokiej tulei w piaście zębatego walca, a ten błyskawicznie nabrał obrotów. Chwilę później Falkoneton zaczął się trząść od narastających wibracji. Beddeos czekał spokojnie. Miał wrażenie, że w tym przedstawieniu kryje się dodatkowa lekcja. Drgania osiągnęły apogeum i całe urządzenie rozpadło się na kawałki.

Na czystym, wieczornym niebie błyszczała rozedrgana iskra twierdzy Inabulusa Knalba. Wyostrzyła się i zgasła.

Beddeos wszedł do środka.

22

Spadł na twarz i zarył nosem w miękką darń. Przewrócił się na plecy. Sycząc z bólu, rozmasował żebra i kolano. Usiadł. Znajdował się we wnętrzu ogromnej szmaragdowej kuli. Jej ściany były półprzezroczyste i pełne nieregularnych, karbowanych wypukłości, które przypominały zeszklone pnie, gałęzie, liście. Dno kuli pokrywał okrągły spłacheć wilgotnej, błotnistej ziemi. W większości porastała go gęsta trawa, ale na samym środku stała wysoka kamienna pagoda. Miała dziewięć pięter. Najwyższe niemal dotykało szmaragdowego sklepienia. Szeroko otwarta brama zachęcała do wejścia, ale tuż za progiem kłębiła się nieprzenikniona, przelewająca się ciemność. Było w niej coś niepokojącego. Beddeos zdał sobie sprawę, że konsystencją przypomina mazzmę. Zaschło mu w gardle. Mimo to, wstał i na drżących nogach ruszył w jej stronę.

– Pilsh Durq? – szepnął. – Horta? Tyfon? Jesteście?

Nikt nie odpowiedział. Opuścili go? Dlaczego? Beddeos jeszcze nigdy nie czuł się taki samotny. Krok po kroku zanurzył się w ciemności. Z bliska nie była już taka groźna. Jego wzrok oswoił się z mrokiem i Beddeos zauważył szerokie schody. Zbliżył się do nich, ale natychmiast odskoczył przerażony, bo drogę zastąpiło mu coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak niski, nieforemny posąg. Gdy zawirowało, odchyliło się do tyłu i zrzuciło kaptur, okazało się, że to stara, przygarbiona kobieta, owinięta szarą opończą. Jej bystre oczy lśniły niebezpieczną inteligencją.

– Czego tu?! – warknęła.

– Ja... Szukam kogoś.

– Niby kogo?

– Inabulusa Knalba.
– Nie znam. Precz!
– Niedoczekanie! Kim jesteś?
– Nic ci do tego, Beddeosie.
– Skąd wiesz jak mam na imię?!
Starucha uśmiechnęła się chytrze.
– Każdy cię zna. Panie zagubiony.
– Słucham?
– Wciąż wierzysz, że możesz do nich wrócić, prawda?
– O czym ty mówisz?
– Kochanie, czy to ty? – szepnęła głosem Edny.
– Tatusiu, gdzie jesteś? – zapytała głosem Alwy.
Zimna pięść ścisnęła żołądek Beddeosa.
– Czemu mi to robisz? – jęknął.
– Czemu ty to sobie robisz, idioto?
Beddeos z chęcią zacisnąłby palce na chudej szyi staruchy, ale trochę się jej bał.
– Wystarczy tego! Wpuść mnie!
– Pomogę ci, jeśli będziesz chciał. Powiedz tylko słowo, a odeślę cię do twoich dziewczynek.
– Kłamiesz!
– Dlaczego miałabym to robić? Po co składać puste propozycje? W każdej chwili mogę cię przenieść do Yok Talop. Nie wahaj się. Drugiej okazji nie będzie. Czyż nie tego pragniesz?
Tak i nie.
Zimna pięść rozluźniła uchwyt. Beddeos od razu się uspokoił. Jeszcze niedawno wydawało mu się, że tak właśnie jest; że chce spędzić z Edną i Alwą resztę życia, ale powoli docierało do niego, że w ten sposób próbuje tylko uchwycić iluzoryczne projekcje, którym nadaje emocjonalny sens.
Nie. Nie podważał istnienia Edny i Alwy. One tu były. Bezdyskusyjnie. Nie miał żadnych wątpliwości. Nieustannie mu towarzyszyły, ale forma, jaką przyjęły, wynikała z jego percepcyjnych nawyków. Nie rozumiał tego procesu, lecz wiedział już, że to on kształtuje relacje z ukochanymi, a także istotami, z którymi dzieli fizyczną przestrzeń doświadczenia. Wpływa też na kształt samej przestrzeni. I to w każdym aspekcie jej manifestacji. Horta wyraził to wprost: „Emocje zawsze są prawdziwe. Tylko forma jest iluzją”.

I miał rację.

Beddeos kochał. Naprawdę kochał. Ale jego miłość była czymś innym. Czymś nieuchwytnym. Czymś, co z jakiegoś powodu wyglądało jak Edna i Alwa, lecz sięgało głębiej, wykraczało poza ich tożsamość, było znacznie większe i potężniejsze, niż sugerowała pozorna ulotność emocji. Beddeos rozumiał, że z nikim nie może się podzielić tą wiedzą, bo każde słowo zafałszuje jego uczucia, a tego nie chciał. Przypomniał sobie Tyfona, bohatera bajki Tossa, który odkrył, że wiedza, której szukał, przez cały czas była w zasięgu ręki. Tuż pod nosem. Ale była z niego i tylko dla niego. Choć niewytłumaczalnie promieniowała na innych.

Tak!

Istniał tylko jeden sposób, żeby pomóc Ednie, Alwie i reszcie ludzi. Musiał pomóc sobie. Musiał odsłonić prawdziwą naturę emocjonalnej manifestacji i dotrzeć do jej źródła.

Do miejsca, w którym rodzi się projekcja tego świata.

Do centrum samego siebie.

Do Kamiennej Ćmy.

Starucha cierpliwie czekała na jego odpowiedź.

Beddeos wzruszył ramionami.

– Tam ich nie znajdę.

– Dlaczego?

– Nie szukam cieni, tylko tych, którzy je rzucają.

Starucha uśmiechnęła się łagodnie.

– Idź. Czeka na ciebie – powiedziała, rozwiewając się w powietrzu.

Beddeos wszedł po schodach i znalazł się w pustym, przestronnym pomieszczeniu. Nikogo tam nie było. Wspiął się na kolejne piętro, które było bliźniaczo podobne do poprzedniego. Następne również. Wszystkie takie były. Puste i wietrzne. W końcu znalazł się na dziewiątym. Wyżej nie dało się wejść. Beddeos nie wiedział, co robić. Próbował otworzyć tablotesor, ale bez powodzenia. Mógł tylko wrócić na dół i jeszcze raz przeszukać każde piętro, choć nie było tam żadnych zakamarków, w których ktoś mógłby się ukryć. Nagle, silne przeczucie zatrzymało go na schodach. Przecież to miejsce w oczywisty sposób próbuje go zmusić do zmiany punktu widzenia; do przełamania mentalnych nawyków; do otwarcia na płynną i nieskodyfikowaną mądrość pustych przestrzeni. Już

samo to było dowodem, że Inabulus Knalb na pewno tu jest. W jakiś sposób.

– Czyżby?

Szepnął podmuch wiatru. Niósł głos dobiegający z innego piętra pagody:

– Skąd ta pewność?
Może znaczenie, które tu dostrzegasz,
Jest wyłącznie dzieckiem twojego umysłu,
Podobnie jak głos, który teraz słyszysz?

– To bez znaczenia. Świat i mój umysł stanowią nierozdzielną jednię, więc oddziaływanie z rzeczywistością zawsze jest interpretacją własnych symboli i własnych znaczeń.

– Sugerujesz, że szaleństwo
Nie różni się od mądrości?

– Istnieje różnica. Są pewne stałe punkty odniesienia. Muszę jeść i oddychać. Boję się mazzmy, która może mnie wchłonąć i pozbawić tożsamości. Zginę, jeśli spadnę z dużej wysokości. Mogę się bawić w różne interpretacje tych faktów, ale to nie zmienia ich natury i nie pozwala ich lekceważyć. Pozostają takie, jakie są. Od nich zależy moja egzystencja. Z nimi muszę się liczyć. Dopóki jestem tego świadom, pozostaję po stronie mądrości.

– Czy dlatego uciekasz przed mazzmą?
Uważasz, że stanowi zagrożenie?

– Strażnik to potwierdził.

– Kazał ci uciekać?

– To już nasz... mój pomysł.

– Coś mi to przypomina.
Znasz opowieść
„Co porusza wiatr?”.

– Nie.

– Jej autorem jest Tosso.
Łatwo się domyślić,
Że czytałeś jedną z jego historyjek.
Pamiętasz jej tytuł?

– Oczywiście. „Dlaczego kamień leży tam, gdzie leży?”.

– Ta jest zupełnie inna.
Opowiada o człowieku,

Który żył sobie spokojnie do dnia,
W którym usiadł przed domem,
Zamyślił się, patrząc na
Powiewające flagi,
I nagle odkrył, że nie wie
Czy to wiatr porusza flagami,
Czy flagi wiatrem?
To stało się jego obsesją.
Nie mógł się od tego uwolnić.
Zaczął podróżować po Usimie.
Od miasta do miasta.
Od pustelni do pustelni.
Od świątyni do świątyni.
Od wyroczni do wyroczni.
Poszukiwał mędrców,
Duchowych przewodników
I wybitnych badaczy
Doświadczeń zmysłowych.
Wszystkim zadawał
To samo pytanie:
„Czy to wiatr porusza flagami,
Czy flagi wiatrem?”.
Ale nikt nie znał
Przekonującej odpowiedzi.
Był coraz bardziej sfrustrowany.
Pewnego dnia trafił do
Maleńkiej wioski w górach.
Mieszkał tam stary,
Pomarszczony zamin,
Którego wszyscy tubylcy
Traktowali z najwyższym szacunkiem.
Uważali, że jest świętym mędrcem i cudotwórcą,
Ale on zachowywał się jak
Zdziecinniały starzec.
Taplał się w płytkim stawie,
Godzinami wygrzewał się na słońcu.

Cały czas chichotał i mamrotał do siebie.
A jeśli ktoś się do niego zbliżył,
Wydawał z siebie przeraźliwe wrzaski
I rzucał kamieniami lub gównem.
Nikogo to nie zniechęcało.
Wiele istot znosiło razy i poniżenia,
Żeby tylko złożyć mu ofiarę.
Przynosili tykwy wypełnione
Prażonymi ziarnami carvo,
Jadalne świece tiiqu,
Albo płaty suszonego mięsa.
Wędrowiec nie mógł uwierzyć
W to, co zobaczył.
Zdenerwował się.
Uznał, że trzeba pomóc mieszkańcom wioski
I jest na to tylko jeden sposób.
Należy obalić fałszywego bożka.
Pokazać, że nie ma żadnych mocy.
Niewiele myśląc, uzbroił się w długi kij
I podkradł się do starego zamina.
Wziął zamach, ale drewniana broń
Wzdrygnęła się w jego dłoniach.
Zamiast uderzyć,
Skurczyła się,
Zmieniła w coś małego, brzęczącego,
A potem zamigotała
I celnie ugodziła wędrowca między oczy.
Ocknął się na pustyni.
Błądził przez kilka dni.
Bez powodzenia polował na małe gryzonie.
Ssał wilgotny piasek.
Gdy dotarł do pasma skalistych wzgórz,
Rozpętała się burza piaskowa,
Która bezlitośnie smagała go po twarzy,
Darła ubranie, wciskała się do nosa i płuc.
Idąc na oślep, udało mu się znaleźć jaskinię.

Gdy wszedł do środka,
Okazało się, że jest zamieszkana.
Płonące pochodnie wisiały na ścianach.
Przyświecając sobie jedną z nich,
Zagłębił się w labiryncie korytarzy.
Ich ściany pokrywały
Powtarzające się rysunki
Pięcioramiennych gwiazd, trójkątów,
Kół, kwadratów i półksiężyców.
Hucząca burza piaskowa
Podążała za nim krok w krok.
Nagle znalazł się na brzegu
Podziemnego jeziora.
Z ciemnej wody
Bezszelestnie wynurzyła się
Głowa starego zamina.
„Przepraszam! Bardzo przepraszam!” –
Krzyknął wędrowiec.
„Błagam, zabierz mnie stąd!
Ta burza mnie zabije”.
Zamin spojrzał na niego zdziwiony
„Burza? Jaka burza?” –
Zapytał.
Wszystko ucichło.
Piasek opadł na ziemię.
Wędrowiec znalazł swoją odpowiedź.
W mgnieniu oka wrócił
Do górskiej wioski.
Przed oblicze szalonego zamina.
Nie zdążył się uchylić przed
Grudą zgniecionego gówna,
Która wylądowała mu na twarzy.
Nie czuł smrodu.
Patrzył, jak trzciny
Pochylają się na wietrze,
I wiedział już, że to ani wiatr

Nie porusza trzcinami,
Ani trzciny wiatrem.
Tylko on jest w ruchu.
Tylko ruch jest w ruchu,
Gdy porusza się umysł.
Wędrowiec z wdzięcznością
Pokłonił się przed zaminem.
Miał łzy w oczach.
Wrócił do domu
Otoczony aureolą smrodu.
Nosił ją z uśmiechem.

Beddeos nie próbował ukryć konsternacji.

– Nie rozumiem związku... – mruknął. – To przecież nie ma ze mną nic wspólnego.

– Nic nie ma.
Nawet podpowiedzi, które odkryłeś
W opowieści o Tyfonie,
Tak naprawdę nie istnieją
W oderwaniu od ciebie.
Chyba nie sądziłeś,
Że oddziaływanie z rzeczywistością
Opiera się na trwałych pewnikach
Czy jednoznacznych interpretacjach?
Tylko mrowie drobnych sugestii
Docierających z sensorium
I naturalne lgnięcie umysłu
Nabudowują płynny, nieuchwytny sens.
Twój sens.

– Jak mam to rozumieć?

– Słuchałeś uważnie?

– Tak. Chyba...

– Pamiętasz, co było narysowane na ścianach jaskini?

– Pięcioramienne gwiazdy, trójkąty, koła, kwadraty i półksiężyce.

– Doskonale.
Widziałeś mój pentakl?
Symbol, który mnie reprezentuje?

– Był na skrzyni z Falkonetonem.

– Potrafisz go opisać?

– To pięcioramienna gwiazda.

– Jest coś, co łączy tamte rysunki z moim pentaklem?

– Gwiazda i...

– Tak?

– Pięć ramion gwiazdy i pięć obiektów.

– Zgadza się, ale co to znaczy?

– Nie powiesz mi, prawda?

– Przecież już wiesz. Wiecie.

– Może tak, ale oni milczą... Zaraz, przypomniało mi się, że wewnątrz Falkonetonu też było pięć kulistych obiektów, które trzeba było dopasować do... czy to my? Czy dzięki twojej maszynie połączyłem się z nimi na stałe? Nie, to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Tyfon, Horta, baktak i Pilsh Durq to cztery elementy. Gdzie piąty?

– Chyba o kimś zapomniałeś.

– Nikogo więcej nie było. Tylko ja, Tyfon, Horta... Ja?

– A jednak.
Co prawda, opowiedziałem
Tę historię w innym celu,
Ale głębsze znaczenia
Też w tobie dojrzeją.
Na razie potrzebujesz
Silnej świadomości integracji.
Przyjaciele umilkli,
Bo już nie muszą się z tobą komunikować.
Stali się częścią ciebie.
Ich myśli są twoimi myślami.
A twoje myśli są ich myślami.

– To dlaczego nie czuję żadnej różnicy?

Wiatr przyniósł śmiech Knalba, a dopiero potem jego słowa.

– Nic się nie zmieniło,
Jak zatem możesz czuć jakąkolwiek różnicę?
Od urodzenia byłeś kompletny,
Ale poszczególne elementy

Nie wiedziały o swoim istnieniu.
Jestem siłą,
Która pomaga im się odnaleźć i połączyć;
Która rekonstruuje właściwy stan rzeczy.
Lecz nic nie mogę zrobić,
Gdy między elementami
Nie ma przyciągania.
Bo można je wspomóc w integracji,
Lecz nie da się ich do niczego zmusić.
Cały czas obserwuję ludzi
I wysyłam błogosławieństwa wszystkim,
Którzy zostali wytrąceni
Z bezpiecznych kolein nawykowej egzystencji.
To ich konfunduje jeszcze bardziej,
W zamian zyskują możliwość
Całkowitego przekształcenia
Swojego życia.
Możliwość ryzykowną, niebezpieczną,
Ale jedyną, która prowadzi
Do odzyskania utraconego
Człowieczeństwa.

– Banicja w iluzorycznej wieży to idealna okazja.

– Mimo to, niewielu strażników
Zareagowało na moje błogosławieństwa
I podszepty elementów.
Prawdę mówiąc, tylko dwóch.
Ty oraz...

– Tosso?

– Wiedziałem, że się domyślisz.
Wiele lat temu wszedł na Ścieżkę Przeskoku
I dotarł do Kamiennej Ćmy w Potrak.
Tobie też się uda.

– Chciałbym mieć twoją pewność.

– Ależ masz!
Inaczej by cię tu nie było.
Teraz już nic nie może cię powstrzymać.

Musisz wiedzieć, że twoje postępy
Na Ścieżce Przeskoku
Wzmacniają więź między
Kamienną Ćmą
I ludźmi na Usimie.
Nawet gomole czują,
Że coś się zmienia.
Nie możesz się wahać,
Nie możesz się zatrzymać,
Bo takie istoty jak ty i Tosso
Czerpią siłę z czegoś
Unikatowego i bezcennego.
Nie wolno ci zmarnować tego daru.

– Podobno, ale wciąż nie wiem, co to jest?

– Talent tłumaczy się swoją umiejętnością.
Przekonaj się.
Zejdź na najniższe piętro pagody,
Znajdź pentakl narysowany na podłodze,
Oczyść go i otwórz.
Idź za głosem Kamiennej Ćmy.

Beddeos zbiegł po schodach i zaczął szukać. Zajęło mu to tylko chwilę, jakby dokładnie wiedział, gdzie go znajdzie. Pentakl był częściowo przykryty cienką warstwą kurzu. W jego pięciokątne wnętrze były wpisane kwadrat, koło, trójkąt i mały półksiężyc. Beddeos dotknął symbolu i wyczuł pod palcami krawędzie narysowanych obiektów. Przypomniał sobie skrzynię z Falkonetonem i nacisnął centralną cześć symbolu. Pięciokąt wsunął się w kamienną podłogę, która pękła i otworzyła się jak zapadnia. Daleko w dole zobaczył wypukłą tarczę Usimy.

23

Nie spadł. Zamknął oczy. A gdy je otworzył, stał na powierzchni Usimy, wśród niskich wzgórz porośniętych rzadką, wypłowiałą trawą i pojedynczych drzew – karłowatych, skulonych przed wiatrem. Teren przypominał pustynne pogranicze, którego strzegła widmowa wieża Beddeosa. A jednocześnie był zupełnie inny. Niepokojący. Bardziej wyjałowiony. Pusty. Żadnych zwierząt, tylko kruche rośliny wypalone przez słońce. Nic, co odciągnęłoby jego uwagę od wewnętrznego rozedrgania.

Po integracji odzyskanych elementów tożsamość Beddeosa stała się rozchwiana i niestabilna, jakby jej poszczególne części nie mogły się dopasować. Nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje. Czy nie powinno być odwrotnie? Walczył z tym. Próbował zapanować nad rozedrganiem, stawić mu opór, uspokoić, ale to tylko pogarszało sytuację. W końcu przestał się siłować. Nie wiedział, co zrobić, więc zostawił tak, jak było.

Trzepot Kamiennej Ćmy był tu głośniejszy niż gdziekolwiek wcześniej. Beddeos skupił się na nim. Chciał się dowiedzieć, z której strony dobiega ten dźwięk, i wspiął się na najbliższe wzgórze. Mimo to, nie potrafił określić kierunku, bo trzepot wypełniał powietrze jednolitą wibracją. Zamiast tego odkrył, że kilka pagórków dalej, coś, czego nie widzi, promieniuje silnym, miedzianym blaskiem. Nagle powróciło znajome uczucie rozpoznania, które przenikało go, gdy zbliżał się do Kavora, i Beddeos zrozumiał, co się tam kryje.

Zbiegł w dół, przeciął zbocze kolejnego wzgórza i stanął na powierzchni ogromnej miedzianej tarczy. Była wypukła, jak wynurzający się z ziemi

czubek zakopanej kuli. Na jej gładkiej powierzchni wyświetlał się ruchomy obraz, przedstawiający tytaniczną bitwę, w której brały udział tysiące przedziwnych istot. Tu wszyscy walczyli ze wszystkimi. Były tam kolczaste promienie światła rozrywane szponami bazaltowych ptaków, amorficzne pąkle zamknięte w mechanicznych pancerzach, a mimo to, miażdżone wilgotnym oddechem brązowej mgły, pioruny owinięte wokół ognistych grzybów, chmury, z których padały deszcze kamieni, lawy i pyłu zmieniającego segmentowe wężoidy w wypalone rzeźby. A także rzeczy o nieuchwytnym kształcie, pełzające po niebie i rozszarpujące błękit, zza którego wyłaniało się coś, co miało słyszalny wygląd i wydawało widzialny dźwięk.

Niestety, nie było ludzi.

Beddeos szedł jak zahipnotyzowany. Deptał po ruchomych obrazach walczących istot, podświetlonych od dołu płynnym, miedzianym blaskiem. Nie mógł oderwać od nich wzroku. Domyślał się, że to musi być kolejna Głębina, ale nie rozumiał jej przekazu. Z zamyślenia wyrwał go dopiero głośny huk. Uniósł głowę i nagle wszedł w liczną grupę małych stworzeń, które zbiły się w ciasną gromadę i, drżąc, tuliły się do siebie.

Beddeos zamarł. Przecież to trutle! Skąd się tu wzięły? Kolejny huk i tąpnięcie. Spojrzał ponad skulonymi trutlami i zbladł. Między niezbyt odległymi pagórkami leżał na boku rozszarpany tagrus. Jego skorupa była połamana, wnętrze wydrążone, a wokół leżało mnóstwo wiórów wymieszanych ze zmasakrowanymi ciałami trutli. Mimo to, tagrus wciąż próbował wstać. Drzewiaste nogi unosiły się, uderzały o siebie, szukały oparcia w piaszczystej glebie, starały się dźwignąć drewnianego giganta. I dałyby radę, gdyby nie to, że na tagrusie stały trzy wielkie, przerażające stwory. Wszystkie wyglądały tak samo. Z krabowatej, sześcionogiej podstawy, pokrytej kolczastą chityną, wyrastało coś na kształt grubej i wysokiej szyi, zbudowanej z półprzezroczystej, wręcz niematerialnej ektoplazmy, którą zwieńczała pancerna i bezoka głowa, przypominająca wielki, drapieżnie zakrzywiony dziób.

Te dzioby sięgały do wnętrza tagrusa, wyszarpywały drewnianą miazgę razem z trutlami i robiły z nich krwawą papkę, która bledła powoli w przezroczystych szyjach i znikała bez śladu. Zimne ciarki przebiegły po plecach Beddeosa. Nie miał pojęcia, co to za stwory, ale było ich bardzo dużo. Krążyły wśród wzgórz. Mimo swoich rozmiarów poruszały się

szybko i trudno było stwierdzić, ile dokładnie ich jest. Na szczęście, żaden z nich nie zbliżał się do Głębiny. Wydawało się, że instynktownie unikają tego miejsca. Mimo to, Beddeos nie czuł się bezpiecznie.

Coś szarpnęło go za rękaw. Opuścił wzrok. Jeden z trutli stanął na dwóch nogach i wpatrywał się w niego smutnym wzrokiem. Na pierwszy rzut oka niczym nie różnił się od reszty pobratymców, a jednak było w nim coś innego. Nagłe zrozumienie wypełniło Beddeosa gorącymi emocjami. Klęknął i przytulił trutla.

– Przepraszam, Tahu, nie poznałem cię. Co wy tu robicie? Dlaczego weszliście w głąb interioru?

– Krakeny odcięły nam drogę. Uciekaliśmy, ale nas dopadły.

– A więc to są lądowe krakeny. – Beddeosa olśniło. – Nigdy ich nie widziałem...

– Zazwyczaj trzymają się z daleka od pogranicza wymarłego cesarstwa i nie atakują nikogo z glejtem, ale te zachowują się zupełnie inaczej. Są bardzo agresywne i współpracują ze sobą. Zauważyliśmy również, że w odróżnieniu od zwykłych krakenów mają na głowach czarne narośle.

– Co?

Beddeos zerwał się na równe nogi. Zwarta grupa trutli lękliwie odsunęła się od niego. Uniósł lunetę i spojrzał na najbliższego krakena. Zrozumiał, co robi, gdy zaczął ustawiać ostrość. Odsunął przyrząd od twarzy i zważył go w dłoni.

– Widziałeś to?

– Tak, z tyłu głowy każdy z nich...

– Nie to. Właśnie użyłem lunety. Widziałeś?

– To chyba normalne, chciałeś się przyjrzeć...

– No tak, ale skąd ją wziąłem? Przecież to był widmowy przedmiot, część iluzji.

– Nie wiem, o czym mówisz. Wyjąłeś z torby.

– Ale ja nie mam torby...

– Masz.

Beddeos ze zdumieniem stwierdził, że Tahu ma rację. Miał torbę. Na pojedynczym pasku. Taką samą, jaką nosił, gdy był strażnikiem w wieży.

Jakim cudem?

– Dziwne... – mruknął.

– Widziałem dziwniejsze rzeczy.

– Być może...

Zawiesił głos. Nie miał ochoty kończyć myśli. Pojawienie się torby i lunety uruchomiło orzeźwiający nurt luźnych skojarzeń, które płynęły dla samych siebie, kierowane bezosobowym instynktem. Jakby bez związku z jego osobą. Pozwolił im. Ten nurt koił jego wewnętrzne rozedrganie.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Tahu. – Jesteś jakiś inny...

– Potrafisz powiedzieć, na czym polega różnica?

– Nie wiem. To coś... ulotnego.

Beddeos zachichotał. Trutle spojrzały na niego jak na szaleńca. Bardzo chciał opowiedzieć przyjacielowi o wszystkim, co przeżył; o wszystkim, co się zmieniło, ale nie wiedział, od czego zacząć i jak mu to wytłumaczyć. Nie pomagało również to, że sam nie bardzo rozumiał, co się z nim dzieje. Pomyślał jednak, że miejsce, w którym się znaleźli, może mu pomóc w wyjaśnieniach. Wskazał palcem na ruchome obrazy pod ich stopami.

– Widziałeś kiedyś coś równie niesamowitego? – zapytał.

Tachu spojrzał w dół, a potem rozejrzał się na boki.

– Równie gładki kamień, jak ten, na którym stoimy?

– Nie widzisz ruchomych obrazów? Tu, na dole?

– To tylko zwykły głaz, Beddeosie. Na pewno dobrze się czujesz?

Orzeźwiający nurt skojarzeń gwałtownie przyśpieszył. Beddeos zadrżał, jakby w ostatniej chwili zatrzymał się tuż przed głęboką przepaścią niezrozumienia, która ich dzieliła, i zakręciło mu się w głowie. Zawahał się. Postanowił natychmiast zmienić temat, ale Tahu zrobił to za niego.

– A ty jak tu dotarłeś? Zostawiłeś Tyfona w wieży?

– To długa historia...

– Mamy czas.

– Nie. Nie mamy. – Beddeos przyłożył lunetę do oka. – Gdzie mają te narośle?

– Na głowach. Z tyłu.

Beddeos ustawił ostrość i przyjrzał się głowie jednego z krakenów, który stał na konającym tagrusie. Coś tam było. Wyglądało jak czarna gruda z odnóżami. Jakby wżarty pasożyt, albo... Beddeos obejrzał również inne krakeny, które kręciły się w zasięgu wzroku, a potem schował lunetę do torby. Wartki nurt skojarzeń podsunął mu odpowiedź.

Wszystko ma znaczenie. Wszystko może być wskazówką.

Dlaczego nie dostrzegł krakenów z daleka?

Dlaczego on i trutle znaleźli się tu w tym samym czasie?

Dlaczego te potwory mają na głowach mazzmę i ikri?

Czy przelewająca się chmura mazzmy rzeczywiście go goniła?

Jak odróżnić przypadek od manipulacji?

Beddeos spojrzał na Tahu i zapytał:

– Dlaczego schroniliście się na tym kamieniu, skoro niczym się nie wyróżnia?

– Nie wiem. Chyba mieliśmy szczęście. Biegliśmy na oślep. Potem nas otoczyły, ale okazało się, że z jakiegoś powodu nie chcą tu wejść.

– Rozumiem...

Nagle zintegrowane elementy się ustabilizowały.

Beddeos nie musiał już dociekać zasadności swoich działań. Był zbiorem tańczących mocy, pozostających w spontanicznej równowadze. Gdy próbował je zawłaszczyć, narzucić im kontrolę i koncepcyjny porządek, natychmiast się buntowały, wchodziły sobie w drogę, stawały się źródłem pomieszania. Jednakże, gdy całkowicie zaniechał wysiłków, zapomniał o celu i pozwolił im tańczyć...

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami. Czuł błogi przepływ. Był błogim przepływem. Delikatnie położył dłoń na ramieniu Tahu.

– Nie zapomnij mnie, przyjacielu. Nie zapomnij tego, co się zaraz stanie. I nie szukaj wieży. Nigdy jej nie było.

Ton jego głosu sprawił, że Tahu spoważniał.

– A co było? – zapytał.

– Ja. Przyjacielu. To wszystko ja. Czy Najstarszy przeżył?

– Nie miał tyle szczęścia, co my...

– Wybraliście następcę?

– Jeszcze nie.

– W takim razie ty musisz mi obiecać, że nigdy więcej nie przekroczycie granicy wymarłego cesarstwa.

Przygarbiony Tahu emanował smutkiem.

– Po co? Przecież i tak wszyscy skończymy w dziobach krakenów.

– Mylisz się. Żywi wrócą do Tarhanu. Za chwilę.

– O czym ty mówisz?! Nie widzisz, co się dzieje?! Obudź się wreszcie!

– Już to zrobiłem. Właśnie na tym polega ulotna różnica, której nie potrafisz uchwycić.

– Ty, ty mówisz poważnie... – Tahu cofnął się przerażony. – Czym jesteś? Co zrobiłeś z Beddeosem.

– Nie bój się. To naprawdę ja. Ale znałeś tylko mój cień. Teraz jestem kompletnym człowiekiem. Żegnaj.

– Co się stanie?

– Każdy pójdzie swoją drogą i chyba już nigdy się nie zobaczymy. Przytul mnie. Potrzebuję tego.

Tahu zawahał się, ale jednak skoczył na Beddeosa i objął go malutkimi, dziecięcymi rączkami, które przypomniały Beddeosowi Alwę. Człowiek poczuł na policzkach gorące łzy. Żadne słowa nie wyraziłyby jego emocji w lepszy sposób.

– W tagrusie na pewno są jeszcze żywi. Nie możemy ich tam zostawić – szepnął Tahu.

– Widzę ich wszystkich. Nie martw się. Żadnego nie pominę.

Beddeos odchylił głowę do tyłu i spojrzał trutlowi głęboko w oczy. Migotało tam coś ulotnie prawdziwego; coś, czego nie da się zamknąć w ciasnych ramach konkretnych znaczeń.

– Czy ty...

– Tak, Tahu. Już czas.

W jednej chwili Beddeos został sam. Lądowe krakeny zatrzymały się i obróciły głowy w jego stronę. Mógł je wywrócić na drugą stronę, zamknąć w bąblu spowolnionego czasu albo zmiażdżyć zagęszczonym powietrzem, ale tego nie zrobił. Wstał. Otrzepał spodnie z piasku i zszedł z Głębiny, która wciąż migotała ruchomymi obrazami walczących istot. Nie poszukując ich znaczenia, Beddeos przyswoił bezpośredni, pozawerbalny przekaz i ruszył przed siebie. Szedł powoli, ale krakeny nie mogły go dopaść. Wbijały dzioby w piasek. Wściekle gryzły powietrze. On jednak zawsze znajdował się w innym miejscu i był dla nich nieuchwytny.

Beddeos mógł je tu zostawić, lecz wiedział, że nie wolno mu tego robić, bo nie na tym polega podążanie Ścieżką Przeskoku.

Szeptała o tym Głębina.

Tańczyły o tym zintegrowane elementy.

Były zgodne, że walka z wytworami własnego umysłu jest równie bezsensowna jak uciekanie przed nimi. Dlatego, bez względu na wszystko, Beddeos musi zaprowadzić krakeny tam, gdzie nawet najpotworniejsze manifestacje człowieczeństwa ukazują swoją prawdziwą naturę.

Kamienna ćma

24

Miłość?

Gniew?

Zazdrość?

Nienawiść?

Współczucie?

Co się za nimi kryje?

Co kryje się za siłami, które tworzą iluzję osobowości?

Czy każda odpowiedź przynosi kolejne pytania?

Jak obejść je wszystkie?

Jak w jednym skoku dotrzeć do sprawczej przyczyny bycia?

Beddeos minął wzgórza i wszedł na rozległą równinę – twardą gładź spękanej ziemi, która sięgała horyzontu i jakby wibrowała trzepotem Kamiennej Ćmy. Zatrzymał się. Przed nim, zza linii wyznaczającej granicę między ziemią i niebem, wyłaniały się cyklopowe monolity Potrak. Lśniły w słońcu kryształową czernią i płynnym srebrem przelewającym się w trzewiach krzemowych pylonów. Beddeos ruszył w stronę starożytnego miasta.

Krakeny przestały go atakować, ale wciąż podążały jego śladem, zachowując przy tym spory dystans, jakby nie mogły się zdecydować, czy go zostawić i poszukać nowej zdobyczy, czy też ponowić atak. Beddeos nie zwracał już na nie uwagi. Coś mu mówiło, że go nie zostawią i będą mu towarzyszyć do samego końca.

Szedł przed siebie przez cały dzień i ani trochę nie zbliżył się do Potrak. Gdy zapadł zmierzch, wyjął z torby koc i rozłożył go na twardej,

wyschniętej ziemi. Położył się. Spróbował otworzyć tablotesor, ale nic się nie stało, jakby bezpowrotnie utracił do niego dostęp. Gwiazdy rozsypały się na nocnym niebie. Beddeos opatulił się kocem, umościł głowę na torbie i zamknął oczy. Myślał, że nie uda mu się zasnąć, ale chwilę później na powierzchni świadomości został tylko ciężki, chrapliwy oddech.

Nagle otworzył oczy. Coś go obudziło. Przez moment nie wiedział, gdzie jest. Wszystko tonęło w błękitnej poświacie. Beddeos usiadł. Mówca wypełniał swym ogromem większość nocnego nieba. Krakeny kołysały się w jego blasku. W jego namacalnej obecności. Było ich znacznie więcej niż wtedy, gdy Beddeos zasypiał – tysiące, prawdziwa armia dziobogłowych stworów. Otaczały go szerokim kręgiem, jakby chciały strzec jego snu. Ale było coś jeszcze. W przestrzeni między Beddeosem i krakenami falowały niewielkie słupy rozedrganego powietrza, albo kolumny szarego pyłu. Jeden zbliżył się do niego. Beddeos wstał. Wyczuwał rozproszenie tej istoty. Jej lęk i wysiłek, z jakim nieustannie walczy, by utrzymać swój ulotny kształt i nie rozpuścić się w powietrzu.

– Błyszczysz – szepnęła kolumna ospale wirującego pyłu. – Przyciągnąłeś nas swoim blaskiem.

– Kim jesteście? – zapytał Beddeos.

– Nie wiemy, nie pamiętamy...

– Zawsze tacy byliście?

Beddeos zaczynał nabierać podejrzeń.

– Ja... my... nie wiem... twój blask...

– Jak się nazywasz? Czego ode mnie chcesz?

– Nie mam pojęcia. Roztaczasz znajome, kojące światło. Mogę się przy nim ogrzać?

Tyle wystarczyło, by zrozumieć. Beddeos poczuł bolesny ucisk w gardle, twardą kulę żalu, której nie potrafił przełknąć.

– Masz na imię Abret.

– Ja? Być może...

Beddeos zdołał wreszcie przełknąć ślinę i drżącym z emocji głosem wykrztusił:

– Chcę cię o coś prosić.

– Jestem zbyt słaby, żeby w czymś pomóc.

– Nieprawda – zaprzeczył twardo Beddeos.

Rozejrzał się dookoła. Otaczały go dziesiątki, może nawet setki widm, energetycznych cieni, zagubionych pozostałości po tych, którzy kiedyś byli ludźmi, ale bliski kontakt z Głębinami odarł ich z cielesności i przetworzył. Cóż za straszny los! Zdenerwował się. Być może, gdyby kobiety wiedziały, co się dzieje ze skazanymi na zbyt długie przebywanie na orbicie Kavora, zrezygnowałyby ze stosowania tej kary. Miał ochotę im to pokazać, sprowadzić je tu i zostawić na tym pustkowiu razem z ofiarami ich knowań, lecz gwałtowna fala wściekłości zniknęła równie szybko jak się pojawiła. Nie ufał już tym porywom emocji. Przychodziły zbyt łatwo, jakby nie chciały dopuścić, żeby to, z czego się rodzą, z czego się wyłaniają, mogło zostać dostrzeżone. Beddeos pokręcił głową. Wiedział, że nic nie uchroni człowieka od bycia człowiekiem. Westchnął i powiedział:

– Przekaż wszystkim, że muszą pójść ze mną do Potrak.

– To niemożliwe. Tam jest zbyt jasno. To nas zabije.

– Nie, uzdrowi. Nie bójcie się. Pomogę wam przez to przejść.

– Jesteśmy za słabi. Nie damy rady tam dotrzeć.

– Bez pośpiechu, krok po kroku, krok po kroku i dojdziemy. Ruszajmy, ruszajmy od razu. Nie zostawię was tutaj.

– Nie muszę ich pytać. Oni nas słyszą. Wielu chciałoby spróbować, lecz boją się, że strażnik nas nie przepuści.

– Strażnik? Jaki strażnik? Przecież Potrak jest blisko, w zasięgu wzroku. Nie chroni go żaden mur. Wystarczy cały czas iść prosto i w końcu dotrzemy do celu.

– Bez jego zgody nikt nie wejdzie do miasta. Będziemy szli przez całą wieczność, a Potrak wciąż będzie się oddalać.

W pierwszej chwili Beddeos pomyślał, że to jakaś sztuczka, albo podstęp, który ma doprowadzić do tego, że zejdzie ze Ścieżki Przeskoku, zgubi się lub wpadnie w pułapkę. Przypomniał sobie jednak całodniowy marsz, który w żaden sposób nie przybliżył go do miasta, i zrozumiał, że balansujący na granicy istnienia cień Abreta mówi prawdę.

– Gdzie jest ten strażnik? – zapytał Beddeos.

– Mieszka na Glyfie.

– Pokażecie mi, gdzie to jest?

– Tak. Niedaleko.

Beddeos złożył koc i upchnął go w torbie. Słupy falującego powietrza, te zwiewne, cierpiące, wydrążone obecności ludzi, pochyliły się i wolno

popłynęły w lewo. Krakeny rozstąpiły się przed nimi. Początkowo otworzyła się tylko wąska dróżka między szpalerami ogromnych stworów, ale z każdą chwilą robiła się coraz szersza, aż w końcu krakeny zbiły się w stado za plecami Beddeosa i podążały za nim, utrzymując stały dystans.

Szli wzdłuż Potrak. Miasto cały czas majaczyło na krawędzi horyzontu. Mówca zbladł i odszedł. Zaczęło świtać. Wstające słońce rozświetliło nieliczne chmury i coś wśród nich – kryształowe kule roziskrzone mnóstwem faset i najeżone tworami przypominającymi szklane rośliny, albo pełne ostrych krawędzi pinakle, które wypączkowały z wzorów, jakie mróz maluje na oknach. Skakała po nich ostra, elektryczna biel. Beddeos nie musiał pytać, co to jest. Forma mówiła sama za siebie. Kryształowe Anteny dryfowały wysoko nad jego głową. Poranny wiatr pchał je na wschód. W żaden sposób nie zareagowały na obecność Beddeosa, krakenów i cieni. Jakby nikogo tu nie było. Jakby gładka równina była pusta.

Beddeos patrzył na nie zadumany i przez chwilę wydawało mu się, że dostrzegł to, z czego wyrastają jego emocje, które niczym liście na drzewie zasłaniają gałęzie i pień, czyli wszystko, co je tworzy, żywi, podtrzymuje. Ale nic z tego. Znowu jego uwaga przykleiła się do miłości, gniewu, zazdrości, nienawiści i współczucia; do miękkich, zielonych liści falujących w podmuchach niewyczuwalnej bryzy.

Wczesnym popołudniem, gdy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, w zasięgu wzroku pojawił się dziwny obiekt – odwrócony stożek, wirujący nad równiną jak spowolniona trąba powietrzna zamknięta w bąblu ślimaczego czasu. Promieniował aurą rozpoznania. Cienie nie chciały się do niego zbliżyć. Krekeny wycofały się nerwowo. Beddeos przełknął ślinę. Od tej Głębiny biła potęga, która odbierała mu pewność siebie. Kim jest istota, która żyje w takim miejscu? Albo czym?

– To Glyf – szepnął cień Abreta. – Strażnik mieszka na górze. Nie możemy tam z tobą pójść.

– Poczekajcie na mnie – odparł Beddeos. – Przekonam go, żeby nas wpuścił.

Nikt nie życzył mu powodzenia. Cienie odsunęły się od niego w ponurym milczeniu. Beddeos dotknął mentalnie górnej części Glyfa i wyczuł tam twardą powierzchnię poruszającą się w innej fazie czasowej. Zsynchronizował się z nią i skoczył.

Znalazł się na okrągłym kawałku kamienistego gruntu porośniętego rzadkimi kępami rachitycznych krzaków, składających się głównie z długich brązowych kolców. Nieco dalej, na sporym płaskim kamieniu był rozłożony mały skórzany namiot, przed którym tliło się przygasające ognisko. Płachta zamykająca wejście do namiotu była odchylona i z daleka było widać, że w środku jest pusto. Beddeos podszedł do niego niepewnie i rozejrzał się na boki. Dopiero teraz zauważył, że stojąc na Glyfie, odnosiło się wrażenie, że to nie Głębina się porusza, ale świat obraca się wokół niej. Chociaż prawda była zupełnie inna. A może nie?

– Wszyscy się nad tym zastanawiają.

Głos, który wyrwał Beddeosa z zamyślenia, należał do wysokiej, człekokształtnej istoty, która nagle zmaterializowała się tuż obok niego. Miała żółtobiałą skórę, kolorem i fakturą przypominającą starą kość. Była niezwykle chuda, patykowata, o długich rękach sięgających do samej ziemi, i naga, jeśli nie liczyć skórzanej przepaski na biodrach. Jej głowa była zupełnie gładka, jak okrągły kamień pozbawiony jakichkolwiek otworów, ale utrzymywał się na niej blady, półprzezroczysty obraz ludzkiej twarzy, która szczelnie oklejała gładką czaszkę. Widmowa twarz uśmiechała się do Beddeosa.

– Wszyscy się nad tym zastanawiają – powtórzyła istota.

– Nad czym? – wykrztusił z trudem Beddeos, który dygotał w podmuchach bijącej od niej mocy i nie mógł się skupić.

Na krawędzi wzroku migotały mu srebrne wyładowania, iskry energii, układające się w skomplikowane, symetrycznie przelewające się wzory.

– Co się obraca? Glyf czy świat? Jak myślisz, Beddeosie?

Beddeos nie zdziwił się, że strażnik zna jego imię. Był pewien, że starucha, która pilnuje wejścia do wieży Inabulusa Knalba, mówiła prawdę: każdy zna pana zagubionego.

– Ja... Nie wiem. Niedawno ktoś opowiedział mi historię o człowieku, który szukał odpowiedzi na pytanie: czy to wiatr porusza flagami, czy flagi wiatrem?

– Znam ją. Jest piękna.

– Może i tak, ale nie wiem, czy ją rozumiem.

– Bo to tylko opowieść.

– Mimo to, wciąż nic z tego... Czy ty jesteś strażnikiem Potrak?

– Tak, Beddeosie. Chodź, pomożesz mi przynieść chrust.

Razem okrążyli płaski głaz, na którym był rozbity namiot, i podeszli do kryjącej się za nim sterty połamanych krzaków.

– Nadstaw ręce – powiedział strażnik.

Beddeos wykonał polecenie i po chwili siedzieli razem przy ognisku, które, sycząc, pochłaniało kolczaste, wyschnięte na słońcu gałązki.

– Spójrz, jak tam na dole obraca się równina, obraca się świat. Razem z cieniami, krakenami i zarysem Potrak. To prawdziwe, niewypowiedziane pytanie, które wymaga odpowiedzi. Opowieści to tylko opowieści – sugestie, podpowiedzi, aluzje, porady, czyli nic, co mogłoby zastąpić działanie, które podejmujesz w obliczu wyzwania. To właśnie ten rodzaj odpowiedzi powinien cię interesować najbardziej. Rozumiesz?

– Nie wiem.

– W takim razie nigdy nie wejdziesz do Potrak.

– Dlaczego nie chcesz mnie wpuścić?

– Nie jestem takim strażnikiem, za jakiego mnie uważasz. Ja nie decyduję o tym, czy kogoś wpuścić, czy nie. Ty sam musisz się wpuścić. Ja mogę tylko pomóc. Jesteś na dobrej drodze. Otwarty, wyczulony i z rosnącą samoświadomością, mogłeś przeskoczyć nad niektórymi Głębinami i szybko dotarłeś aż tutaj. Milczący strażnik Kavora, mistrz Aram, opiekun Usimy zamieszkujący Mówcę, Inabulus Knalb, amorficzny strażnik-obraz przyczajony w Plat i lubujący się w ukazywaniu nieustannej walki, jaką materia toczy sama ze sobą, oraz elementy, które zintegrowałeś, bardzo dobrze cię odczytali i potrafili zaangażować w grę strachu, pogoni i napięć, zgodną z wzorcem twojej osobowości. Wszystko to popychało cię w rozwoju i zmuszało do działania. Ale ich praca się skończyła. Zapomnij o nich. Teraz jesteś tylko ty. I jeśli wciąż będziesz dreptał wokół ich opowieści, rad i projekcji, to nigdy nie zdołasz wkroczyć do Potrak. Nie mówiąc już o tych, którzy na ciebie czekają, bo rozbudziłeś w nich iskierkę nadziei.

– Nie było żadnej pogoni, prawda? Mazzma nigdy nie opuściła Ak-By?

– Nie. Wciąż tam jest i drenuje ludzi.

– A te czarne narośle na głowach krakenów?

– To mazzma, która pochodzi z zupełnie innego Jądra i symbiotycznie łączy się z krakenami i ikri. Wyczuwa zagrożenie z twojej strony i chce cię dopaść, ale już od dawna jesteś poza zasięgiem twoich wrogów. Ich agresja wynika z bezsilności. Trutle ucierpiały przez przypadek. Albo i nie.

– Zatem to był przypadek czy nie?

– Ty mi powiedz, Beddeosie. Kto może wiedzieć lepiej od ciebie? Przecież to nie ja spiskuję sam ze sobą, żeby dotrzeć do Kamiennej Ćmy.

– Nic nie jest prawdziwe? Te wszystkie wyjaśnienia, wskazówki i opowieści nie niosą w sobie prawdziwej wiedzy?

– Nigdy nie chodziło o prawdę, tylko o to, co musi być powiedziane, żebyś cały czas podążał do Potrak.

Beddeos wstał i podszedł do krawędzi Glyfa. Patrzył, jak w dole obraca się świat. Miał pustkę w głowie. Czuł, że czegoś mu brakuje. Jakiegoś nowego punktu widzenia, z którego wszystkie zdarzenia i iluminacje ułożą się w jeden czytelny wzór. Ale im dłużej je analizował, tym bardziej wydawały się chaotyczne i nieprzeniknione. Już miał wrażenie, że zbliża się do końca drogi, a tymczasem okazało się, że cel nieustannie się wymyka. Wątpliwości przygasiły jego entuzjazm. Czy powinien się czuć oszukany, skoro to on sam sobą manipulował – a właściwie robiły to aspekty jego osobowości – by nie zboczyć ze Ścieżki Przeskoku?

– Znowu to robisz – powiedział strażnik, który stanął obok niego na krawędzi Glyfa. – Nie tędy droga. W ten sposób nigdy nie rozwikłasz tego paradoksu.

– A co powinienem zrobić?

– Musisz tam wejść – odparł strażnik, wyciągając długą ręką w stronę Potrak. – To wszystko. Podejmij działanie, by coś mogło się stać.

– Jak?

– Zwyczajnie. Możesz iść pieszo albo przeskoczyć. Jak wolisz.

– A oni mogą ze mną pójść?

– Cienie i krakeny?

– Tak.

– Oczywiście. Ty decydujesz. Jeśli chcesz ich ze sobą zabrać, ja nie mogę się sprzeciwić.

– Dobrze, a na czym polega trudność, o której mi nie mówisz?

– Spróbuj dotknąć Potrak swoją świadomością. Bez obaw. Spróbuj. Jakbyś chciał tam przeskoczyć. I powiedz, co czujesz.

– Ja... tam... chyba...

– Spokojnie. Nie bój się. Co tam jest?

– Nic nie czuję. Jakby nie było żadnego miasta. Tylko kamienista równina.

– Jak myślisz, dlaczego tak jest?

– Bo...

– Tak?

– Bo go tam nie ma?

– Cóż za nonsens, przecież widzę je na horyzoncie!

– Nic na to nie poradzę! To jakaś iluzja! Nie da się jej uchwycić!

– Spokojnie, Beddeosie, spokojnie. Usiądź obok mnie.

Usiedli, zwieszając nogi z krawędzi Glyfa.

– W dawnych czasach ludzie, którzy wchodzili na Ścieżkę Przeskoku, byli niezwykle bystrzy i nosili w sobie potężne okruchy prastarej mocy kreacji. Byli również świadomi tej mocy. Wyobraź sobie, że niektórzy potrafili spontanicznie przeskoczyć do Potrak pod wpływem przelotnego kontaktu z pojedynczą Głębiną. Jakąkolwiek. Innym wystarczało błogosławieństwo Inabulusa Knalba i od razu przychodzili do mnie. Jednakże z biegiem lat ludzi było coraz mniej, stali się słabsi, wolniejsi i nosili w sobie coraz mniej mocy, której przestali być świadomi. Żeby dotrzeć do Potrak, musieli mozolnie przejść przez wszystkie Głębiny i wygrać wewnętrzną walkę o integrację rozproszonych elementów, nie mówiąc już o pokonaniu przeszkód piętrzonych przez Mazzmę i podobne, postludzkie twory. Gdy ci słabi i zagubieni zaczęli się u mnie pojawiać, wymyślałem dla nich różne próby i zadania, które miały im pomóc w przekroczeniu własnych, w gruncie rzeczy wyimaginowanych ograniczeń. Bo każdy z nich mógł momentalnie odzyskać świadomość swojej mocy i dostęp do niej. Tak jak ty, Beddeosie. Więc im pomagałem. Moje ulubione i najskuteczniejsze zadanie polegało na tym, że mówiłem im, że jedynym sposobem na wejście do Potrak jest odnalezienie żywego klucza, który biega gdzieś po tych pustkowiach.

– Klucza? Jest jakiś klucz?

– Widzisz? Właśnie tak to działa. Łatwo w to uwierzyć. Łatwo się zaangażować w takie poszukiwania. Wszyscy się nabierają. Wszyscy zaczynają szukać. I prędzej czy później, trafiają na ślad czegoś, co może być tym kluczem. Jednakże w żaden sposób nie mogą go dopaść, bo zawsze jest szybszy, sprytniejszy i nieuchwytny jak duch. W końcu, zrezygnowani, przychodzą do mnie. A ja próbuję się dowiedzieć, dlaczego nie potrafili złapać klucza. Popycham ich w stronę właściwej odpowiedzi. Podpowiadam, że nigdy nie mówiłem, kim lub czym jest ten klucz, jak

wygląda, jak go złapać. I dopiero, gdy pojawiają się precyzyjne informacje na jego temat i słowa ukonkretniają jego istnienie, moi rozmówcy powoli zaczynają rozumieć, że... Beddeosie?

– Nigdy nie było żadnego klucza.

– Dokładnie! Wiedziałem, że nie muszę cię poddawać tej próbie i wystarczy, że o niej opowiem. Można szukać klucza do Potrak tak długo, aż naprawdę zacznie istnieć. Problem polega na tym, że on niczego nie otwiera, bo do otwierania służy to, co stworzyło klucz.

– Co tworzy Potrak?

– Oto pytanie godne pojętnego ucznia. Słuchaj, skąd dobiega trzepot Kamiennej Ćmy. Przypomnij sobie, jakie były ostatnie słowa Inabulsa Knalba. Swoje przydługie monologi zawsze kończy w taki sam sposób.

– Powiedział: „Idź za głosem Kamiennej Ćmy”. Ale chyba nie chodzi o...

– Potrafisz zlokalizować, skąd dochodzi dźwięk Kamiennej Ćmy?

– Nie. Jest wszechobecny. Dochodzi zewsząd.

– Albo jego źródło jest zbyt blisko.

– Ja...

– Iluzja przestrzeni, iluzja rozwoju, iluzja podróży i iluzja walki to niezbędne atrybuty człowieczeństwa, które pomagają wam kroczyć Ścieżką Przeskoku. Bez tego nie potraficie odnaleźć drogi. Otwórz wreszcie to miasto. To, które w sobie nosisz.

Beddeos zachwiał się zdezorientowany. Otworzyła się oszałamiająca przestrzeń, wypełniona w nieskończoność rozmaitymi strukturami energii. Strażnik położył mu dłoń na barku. Promieniowała ciepłem, które pomagało mu się skupić i zachować równowagę pośród nieustannego tańca form. W dole, na kamienistej równinie, krakeny i cienie rozwiały się na wietrze. Beddeos poczuł łzy na policzkach.

– Co się z nimi stało?

– Idą za tobą. Wejdź na szczyt ulubionego wzgórza i spójrz na swoją wieżę.

25

Stojąc na szczycie niewielkiego wzgórza, Beddeos obserwował wieżę przez mosiężną lunetę. Przysadzista, stożkowata, ociężale połyskiwała w okularze metaliczną szarością. Jedynym ruchomym elementem były leniwie obracające się łopaty elektrowni wiatrowej, osadzonej na solidnej kratownicy wyrastającej z boku budowli. Obok stał otwarty szlaban, a za nim zaczynała się pustynia. Beddeos odłożył lunetę. Teraz jego strażnica była wielkości kciuka i było widać, że znajduje się dokładnie na granicy między rzadkim, jałowym lasem a kamienistą pustynią. Ten widok zawsze sprawiał, że chłód ciążył mu w żołądku. Niskie, karłowate drzewa i nieregularne obszary porośnięte ostrą trawą i kolczastymi krzewami kończyły się jak ucięte nożem, ustępując miejsca kamieniom, diunom lepkiego piasku i żwirowym osypiskom. Wyglądało to jak linia wytyczona na mapie. Tu las, tam pustynia, a pośrodku wieża strażnicza.

Wszystko miało kształt zestalonych wibracji Kamiennej Ćmy.

Wszystko było głosem Kamiennej Ćmy.

A Beddeos był jego źródłem.

Ruszył w stronę wieży. Z każdym krokiem łuszczyły się kolejne warstwy iluzji. Zniknęły karłowate drzewa, wzgórza i jałowa pustynia. Tylko wieża wciąż była taka sama. Kiedy Beddeos zbliżył się do niej na wyciągnięcie ręki, budowla stała na dnie płytkiej niecki wybrukowanej ogromnymi pięciokątnymi kamieniami i otoczonej gładkimi monolitami Potrak. Stała na dnie Studni Przeskoku. Czy kiedykolwiek opuścił to miejsce?

Beddeos spojrzał w górę. Mówca wypełniał całe niebo. Czarne symbole, znaki, hieroglify i wzory, które nieustannie przesuwały się po jego

powierzchni, nagle zwolniły, zatrzymały się i rozpuściły w płynnym błękicie. W przepastnej głębi igrały światła miliardów zagęszczonych słońc, hipnotycznie wirowały molekuły galaktyk splecione w jeden amorficznie pulsujący twór – żywy organizm utkany z gwiazd, mgławic, systemów słonecznych i wirujących obłoków rozświetlonego pyłu. Jego sploty owijały się wokół plamki skondensowanej czerni, jak tęczówka wokół źrenicy oka, w której spoczywał okruch lodu pałający blaskiem stwarzającym światy. Beddeos poczuł, że odbija ten blask, że jest jego częścią. Uśmiechnął się i przeszedł przez widmo wieży, której nigdy nie było. Przez ciało-dźwięk Kamiennej Ćmy, dzięki któremu nagie, przedwieczne oko świadomości ogniskuje się w formach, bytach i wszelkich tymczasowych manifestacjach emocji – tu, na dnie Studni Przeskoku i w każdym innym miejscu; w każdym świecie, w którym słychać jej trzepot dobiegający z głębi umysłu. Tu, gdzie istnieje powód, dla którego każdy kamień leży tam, gdzie leży. Tu, gdzie tylko ruch jest w ruchu, gdy porusza się umysł.

Beddeos wszedł do Studni Przeskoku – między żywe sploty Konstruktu, z którego wyrosły wszystkie Głębiny, choć istniał już na długo przed powstaniem Usimy – i ruszył w dalszą drogę. Jego podróż dopiero się zaczęła.

Mara stała na jednym z najwyższych tarasów Gniazda i patrzyła na spienione wody Firby. Silny wiatr rozwiewał jej długie rude włosy.

Była jedną z nielicznych ocalałych, których Jądro jeszcze nie przemieniło w gomole. Nie rozumiała, dlaczego została pominięta. Od czasu, gdy Beddeos uciekł z grupą swoich popleczników, z każdym dniem ludzie byli traktowani coraz gorzej. Ograniczono im dostęp do jedzenia i zabroniono wychodzić, z wyjątkiem regularnych wizyt w Baszcie. Rada straciła rację bytu, bo nie miała już na nic wpływu i nie było kim rządzić. A mazzma przestała już nawet udawać, że liczy się z jej zdaniem. To koniec. Nie sposób uciec – bo jak człowiek może przetrwać w tym wrogim świecie? – i strach zostać. Można jedynie rzucić się do rzeki. Z tej

wysokości to pewna śmierć. Mara nie mogła oderwać oczu od wartkiego nurtu, który szumiał, przelewał się, zapraszał. Zacisnęła ręce na kamiennej balustradzie i westchnęła ciężko. Trzeba to zrobić. Tego była pewna. To jedyny sposób, żeby ocalić resztki godności.

Wtedy to usłyszała.

Dziwny dźwięk. Przypominał brzęczenie owada, ale był przyjemniejszy i niepokojąco znajomy. Budził coś w klatce piersiowej, cudowne gorąco, które rozświetlało myśli, rozpraszało wewnętrzny mrok i pozwalało myśleć o przyszłości. Pozwalało wierzyć, że jest jakakolwiek przyszłość. Za plecami Mary rozległo się zduszone bulgotanie. Obejrzała się. Jeden z gomoli opadł na kolana i rzygał mazzmą. Mara patrzyła zdumiona, nie wiedząc, czy uciekać, czy próbować mu pomóc. Po chwili skończył i wstał z trudem. Chwiał się na nogach. Jego twarz była ściągnięta cierpieniem, ale oczy odzyskały świadomy, ludzki blask.

– Ależ to boli – jęknął.

Dopiero teraz Mara poznała, kto to jest. Doskoczyła i chwyciła go pod ramię. Spojrzał na nią z bliska.

– Mama? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak, synku – wykrztusiła Mara.

– Co się stało?

– Nie wiem, kochanie, ale już cię nie zostawię.

Mara zaczęła płakać. Drżała. Wstrząsały nią emocje, które rozrywały na strzępy wszystko, co dotychczas wydawało się ważne. Jej płacz był jak deszcz, który pada na wyschniętą ziemię. Niby nic tam nie rośnie, ale pod spękaną skorupą suchej gleby zawsze śpią nasiona gotowe zakwitnąć. I właśnie kwitły. A korytarzami Gniazda niosły się odgłosy rzygających gomoli.

Główna sala w złotej półkuli Apolabium, która lewitowała nad dachami Linvenogre, pękała w szwach. To tutaj od wielu lat gromadziła się Rada miasta, składająca się z perusów i zaminów, którzy razem rządzili miastem. Wypracowanie wspólnego planu działania nigdy nie było proste, ale odkąd

wrócił mistrz Motar dzień w dzień wrzało tu jak w tyglu. Zamini chcieli przegłosować koncepcję szybkiego ataku na czenkro, który zwiąże je walką daleko od granic Linvenogre. Perusi sugerowali, żeby trzymać zbrojnych w pogotowiu i czekać na rozwój wydarzeń, bo może się okazać, że czenkro wcale nie mają zamiaru skierować się w stronę miasta. Strony przerzucały się argumentami. Miotano groźby i wyzwiska. Ale po kilkunastu dniach nieprzerwanych obrad nagle złota półkula zatrzęsła się i nieco opadła w dół. Trwało to tylko chwilę, po której wszystko wróciło do normy, lecz wystarczyło, żeby uciszyć wszystkich dyskutantów, bo nic podobnego nie wydarzyło się odkąd Inabulus Knalb stworzył tę półkulę i połączoną z nią wieżę w kształcie stożkowatego wiertła. Zapadła cisza podszyta miękką wibracją. Melodyjnie rezonowała nią cała półkula.

– Co się dzieje? – zapytał mistrz Merko, który pierwszy zdecydował się przełamać przepełnione lękiem milczenie.

Nikt mu nie odpowiedział. Tego samego dnia zamini postanowili przyjąć plan perusów i opuścili złotą półkulę. Mistrzowie zajęli się badaniem melodyjnej wibracji, ale jej źródło, natura i wpływ na stabilność złotej półkuli pozostawały dla nich tajemnicą. Jedno było pewne. Nie chciała ucichnąć.

Tahu wisiał głową w dół, wysoko nad ziemią, zaklinowany w załomie grubej kory tuż pod dużą gałęzią. Szeptał w miejsce, w którym gałąź łączy się z pniem, żeby nakłonić ją do wygięcia się w drugą stronę. Był jednym z wielu trutli, które w podobny sposób pracowały nad tym ogromnym drzewem, by w przyszłości przekształcić go w tagrusa. Tahu zmienił nieco pozycję, bo poczuł, że świadoma esencja drzewa przesunęła się w bok i uparcie odmawia współpracy. Nie martwił się, bo wiedział, że w końcu go posłucha. Zawsze tak jest. Trzeba tylko wykazać się dużą cierpliwością. A tej mu nie brakowało. Zamknął oczy i przytulił się do kory. Pogłaskał ją delikatnie i nagle powietrze wypełniło się wibracją, od której wyczuwalnie miękł opór świadomej esencji drzewa. Tahu nie potrafił określić, skąd dochodzi dźwięk. Zrobiło mu się ciepło w środku. Ciepło miało kształt

utraconego przyjaciela. Tahu zdał sobie sprawę, że cień jego obecności nigdy go nie opuści, i nagle żal zmienił się w inne uczucie. Jeszcze nie potrafił go nazwać, ale będzie próbował. Będzie nad nim pracował tak długo, aż zrozumie, co pozostawił mu Beddeos.

Mistrz Aram stał na szczycie swojego strąka, obserwował mieniącą się na niebie twierdzę Unakro i czuł, że zaraz coś się stanie. Nagle kryształowa konstelacja rozigranych faset zamarła w bezruchu, jakby zerwała się ciągłość strumienia rzeczywistości. Chwilę później Unakro znowu zaczęła się mienić, a powietrze wypełnił niski, wibrujący dźwięk. Włosy zjeżyły się na ciele mistrza Arama. Czuł, jak budzą się w nim nowe siły. Słuchał. Słuchał i miał ochotę tańczyć.

Edna i Alwa plewiły grządki z warzywami. Dziewczynka starała się dokładnie naśladować matkę, ale nie miała jeszcze jej wyczucia. Zamachnęła się kopaczką i z całej siły wbiła ją w ziemię. Edna cmoknęła z dezaprobatą.

– Robisz to za mocno. Uszkodzisz korzenie. Daj kopaczkę, pokażę ci.

Wzięła niewielki zamach i wtedy to poczuły. Ciepły pomruk wypełnił im kości. Tchnął w nie iskrę, która błysnęła mocą. Spojrzały na siebie ze łzami w oczach. Rozumiały bez słów.

– Czy to tata? – zapytała Alwa łamiącym się głosem.

– Tak...

Objęły się mocno i płakały, czując niezwykły, wewnętrzny żar.

– Zobaczymy go jeszcze, prawda – wychlipała Alwa.

– Oczywiście – odparła Edna i w tej samej chwili zrozumiała, że naprawdę w to wierzy.

Zrozumiała, że wierzy.

Zewsząd zaczęli się schodzić mieszkańcy Yok Talop, którzy porzucili swoje zajęcia, bo zapragnęli podzielić się z innymi nowym uczuciem, które nagle się w nich obudziło. Ale kiedy patrzyli sobie w oczy, wzruszenie odbierało im głos.

Obejmowali się w milczeniu.

Obejmował ich trzepot Kamiennej Ćmy.